

PO PROSTU RODZINA
Patchwork trzeczny,
ale się trzyma

LOS PRZYSTAWKI
Lewica nie wie,
o kogo ma walczyć

JA ZOSTAJĘ
Kościół
do zniesienia

TU MÓWI MOSKWA
Jak w Londynie
rządzi kasa Kremla

REWIA OGRODÓW
Warzywa, jeże,
pszczoły i cień

Kraków 8 sierpnia 2021 nr 32 (3761)

cena 9 zł (w tym 8% VAT)

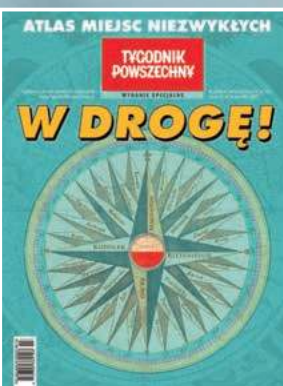
TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

**KRZYSZTOF
TREBUNIA-TUTKA**

Grajcie, nie fałszujcie

JUŻ W SPRZEDAŻY



ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



9 770041 480109

24. Silesia Sonars

27.08 - 11.09.2021

Zapraszamy na 24. festiwal Silesia Sonans w Jeleniej Górze.

Wystąpią m.in. Aleksandra Kurzak, Capella Cracoviensis, Messages Quartet.

Wstęp wolny, bezpłatne wejściówki: bilety.jck.pl

Szczegóły: www.silesiasonans.pl



**JELENIA
GÓRA**



**GERHART
HAUPTMANN
THEATER**
GÖRLITZ
ZITAU



Parafia
Podwyższenia
Krzyża Świętego

Interreg
Polska-Sachsen
European Regional Development Fund



KS. ADAM

Boniecki: Co Bóg złączył

W POLSCE JEST DZISIAJ PONAD MILION RODZIN patchworkowych zwanych u nas rodzinami zrekonstruowanymi. W znacznym stopniu są one efektem rozwodów. W Polsce rozpada się mniej więcej co trzecie małżeństwo (nie licząc związków niesformalizowanych) i rozwiedzeni, często mając dzieci, wchodzą w kolejne związki z partnerami, którzy też mają dzieci z poprzednich związków. Ten odbiegający od klasycznego modelu („dwoje rodziców + ich dzieci”) kształt rodziny, o którego problemach pisze w tym numerze Marek Rabij, niesie tyle komplikacji, że aż dziw, iż istnieje. Lecz istnieje, tak jak istnieją rozwody.

Kościół, trwając przy nauce Chrystusa o nierozzerwalności małżeństwa (Mt 19, 3-6) i przekonaniu, że chrześcijańskie małżeństwo jest obrazem, sakramentem i świadectwem nierozzerwalnego zjednoczenia Chrystusa i Kościoła, musiał się mierzyć z często dramatycznymi sytuacjami życiowymi.

Już św. Paweł ogłosił prawo (Przywilej Pawłowy) do rozwiązania małżeństwa przez osoby, które zostały chrześcijanami, będąc wcześniej w związku małżeńskim, w sytuacji gdy dotychczasowy małżonek nieochrzczony nie chce utrzymywać związku (1 Kor 7, 12-15; por. KPK, kanony 1143-1150). Pojawił się też Przywilej Piotrowy – zarezerwowane wyłącznie dla biskupa Rzymu prawo do rozwiązywania małżeństwa, w którym przynajmniej jedna ze stron jest ochrzczona, a małżeństwo nie zostało skonsumowane. Podstawą jest uznanie „władzy kluczy”: papież jako następca Piotra sprawuje władzę we wszystkim, co dotyczy religii i Kościoła. Według Ewangelii św. Mateusza (Mt 16, 19) Jezus taką władzę przekazał Piotrowi (kan. 1697-1706 KPK). Pojawiały się zresztą głosy, by wykonywanie tej władzy papież rozszerzył na inne sytuacje. Bardzo wcześnie też zaczęto precyzować, kiedy ma się do czynienia z rzeczywistym małżeństwem, ustalając warunki jego ważności, tzw. przeszkody małżeńskie. Ustalanie tych warunków, początkowo lokalne, pod koniec XII w. stało się bardziej precyzyjne i obowiązujące w całym Kościele. Prawo Ko-



ścioła do ich ustanawiania ogłosił dopiero Sobór Trydencki, zaś jednolity katalog przeszkód pojawił się dopiero w Kodeksie Prawa Kanonicznego z 1917 r. (1058-1080). Kodeks z 1983 r. przyniósł nową ich redakcję. Do ważności zawartego małżeństwa, poza brakiem przeszkód, wymagana jest zdolność do podjęcia zobowiązań małżeńskich oraz „forma kanoniczna”, tj. zachowanie procedur (np. że związek błogosławi ksiądz).

To, co w wielkim uproszczeniu tu opisałem, było wysiłkiem pogodzenia nauki Chrystusa z problemami, które nie się życie. W przypadku faktycznego rozpadu związku służy orzeczeniu, że małżeństwo od początku nie było ważne (bo w Kościele nie ma rozwodów!).

Choć wszystkie wyroki kościelnych trybunałów w tych sprawach posiadają klauzulę *si preces veritate nitantur* (jeżeli prośba opiera się na prawdzie), to skrzyżowanie porządku jurydycznego i moralnego kusi do rozmijania się z prawdą. Ciągłe doskonalenie procedur nie jest w stanie temu zapobiec.

Papież Franciszek podszedł do sprawy z innej strony, zresztą nie całkiem zgodnie z orzeczeniem Międzynarodowej Komisji Teologicznej „Doktryna Katolicka o Sakramencie Małżeństwa” z 1977 r. W adhortacji „Amoris laetitia” zachęca do odpowiedzialnego duszpasterskiego rozeznania każdego przypadku, przenosząc problem z płaszczyzny kanonicznej na czysto sakramentalną, opartą na nauczaniu teologii moralnej i praktyce penitencjarnej. Przyjmując do wiadomości fakt rosnącej liczby rozwodów i doceniając pracę kościelnych trybunałów, kieruje uwagę osób rozwiedzionych i powtórnie poślubionych na relację z Bogiem. Pisze więc, iż „nie można już powiedzieć, że wszyscy, którzy znajdują się w sytuacji tzw. nieregularnej, żyją w stanie grzechu śmiertelnego, pozbawieni łaski uświęcającej” (AL 301). Jan Paweł II zatroszczył się o to, żeby ci ludzie „nie czuli się odłączeni od Kościoła, skoro mogą, owszem, jako ochrzczeni, uczestniczyć w jego życiu” („Familiaris consortio” 84). Papież Franciszek poszedł krok dalej.

©P

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



Już w środę 11 sierpnia powiększone wydanie „Tygodnika” na święto Wniebowzięcia, a w nim:

- Maryja nieniewieścia i pierwsze taterniczki • Nieustające safari i zagadka zdrowego rozsądku • Piękno sztafety i siła Jagiellonów
- Najmłodsze państwo Afryki • Losy naszych lasów i czas samorządów

W wydaniu także dodatki – Literacki Sopot i wywiad z Dariuszem Popiełą, bohaterem filmu „Ukos światła”.

Wydanie świąteczne „Tygodnika Powszechnego” dostępne m.in. w salonach prasowych i kioskach oraz na TygodnikPowszechny.pl



22 Dylematy przystawki

JAROSŁAW FLIS

Lewica wciąż nie wie, czy ma być raczej samodzielna, czy wpasować się w szerszy blok anty-PiS. A wynik starcia w najbliższych wyborach będzie zależał od małych partii i tego, jak zdefiniują swoich wyborców.

30 Dlaczego zostają

PIOTR SIKORA

Czy wielkie zło obecne w religijnej instytucji powinno skłonić do opuszczenia tradycji, z której owa instytucja wyrasta?



62 Dzika muzyka

ROZMOWA
Z KRZYSZTOFEM
TREBUNIA-TUTKĄ:

Starsi nie chwalili młodszych, bo jak się dziecko pochwali, to można je zepsuć. Ale kiedyś tacie się wyrwało, że te moje nuty gra mu się prawie tak dobrze, jak tradycyjne.



47 Pokolenie 2001 PAWEŁ PIENIAŻEK Z KABULU

W ciągu dwóch dekad, gdy w Afganistanie stacjonowały zachodnie wojska, wyrosła tam nowa generacja. Dziś z obawą patrzy w przyszłość.



52 Wybuchowy potencjał

MARTA
HAWRYSZKO,
UKRAIŃSKA
HISTORYCZKA
Jeden z moich przełożonych poradził mi, abym poczekała, aż wszyscy członkowie podziemia nacjonalistycznego wymrą, i dopiero wtedy pisała krytycznie o OUN i UPA.



78 Dla pszczoł i jeży

PATRYCJA BUKALSKA Z LONDYNU

Brytyjskie ogrody zmieniają się: więcej w nich warzyw, mile widziany jest domek dla owadów. W cenie są kwiaty zahartowane w słońcu i drzewa dające cień.

6 Ucieczka przed rzeczywistością
PAWEŁ BRAVO

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

■ **KRAJ**

22 Dylematy przystawki
JAROSŁAW FLIS

26 Życie to podwórko
KRZYSZTOF STORY:
*Przestrzeń do nas mówi,
zwłaszcza ta polska. Mówią
mury, murki i murale. Bohomazy,
bazgroły i billboardy*

■ **WIARA**

30 Dlaczego zostaje
PIOTR SIKORA

34 Ikona jak plakat
DAWID GOSPODAREK
*o zderzeniu sacrum i profanum
w obrazach Borysa Fiodorowicza*

37 Naszej miłości się nie leczy
PAULINA MAŚLONA
Z HISPANII:
*Watykan odciął się od organizacji
prowadzącej terapię konwersyjne
homoseksualistów*

■ **ŚWIAT**

40 Gdy nadeszła fala
ŁUKASZ GRAJEWSKI Z NIEMIEC:
*W dolinie rzeki Ahr w Nadrenii
wielu mieszkańcom powódź
zabrała wszystko. Także bliskich*

44 Czy leci z nami covid
MAŁGORZATA SOLECKA
Z GRECJI:
*Na zagranicznych wakacjach
wielu Polaków nie zachowuje się
ani trochę rozsądniej niż w kraju*

TEMAT TYGODNIKA

12 Szczęście w rekonstrukcji

MAREK RABIJ

Nic tu nie jest dane z góry: siłą więzi pokrewieństwa, mocą umowy społecznej, a tym bardziej z majestatu prawa. Mimo to co najmniej pół miliona polskich rodzin patchworkowych mówi o sobie: nasza rodzina.

17 Partnerzy z bagażem

ROZMOWA Z PROF. BOGDANEM DE BARBARO:

Wchodząc w patchworkowy układ, trzeba przyznać emocjom pozostałym członków rodziny klauzulę najwyższego uprzywilejowania: źle mi w danej sytuacji, ale przyjmuję do wiadomości, że pozostali mogą czuć się podobnie.

■ **FELIETONY** ■

29 JACEK PODSIADŁO **39** WOJCIECH BONOWICZ

56 HANNA KRALL

76 JAN KLATA **77** PAWEŁ BRAVO

82 STANISŁAW MANCEWICZ

82 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: KRZYSZTOF TREBUNIA-TUTKA
FOTOGRAFIA: FILIP KOWALKOWSKI dla „TP”

Redaktor prowadzący: MACIEJ MÜLLER

47 Pokolenie 2001
PAWEŁ PIENIAŻEK Z KABULU

50 Tu mówi Moskwa
MARCIN ŻYŁA *o tym, jak Londyn
staje się ośrodkiem wpływu
rosyjskich*

■ **HISTORIA**

52 Wybuchowy potencjał
ROZMOWA Z MARTĄ
HAWRYSZKO, UKRAIŃSKĄ
HISTORYCZKĄ

■ **NAUKA**

58 Połączenia wewnętrzne
KATARZYNA DZIADOWICZ:
*Słyszenie głosów nieobecnych osób
nie musi być objawem schizofrenii
ani innej choroby psychicznej.
Często odpowiada za nie subtelna
zmiana w funkcjonowaniu mózgu*

■ **KULTURA**

62 Dzika muzyka
ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM
TREBUNIA-TUTKĄ

67 Pory bez granic
MACIEJ JAKUBOWIAK
o powieściach Ali Smith

70 Dosłownie wszystko
MACIEJ TOPOLSKI: *Marek
Piasecki nie planował kadrów,
zdawał się na swoją wrażliwość
i na jakiś przymus zbierania
obrazów, za którymi oko łatwo
nie podąża*

74 Spalona ziemia
ANITA PIOTROWSKA *o filmie
„Susza” Roberta Connolly’ego*

76 Włochy nadal są przy mnie
LEKTOR o „Godzinach włoskich”
Henry’ego Jamesa

■ **WAKACJE**

78 Dla pszczoł i jeży
PATRYCJA BUKALSKA
Z LONDYNU

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ **#DOM [Podkast Powszechny]**

Z wymazywania historii Ziemi Odzyskanych wpadamy w jednowymiarowe biadolenie, jak to Polak przyszedł i zmarnował to, co zostawili Niemcy – mówi **KAROLINA KUSZYK**, autorka książki „Poniemieckie” powszech.net/podkast

➔ **Rosyjska ruletka**

Do wyłonienia nowego składu Dumy Państwowej pozostały niespełna dwa miesiące: 19 września Rosjanie pójdą do urn. Od stycznia trwa intensywne uśmiercanie pozasystemowej opozycji – pisze **ANNA ŁABUSZEWSKA** tygodnikpowszechny.pl/rosyjskaruletka



Wojciech Jagielski: STRONA ŚWIATA

Autorski serwis specjalny

[WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONA ŚWIATA](http://WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONA_SWIATA)



f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



OBRAZ
TYGODNIA

UCIECZKA PRZED RZECZYWISTOŚCIĄ

Skoro połowa naszej wspólnoty obywatelskiej nie wykazuje dbałości o dobro wspólne, zadaniem klasy politycznej jest narzucenie rozwiązań optymalizujących bezpieczeństwo.

PAWEŁ BRAVO

W BEZWZGLĘDNYCH LICZBACH ROZWÓJ czwartej fali COVID-19 wygląda w Polsce wciąż niepozornie. Jednak tempo przyrostu zakażeń przyspiesza i nie trzeba nawet dobrze rozumieć działania postępu geometrycznego, żeby zdać sobie sprawę, że to ostatnie tygodnie względnego spokoju – starczy przypomnieć sobie, jak wyglądała dynamika zdarzeń w innych państwach (patrz teksty na s. 9). W Wielkiej Brytanii, gdzie fala dopiero co zaczęła opadać z bardzo wysokiego poziomu, epi-

demiolodzy przypuszczają, że miało na to wpływ zamknięcie szkół oraz skuteczna izolacja osób zakażonych. O tym że na Wyspach były to „tylko” trudne momenty, a nie kolejna narodowa trauma, zdecydował jednak jeden z najwyższych w Europie odsetków osób zaszczepionych.

Tymczasem w Polsce w sposób niemal lustrzany względem wzrostu zakażeń spada liczba szczepień – obecnie wykonuje się jedną trzecią tego, co w połowie czerwca. Co więcej, z obecnej – wynoszącej nieco po-

Szczepienia przeciw COVID-19 w sanktuarium w Świętej Wodzie (woj. podlaskie), 1 sierpnia 2021 r.

cej nieco ponad 48 proc. ogółu ludności – grupy osób, które zgłosiły się na szczepienia, udział tych, którzy są w tej chwili tylko częściowo zaszczepieni (czyli, upraszczając, czekają na swoją drugą dawkę), jest w Polsce najmniejszy spośród większości krajów Unii (mniej oczekujących mają np. Węgry i Rumunia), co oznacza, że pula ludzi gotowych w ogóle skorzystać z możliwości uodpornienia się ulega właśnie wyczerpaniu.

W siedem miesięcy po początku całej akcji rozważania, że jakąś nową akcją promocyjną można szybko nakłonić znaczny odsetek tej połowy, która omija szczepienia szerokim łukiem, to tylko ucieczka polityków przed rzeczywistością. Owszem, nie mamy pewności, jak wyegzekwować ewentualny przymus szczepień w pewnych kategoriach zawodowych – np. medyków i nauczycieli. Ale perspektywa kolejnego semestru hybrydowej nauki jest czymś chyba gorszym niż bałagan wynikający z konieczności zastąpienia niezaszczepionych nauczycieli w pierwszych tygodniach września. Ostatnie półtora roku nauczyło nas, że udają się jakoś, w sposób nie do końca zadowalający, ale jednak, rzeczy, które jeszcze niedawno były poza granicą wyobraźni.

To jednak wymagałoby odwagi i powagi ze strony rządzących, a także tych, którzy mają ambicję ich zastąpić. Gotowości zaszkodzenia notowaniom własnej partii, wyjścia poza logikę wzajemnego ignorowania się i podstawiania nóg. Skoro mniej więcej połowa naszej wspólnoty obywatelskiej, skądinąd przekonanej, że „wszyscy Polacy to jedna rodzina”, nie wykazuje ani śladu dbałości o dobro wspólne, ani choćby egoistycznej chęci ochrony własnego zdrowia, to zadaniem klasy politycznej jest narzucenie rozwiązań optymalizujących bezpieczeństwo jednostek i zachowanie wspólnego dobra. Przy czym maksymalna możliwa ochrona jednostkowych swobód nie oznacza ich fetyszyzowania. Demokracja liberalna służy wyważeniu sprzecznych racji i szukaniu najmniej dotkliwych sposobów na narzucanie woli większości tam, gdzie prawo i rozum wskazują, że to konieczne. ©

Lex TVN: ucierpimy wszyscy

MAREK KĘSKRAWIEC



Cechą ludzi niedojrzałych jest przekonanie, że ich wizja świata jest jedyną słuszną i wszyscy powinni się do niej dostosować. Niestety, przywiera ta dominuje w świecie polskiej polityki, a w czasach rządów Prawa i Sprawiedliwości obserwujemy jej apogeum. Inaczej nie sposób wytłumaczyć rewolucyjnego zapału do zniszczenia TVN, którego dziennikarze uważani są w PiS-ie za wrogów Polski, szkalujących rząd w imieniu tajemniczych sił. To bez znaczenia, czy większość polityków prawicy rzeczywiście w to wierzy, czy tylko ślepo podąża za ogarniętym różnymi fobiami Jarosławem Kaczyńskim. Ważne, że na naszych oczach władze Polski idą drogą Węgier i chcą zamienić krajowe media w swoje tuby propagandowe.

Gwoli sprawiedliwości trzeba przyznać, że sami właściciele stacji TVN dostarczyli PiS-

-owi oręcza. Z uwagi na polskie prawo amerykańska korporacja Discovery potrzebowała legalizacji swej działalności poprzez europejską spółkę, zarejestrowała więc „biuro” na lotnisku w Amsterdamie, nie zatrudniając tam żadnego pracownika. Oczywiście fakt ten znany był PiS-owi od dawna, a dziś posłużył jedynie za pretekst do wojny. Gdyby go nie było, podwładni Kaczyńskiego na pewno znaleźliby inny.

Nawet jeśli prezesowi PiS nie uda się przeprowadzić w Sejmie skutecznego zamachu na TVN, skutki tej akcji będą fatalne. Trudno będzie teraz naszym mediom znaleźć inwestorów, którzy podejmą ryzyko zakupu niezależnych telewizji lub gazet. Wiele z nich nałoży sobie także kaganiec autocenzury, by nie zadziwiać z brutalną władzą. Ucierpimy na tym wszyscy szybciej, niż myślimy. ©

PiS na ratunek niedzieli

GRUPA POSŁÓW Prawa i Sprawiedliwości złożyła w Sejmie projekt nowelizacji ustawy zakazującej handlu w niedzielę, która ma ukrócić obchodzenie tego przepisu przez duże sieci handlowe. „Proponowana zmiana (...) polega na przesądzeniu, iż z wyłączenia spod zakazu handlu mogą korzystać placówki pocztowe, których przeważająca działalność polega na świadczeniu usług pocztowych w rozumieniu ustawy z 23 listopada 2012 r. – Prawo pocztowe, a nie – jak to wynika z obecnie obowiązującej ustawy – wszystkie placówki pocztowe” – piszą autorzy w uzasadnieniu. Otwarte w niedziele mogłyby zatem być jedynie placówki pocztowe, które z takich usług czerpią minimum połowę przychodów. Ich właściciele byłiby także zobowiązani do prowadzenia ewidencji miesięcznego przychodu ze sprzedaży, z podziałem na utarg z działalności przeważającej i pozostałej.

„Przesądzenie”, o którym piszą wnioskodawcy, jest w istocie typowym dla polskiego prawodawstwa ostatnich lat łataniem przepisów napisanych na kolanie, pod wpływem grup nacisków albo w dobrej intencji, lecz bez dostatecznego zgłębienia materii sprawy. W pierwotnym brzmieniu ustawa przewidywała aż 32 wyłączenia zakazu. Ścieżka pocztowa, którą wybrały m.in. sieci Żabka oraz Biedronka, okazała się najprostsza i najtańsza, bo dla firm z tak rozbudowanym zapleczem logistycznym i teleinformatycznym dołożenie jeszcze jednej



SLAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA GAZETA

funkcjonalności nie stanowiło dużego wyzwania (nie mówiąc o tym, że chętnych na wysłanie listu w sklepie w niedzielę było niewiele, zresztą niektóre „placówki pocztowe” po prostu odmawiały realizacji takiej usługi).

Efekt? Jak pisaliśmy na początku czerwca, pocztową mimikrę uprawia już dziesięć dużych podmiotów handlowych, grając na nosie nie tyle przywykłym do bezsilności inspektorom Państwowej Inspekcji Pracy, co związkom zawodowym. Nic dziwnego, że z inicjatywą uszczelnienia zakazu wyszła także Solidarność, proponując iście makiaweliczne rozwiązanie – ustawowy zakaz posiadania koncesji na sprzedaż alkoholu przez podmioty oferujące także usługi pocztowe.

Niewykluczone, że właśnie taki pomysł stanowiłby najskuteczniejsze ograniczenie dla firm usiłujących obejść zakaz handlu w niedzielę. Biznes po prostu wie, że na niedzielę można sporo zarobić. Z badań opinii publicznej wynika, że aż 51 proc. Polaków nie podoba się jednodniowa przerwa w zakupach.

© P MAREK RABIJ

Czas płacić

MICHAŁ KUŹMIŃSKI



MANDATY MAJĄ WZROSNAĆ. OD GRUDNIA Policjant ma mieć możliwość nałożenia nie do 500 zł, lecz do 5 tys. zł kary. Przekroczenie prędkości powyżej 30 km/h, czy to w obszarze zabudowanym, czy nie, ma kosztować 1,5 tys. zł. Wyprzedzanie na przejściu dla pieszych – minimum 3 tys. zł. Jazda po pijanemu – co najmniej 2,5 tys. zł lub areszt. Sądy mają dysponować karą grzywny do 30 tys. zł, a nie 5 tys. zł. Co szczególnie ważne, bo związane z nieuchronnością kary, ubezpieczyciele mają uzależniać stawki polis od historii wykroczeń, a w ściągłości mandatów ma pomóc skarbówka.

Nareszcie. Gdy w 1997 r. ustalono aktualny taryfikator, 500 zł to była połowa przeciętnego wynagrodzenia. Dziś to jedna dziesiąta i wielu drogowych bandytów śmieje się policji w twarz. Przybyło nam dobrych dróg, aut i mocy silników, a państwo przez te lata demoralizowało kierowców – strażę gminne skompromitowały fotoradary, nie poradziła sobie z ich obsługą Inspekcja Transportu Drogowego, politycy kokietowali wyborców dystansem do zastraszania przepisów i ograniczeń, a narażanie czyjegoś życia kosztowało mniej niż dwa tankowania.

W Unii Europejskiej w 2020 r. zginęły na drogach średnio 42 osoby na milion mieszkańców. W Polsce – 65 na milion i to jeden z najgorszych wyników. Do 90 proc. wypadków na polskich drogach w 2020 r. doszło z winy kierujących. ©P

Drobny biznes, duże straty

„NAJWYŻSZĄ PODWYŻKĄ podatków w historii” nazywa Związek Pracodawców i Przedsiębiorców propozycję zawartą w pakiecie Polskiego Ładu. Związek – wehikuł lobbingowy małych i średnich firm – proponuje jako alternatywę ujednolicenie stawek podatku VAT oraz wprowadzenie minimalnego wymiaru podatku CIT w wysokości 1 proc. przychodów.

Takie rozwiązanie ukróciłoby nagminny proceder pompowania kosztów przez duże firmy. Przedstawiciele ZPP powołują się na dane Ministerstwa Finansów, z których wynika, że blisko 60 proc. firm zobowiązanych do odprowadzania podatku CIT nie płaci go w ogóle. Tymczasem zmiany zaproponowane w Polskim Ładzie zdaniem ZPP uderzą w rentowność małych firm usługowych, które będą musiały podnieść ceny. ©P MR

KRAJ W SKRÓCIE

SONDAŻ

Niemal 17 proc. uczestników sondażu SW Research dla „Rzeczpospolitej” opowiedziało się za opuszczeniem przez Polskę Unii Europejskiej – za pozostaniem jest ponad 62 proc. badanych, pozostali nie mają zdania.

SĄD

Wśród opowiadających się za pozostaniem jest Mateusz Morawiecki. W wywiadzie dla Telewizji Republika powiedział, że polskie władze muszą doprowadzić do porozumienia z TSUE w sprawie sądownictwa (mają na to czas do 16 sierpnia, inaczej czekają je sankcje finansowe). „Jesteśmy częścią UE, chcemy być w UE, korzystamy bardzo na wolności handlu, na jednolitym rynku. Polskie firmy wzrastają, polskim pracownikom rosną wynagrodzenia” – powiedział premier.

PODWYŻKA

Wśród tych, którym rosną wynagrodzenia, są parlamentarzyści – podpisane przez prezydenta rozporządzenie o podwyżkach dla podsekretarzy stanu zwiększa wypłaty także dla posłów i senatorów, którym przysługuje 80 proc. wysokości wynagrodzenia podsekretarzy. Z danych GUS wynika, że pod koniec lipca inflacja wyniosła 5 proc. w ujęciu rok do roku.

ROCZNICA

W 77. rocznicę wybuchu powstania warszawskiego w całej Polsce oddano hołd jego uczestnikom. W dwumiesięcznych walkach latem 1944 r. wzięto udział ok. 40–50 tys. osób; zginęło ok. 18 tys. powstańców i ok. 180 tys. cywilów; pozostałych przy życiu ok. 500 tys. mieszkańców Warszawy wypędzono z miasta, które Niemcy zaczęli burzyć.



PIOTR MOLECKI / EAST NEWS

Tonie obóz Rohingów

ANOMALIE POGODOWE dzieją się nie tylko w Europie. W rejonie Cox's Bazar w Bangladeszu – gdzie w obozach wegetuje blisko milion zbiegłych z Birmy Rohingów, przedstawiciele muzułmańskiej mniejszości prześladowanej przez armię – w ub. tygodniu w ciągu jednej doby spadło 30 cm deszczu. W Bangladeszu trwa pora deszczowa, ale nawet w sezonie monsunowym takie ulewę zdarzają się tu bardzo rzadko – to niemal połowa średniej miesięcznej opadów notowanych w lipcu w tej części kraju.

Najniższe położone partie obozu znalazły się pod wodą, która miejscami sięga dwóch metrów. Gliniaste zbocza pokryte szalassami (gęstość zaludnienia w obozie w wielu rejonach przekracza 40 tys. osób na kilometr kwadratowy) osuwają się stanowiąc śmiertelne zagrożenie dla mieszkańców. Władze szacują, że po ubiegłotygodniowych ulewach zniszczeniu uległo co najmniej 2,5 tys. szalasów, a dach nad głową straciło 12 tys. osób. Odbudowa jest utrudniona, bo deszcz rozmywa także drogi.

Prognozy pogody dla południowo-wschodniego Bangladeszu nie są niestety najlepsze. Padać będzie niemal bez przerwy jeszcze przez co najmniej tydzień. ©M MR

Giną głównie cywile

PODCZAS NASILAJĄCEJ SIĘ WOJNY w Afganistanie w pierwszym półroczu 2021 r. zginęło przynajmniej 1659 cywilów, a 3254 raniono (32 proc. to dzieci, 14 proc. – kobiety). Według ONZ, to o prawie połowę więcej ofiar niż w tym samym okresie poprzedniego roku. Przedstawiciele organizacji ostrzegają: jeśli przemoc nie zostanie wstrzymana, liczba rannych i zabitych może być najwyższa od 2009 r., czyli odkąd ONZ prowadzi statystyki.

Wpłynęło na to wycofywanie się zagraicznych wojsk i szeroko zakrojona ofensywa talibów. Początkowo walki toczyły się na mało zaludnionych terenach, obecnie zagrożone są też stolice trzech prowincji: Kandahar, Laszkarqah i Herat. Łącznie te miasta zamieszkuje niemal 1,4 mln ludzi. Walki o nie doprowadzają nie tylko do kolejnych ofiar, ale również do przesiedleń, pogłębiając kryzys humanitarny. Tylko w ciągu ostatnich czterech miesięcy – według rządu w Kabulu – przynajmniej 36 tys. rodzin musiało opuścić swoje domy. ©PAWEŁ PIENIAŻEK



MAŁA AMAL IDZIE PRZESZŁOŚCIĄ. Najpierw był spektakl o obozowisku uchodźców i migrantów w Calais, który twórcy Good Chance Theatre (Teatru Dobrej Szansy) wystawili m.in. na londyńskim West Endzie. Postać „Małej Amal” symbolizowała w nim dzieci, które dotarły do Europy bez rodziców. Teraz – jako trzyipółmetrowej wysokości lalka teatralna – Amal pokona ich śladem ok. 8 tys. kilometrów, po drodze zaś będzie główną atrakcją przedstawień i parad, które mają zwrócić uwagę na dramat tysięcy najmłodszych uchodźców. Na zdjęciu: początek akcji w Gaziantep, tureckim mieście niedaleko granicy z Syrią, 27 lipca 2021 r. © P. ŻYM

Niemcy: strach doradzi wyborcom

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z LIPSKA



OSOBY ZASZCZEPIONE BĘDĄ MIAŁY WIĘCEJ wolności niż osoby nieszczepione”, powiedział pod koniec lipca Helge Braun, szef urzędu kanclerskiego, prawa ręka Angeli Merkel. Czy miliony Niemców nie będą wpuszczani do restauracji, na stadion albo do kina? Braun przestrzega, że jeżeli szczepienia przeciwko COVID-19 nie przyspieszą, we wrześniu wariant Delta będzie mógł zarażać nawet 100 tys. osób dziennie.

W normalnych warunkach rządzący w Niemczech pewnie poszliby śladem Francuzów i zaczęli utrudniać życie nieszczepionym. Ale za Odrą już 26 września odbędą się wybory parlamentarne. Żadna siła polityczna nie ma zdecydowanej przewagi. Dlatego też nikt nie chce zbyt drażnić ani zdeklarowanych antyszczepionkowców, ani osób, które nie szczepią się ze względu na wątpliwości lub lenistwo.

Twardzi „koronasceptycy” to grupa niewielka – ale głośna i gotowa do działania. W niedzielę 1 sierpnia, pomimo zakazu, ponad 5 tys. demonstrantów protestowało w Berlinie. Gdyby zapowiedzi urzędu kanclerskiego rzeczywiście weszły w życie, mogłoby to wy-

prowadzić na ulice tłumy kilkukrotnie większe. Politycy w czasie kampanii będą chcieli sobie oszczędzić obrazów rozgniewanych obywateli walczących z policją. Rządzący stawiają zatem ponownie na obostrzenia dotyczące wszystkich. Niemcy wracający z zagranicy muszą od 1 sierpnia przedstawić negatywny wynik testu, potwierdzenie szczepienia lub przejścia choroby. Istnieje bowiem obawa, że powracający urlopowicze wpłyną na szybsze rozprzestrzenianie się wariantu Delta, który już teraz odpowiada za większość nowych zakażeń. W minionym tygodniu codziennie odnotowywano ponad 2 tys. nowych infekcji. Krzywa znów zaczyna piąć się w górę. Wkrótce wrócą wysokie statystyki zakażeń, powrócą również dylematy dotyczące szkół, lokali gastronomicznych i wszelkich usług.

Niemcy znajdują się w unijnej czołówce pod względem szczepień. 52 proc. społeczeństwa jest po dwóch dawkach. Do odporności stałej jednak wciąż daleko, a program szczepień, podobnie jak w Polsce, dostał wakacyjnej zadyszki. Strach przed kolejną odsloną pandemią powraca do Niemiec. Inne tematy wyborcze schodzą na dalszy plan. ©

W Izraelu rozpoczęło się szczepienie trzecią dawką

JAKO PIERWSZY KRAJ na świecie Izrael ogłosił kampanię szczepień trzecią – tzw. przypominającą – dawką szczepionki przeciw COVID-19. Ma to związek z rosnącą liczbą zakażeń mutacją Delta, która jest aż o 50 proc. bardziej zakaźna niż wcześniejsze warianty. W pierwszej kolejności szczepione są osoby powyżej 60. roku życia oraz chorujące przewlekłe.

Sprawy potoczyły się szybko: w miniony czwartek gotowość do rozpoczęcia kampanii ogłosił szef rządu Naftali Bennett, w piątek preparat otrzymali prezydent Izaak Herzog wraz z żoną oraz lider opozycji, Benjamin Netanjahu, a szczepienia dla wszystkich uprawnionych ruszyły po szabacie.

Realizację nowego planu poprzedziły gorące dyskusje ekspertów ministerstwa zdrowia, którzy twierdzą, że wciąż nie ma wystarczającej liczby danych potwierdzających efektywność i bezpieczeństwo trzeciej dawki. Dodatkowo z badań wynika, że 50 proc. obecnych zakażeń to osoby już zaszczepione.

Ekspertsi uznali jednak, że nie ma na co czekać – Izrael odnotował w ostatnich dniach najwyższy od kwietnia skok zachorowań, w tym poważnych (212 przypadków), razem z osobami w stanie krytycznym (46 przypadków) i pozostałymi pod respiratorami (42 pacjentów; dane ministerstwa zdrowia z 2 sierpnia).

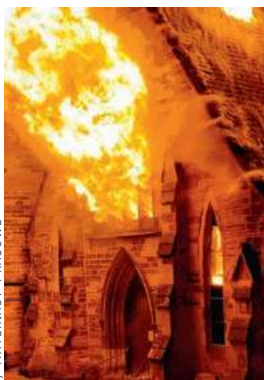
Dziennie odnotowuje się teraz ponad 2 tys. nowych przypadków zakażeń koronawirusem. Równie ważnym argumentem były dla ekspertów dane o spadku efektywności poprzednich dawek szczepionek. Przypomnijmy, że pierwsze grupy Izrael szczepił już w grudniu i styczniu – i to właśnie w tych grupach osób powyżej 60. roku życia zaszczepionych dwoma dawkami skuteczność w ochronie przed poważnymi objawami spadła z 97 do 81 proc.

© P. KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET
z Tel Awiwu

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

DOKTRYNA

„Idea ucieczki w czystą doktrynę wydaje mi się zupełnie nierealna. Doktryna, która istniałaby tak, jak rezerwat przyrody, oddzielona od codziennego świata wiary i jego trudów, byłaby jednocześnie wyrzeczeniem się samej wiary” – podkreśla Benedykt XVI w wywiadzie dla „Herder Korrespondenz” z okazji 70. rocznicy święceń kapłańskich.



POŻAR

W Glasgow spłonął kościół pw. św. Szymona, od 1945 r. religijne centrum Polaków mieszkających na zachodzie Szkocji. Wyraży solidarności przestali środowisku polonijnemu abp Stanisław Gądecki, przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski, i bp Wiesław Lechowicz, delegat KEP ds. Emigracji Polskiej.

SZCZEPIONKA

„Jest prawdopodobne, że nadejdzie kolejna fala COVID-19. Dlatego zachęcam, aby uprzedzić nową falę epidemii i poddać się szczepieniom – zaapelował biskup elbląski Jacek Jezierski. – Pan Bóg dał nam czas życia na ziemi na pracę, twórczość, wspólnotę rodzinną. Jednak nasze życie jest kruche. Przez niezachowanie zaleceń lekarzy narażamy się na jego przedwczesną utratę”.

Jak się potoczy spór o kościelne akta



ARTUR SPORNIAK

WYKORZYSTANE SEKSUALNIE DZIECKO POZOSTAJE samo – to najważniejszy wniosek z raportu przedstawionego przez państwową komisję ds. pedofilii po roku jej działalności. Komisja rekomenduje zmiany systemowe, proceduralne i dotyczące jakości opieki specjalistycznej. Chodzi m.in. o poszerzenie kompetencji komisji, wprowadzenie instytucji adwokata dziecka czy przyspieszenie procedur sądowych.

Newsy odnoszące się do raportu zdominowała jednak inna informacja – wśród spraw, którymi zajęła się komisja, blisko 30 proc. dotyczyło duchownych. Że nie oznacza to, iż co trzeci sprawca nosi sutannę, prostował w rozmowie z Katolicką Agencją Informacyjną przewodniczący komisji Błażej Kmiecik. Kościół z racji społecznej wagi i rozgłosu medialnego trafił po prostu pod szczególną uwagę komisji.

W raporcie znalazł się inny odsetek dotyczący księży jako sprawców. Sądy przekazały komisji akta ok. 2300 spraw z lat 2017-20. Komisja przyjrzała się losowo wybranym 245 sprawom. Na 292 sprawców dwóch okazało się duchownymi. Może to jednak świadczyć o tym, że nie

wiele przypadków wykorzystania dzieci przez duchownych trafia na sale sądowe.

Raport dał wyraźniejszy wgląd w spór między komisją a Kościołem katolickim o kościelne akta. Po prośbie komisji skierowanej do sądów kościelnych o udostępnienie akt spraw prowadzonych od 1 stycznia 2020 r. do 25 lutego 2021 r. otrzymała ona akta tylko z Sądu Metropolitalnego w Częstochowie. Sąd łódzki poinformował, że nie prowadził w tym okresie żadnych spraw, a ełcki odesłał komisję do Biura Delegata Episkopatu ds. Ochrony Dzieci i Młodzieży. Jednak biuro nie ma takiej władzy, by wymuszać na biskupach diecezjalnych wydawanie akt. Z konieczności przyjęło więc rolę ich adwokatów i zwróciło komisji uwagę, że nie została ona wyposażona w uprawnienia prokuratorskie.

Możliwe są dwa sposoby rozwiązania tego klin-
czu: albo Sejm wyposaży komisję w prokuratorskie uprawnienia (by mogła żądać, a nie tylko prosić Kościół o akta) – na co się PiS zapewne nie zdecyduje – albo przyjdzie sygnał z Watykanu ośmielający polskich biskupów do lepszej współpracy z komisją. ©

Tak się sądzi kardynała

SIEDEM GODZIN trwała pierwsza rozprawa kard. Angela Becciu oraz dziewięciu jego byłych współpracowników i współników, oskarżonych o korupcję, nepotyzm i malwersacje finansowe. Było to możliwe dzięki decyzjom papieża – oddania watykańskiego wymiaru sprawiedliwości w ręce bezkompromisowych prawników, doświadczonych w walce z przestępczością zorganizowaną, zgody na inwigilację podejrzanych, a przede wszystkim postawienia kardynała przed sądem złożonym z świeckich sędziów, a nie równych mu rangą hierarchów.

Adwokaci oskarżonych próbowali przekonać sąd, że tego typu działania (zmiana prawa na potrzeby konkretnego procesu) oraz ingerencja w śledztwo poprzez tzw. reskrypty, czyli papieskie decyzje podejmowane *ad hoc* podczas spotkania ze śledczymi, łamią reguły państwa prawa. Skarżyli się też na brak pełnego dostępu do akt procesowych.

Trybunał zgodził się dać obronie czas na zapoznanie się z wszystkimi zeznaniami świadków i wyznaczył kolejną rozprawę na 5 października. Odrzucił natomiast pozostałe zastrzeżenia.

Jest szansa, że rozpoczęty proces ujawni mechanizmy korupcji i malwersacji w Watykanie. Ale pokaże też, czy da się połączyć różne systemy prawne – monarchiczny i kanoniczny z demokratycznym i świeckim. Oraz co z tego wyniknie. © EDWARD AUGUSTYN

Prośba sprzed stulecia

KAPSULĘ CZASU odnaleziono podczas prac remontowych w płockiej katedrze. To miedziana tuba umieszczona w kuli pod krzyżem wieńczącym kopułę. Pergaminowe dokumenty po polsku i łacinie dokumentują remont, który zaczął się w 1901 r. Teksty zawierają imię ówczesnego papieża Leona XIII, cara Mikołaja II, biskupa Jerzego Szembeka oraz księży z kapituły katedralnej.

Jeden z dokumentów podpisał ks. Antoni Nowowiejski, późniejszy biskup płocki, zamordowany w 1941 r. w obozie w Działdowie; w 1999 r. beatyfikowany. Ksiądz Nowowiejski w kapsule pozostawił prośbę: „Pracujący wszyscy przy odnowie Kościoła Katedralnego (...) proszą przyszłych znalazców tego pisanego o gorącą modlitwę za swoje dusze przed Bogiem, w Trójcy Świętej Jedynym”. © MAM

Spełniony sen alchemika

METODĘ ZAMIANY wody w metal – bez poddawania jej działaniu kosmicznych czy nadprzyrodzonych sił – opisali w „Nature” Philip E. Mason z Czeskiej Akademii Nauk i współpracownicy.

Destylowana woda nie przewodzi prądu, bo jej elektrony są uparcie przywiązane do własnych atomów. Woda z kranu jest przewodnikiem jedynie dzięki rozpuszczonym w niej solom. Każdy materiał może jednak nabrać metalicznych właściwości, jeśli podda się go odpowiedniej presji. Metaliczna woda istnieje w jądrach gazowych planet. Np. na Jowiszu jej cząsteczki są zgniatanie pod ciśnieniem milionów atmosfer, co sprawia, że powłoki walencyjne, zewnętrzna warstwa elektronów, zaczynają się na siebie nakładać.

Badacze założyli, że metaliczne właściwości woda może „pożyczyć” od metali takich jak sód czy potas, które łatwo oddają elektrony. Oba eksplodują jednak w kontakcie z wodą. Naukowcy umieścili więc strzykawkę z płynnym sodem i potasem w komorze próżniowej i wycisnęli z niej kropelki, które poddali działaniu pary. Woda utworzyła na nich cieniutką warstwę i zaczęła przechwytywać elektrony oraz dodatnie jony z metali. Proces zachodził szybciej niż reakcja wybuchowa. W efekcie woda na kilka sekund zmieniła kolor na złotobrazowy i stała się przewodnikiem. Metaliczne właściwości udało się potwierdzić za pomocą spektroskopii.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

LICZBA TYGODNIA

26 258

kilometrów pokonali łącznie w lipcu uczestnicy rywalizacji „87 km na 87. urodziny ks. Adama Bonieckiego”. Wyniki zawodów i lista nagrodzonych na stronie: powszech.net/87

KULTURA W SKRÓCIE

TOKARCZUK NA ORBICIE

Jedna z planetoid krążących wokół Słońca otrzymała nazwę na cześć polskiej noblistki. (555468) Tokarczuk – tak oficjalnie brzmi nazwa, którą zatwierdziła już Międzynarodowa Unia Astronomiczna. Obiekt odkryty w 2013 r. przez Michała Kusiaka i Michała Żołnowskiego nosił wcześniej oznaczenie 2013 YH47, ale jego orbitę poznano na tyle dobrze, że przypisano mu również numer katalogowy, co następnie pozwoliło na nadanie nazwy.

WPŁYW ENGELKING

Profesor Barbara Engelking, szefowa Centrum Badań nad Zagładą Żydów przy PAN, laureatka przyznanego przez „Tygodnik” Medalu św. Jerzego, znalazła się na liście 25 najbardziej wpływowych historyczek i historyków świata w rankingu Academic Influence.



PIXABAY.COM

LIVERPOOL POZA LISTĄ

Portowe centrum Liverpoolu zostało skreślone z listy światowego dziedzictwa UNESCO. Powodem miały być inwestycje na nadbrzeżu i dokach, które – wedle UNESCO – doprowadziły do zatracenia wyjątkowego charakteru miejsca. Komitet odpowiedzialny za tworzenie listy ma teraz przyrzeć się wszystkim znajdującym się na niej brytyjskim obiektom. Jak dotąd tylko dwa razy dokonano skreśleń z listy, którą rozpoczęto tworzyć w 1978 r.

Premiera w Wenecji

MONIKA OCHĘDOWSKA



HOLLYWOOD NAKRĘCIŁBY O TYM MOCNY FILM” – PISANO pięć lat temu, tuż po premierze reporterskiej książki Cezarego Łazarewicza „Żeby nie było śladów”. Regularnie wznawiana pozycja, nominowana do Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego, wyróżniona literacką Nagrodą Nike i wystawiona w stołecznym Teatrze Polonia przez Piotra Ratajczaka, czwartego wydania doczeka się już w połowie września, zaledwie kilka dni po zakończeniu festiwalu filmowego w Wenecji. Nieprzypadkowo. Przeniesiona na ekran przez Jana P. Matuszyńskiego praca Łazarewicza zakwalifikowała się właśnie do konkursu głównego tej prestiżowej imprezy. I to w Wenecji będzie miała również swoją światową premierę.

Historia tragicznej śmierci warszawskiego maturzysty Grzegorza Przemyka (syna opozycjonistki i poetki Barbary Sadowskiej), i wszystko, co po niej nastąpiło – śledztwo polegające na zacieraniu śladów zbrodni popełnionej przez milicjantów oraz rozprawa, podczas której władze PRL starały się przerzucić odpowiedzialność na sanitariuszy i lekarzy – dotyczy spraw sprzed ponad trzech dekad, ale mechanizmy przemocy, o których działaniu opowiada, są uniwersalne. Reżyser, wcześniej wyróżniony gdyńskimi Lwami za „Ostatnią rodzinę”, podczas pracy nad swoim drugim pełnometrażowym filmem przyznawał, że losy Przemyka nieustannie wracają do niego w codziennych serwisach informacyjnych z różnych stron świata. Matuszyński miał tu na myśli m.in. głośną sprawę George’a Floyda, uduszonego przez policjanta czarnoskórego mieszkańca Minneapolis, która niedawno doczekała się swojego sądowego finału. Był to finał w historii amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości rzeczywiście przełomowy, bo w USA rzadko dotąd dochodziło do skazywania funkcjonariuszy dopuszczających się nadużyć w trakcie interwencji. Ale zanim Derek Chauvin został uznany winnym śmierci Floyda, z rąk policjantów ginęli kolejni, często bardzo młodzi ludzie.

„Żeby nie było śladów” (na kadrze z filmu: Łukasz Gawroński, Mateusz Górski w roli Przemyka i Tomasz Ziętek) weźmie także udział w tegorocznym konkursie głównym podczas Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni. ©P



ŁUKASZ BAK / MATERIAŁY PRASOWE KINO ŚWIAT



SZCZĘŚCIE W REKONSTRUKCJI

Nic tu nie jest dane z góry: siłą więzi pokrewieństwa, mocą umowy społecznej, a tym bardziej z majestatu prawa. Mimo to – a może właśnie dlatego – co najmniej pół miliona polskich rodzin patchworkowych mówi o sobie po prostu: nasza rodzina.

MAREK RABIJ

W CENTRUM UWAGI POZOSTAJĄ NIE-mal zawsze dzieci, lecz bohaterów dramatu jest przecież więcej.

Rodzic. Zazwyczaj poobijany po poprzednim związku. Z bagażem marzeń i wyobrażeń o rodzinie z prawdziwego zdarzenia, których nie udało się zrealizować z poprzednim partnerem lub part-

nerką. Rozdarty między pragnieniem miłości a poczuciem, że dla dobra dzieci nie powinien próbować kolejny raz.

„Ona” lub „on”, czyli ten nowy członek rodziny. Często przytłoczony oczekiwaniami, że się bezwarunkowo dostosuje do układu, w który wszedł, bo przecież „wizjały gały, co brały” – jakby te gały nie

miały prawa do własnego oglądu rzeczywistości, o marzeniach nie wspominając. Albo zawstydzony brakiem tej pierwotnej więzi z dzieckiem, w jaką natura wyposaża biologicznych rodziców. Poproszony o wytarcie tyłka dziecku partnerki raczej nie przyzna szczerze, że się boi lub po prostu czuje obrzydzenie. Do czasu,



aż pewnego dnia z ulgą skonstatuje, że przestał się brzydzić.

Jest też oczywiście biologiczny ojciec dzieci (o wiele rzadziej: matka), który już nie mieszka z nimi pod jednym dachem. Ale myśl, że do szkoły zawozi je teraz obcy facet, długo będzie trudniejsza do oswojenia od wyobrażeń, co ten nieznanomy wyprowadzi w łóżku z byłą żoną.

Prędzej czy później na scenie pojawiają się również dziadkowie i dalsi krewni, bezosobowe „komu herbatki?” i dyskretne złośliwości, maskujące bezradność i zagubienie w tym nowym, nienormalnym dla nich układzie zwanym „rodziną patchworkową”.

Szansa na szansę

– A moja mama nazywa nas „paciorkami” – zaznacza z dumą w głosie Robert. – Długo nie mogła zapamiętać słowa „*patchwork*”, myliło jej się. A poza tym, jak mówi, nas wymodliła. Żeby nie został na starość sam jak palec.

Robert z angielskim patchworkiem nie ma problemu. Trudności sprawić może

mu najwyżej tłumaczenie tego słowa na polski. Zbiór? Zestawienie? Bo przecież nie „niejednolita całość”, jak nieudolnie podpowiada internetowy tłumacz. Najprościej powiedzieć właśnie „*patchwork*”, przynajmniej komuś takiemu jak on, kto w mieszkał w Anglii 14 lat i po angielsku mówi niemal bez obcego akcentu. A do Polski wrócił właśnie dla Sabiny. Poznali się na imprezie integracyjnej firmy. Ona pracowała w warszawskim oddziale, a on w centrali w Bristolu.

– Już na wstępie powiedziała, że ma siedmioletnią córkę, chyba po to, żeby mnie spławić – uśmiecha się Robert. – Godzinę później rozmawialiśmy już jak starzy przyjaciele, rozumieliśmy się bez słów. Zrobiła na mnie nieprawdopodobne wrażenie inteligencją, wrażliwością, ale także zaradnością, bo nie tylko ciężko pracowała, ale jeszcze praktycznie sama ogarniała opiekę nad dzieckiem. Niecałe pół roku później się oświadczyłem. Plan był taki, że zamieszkamy wszyscy w Bristolu, ale ojciec Lenki nie zgadzał się na wyjazd córki na stałe z kraju. Zała-

twiłem więc sobie w firmie przeniesienie do Warszawy. No i już prawie cztery lata jesteśmy razem.

Robert początkowo nie zgadza się na rozmowę. Nie widzi – jak podkreśla – powodu, żeby zwyczajna historia kawalera pod czterdziestkę, który związał się z kobietą z dzieckiem, miała trafić do mediów.

– Powinniście raczej napisać o mojej mamie. Ma 74 lata, jest głęboko wierząca, ale gdy jej powiedziałem, że spotykam się z rozwódką, tylko się zaśmiała: „W twoim wieku to już się nie wybrzydza”. Szanuje i chyba lubi moją żonę, a na punkcie Lenki zwariowała, rozpieszczę ją, jak przystało babci. W Wigilię dzwoni nawet z życzeniami do mamy ojca Leny, odkąd się poznały na komunii. Kiedy Sabina mówi, że wreszcie w jej życiu jest tak, jak być powinno, dociera do mnie: mieliśmy dużo szczęścia, że na siebie trafiliśmy.

→ To, co Robert składa na karb szczęśliwego zbiegu okoliczności, socjolog nazwałby zmianą nastrojów społecznych. W kontekście rodzin patchworkowych (określanych w statystykach GUS rodzinami zrekonstruowanymi) mowa zwykle o gwałtownie rosnącej fali rozwodów. Istotnie: na 145 tys. małżeństw zawartych w 2020 r. przypadło aż 51,2 tys. orzeczeń rozwodowych. Dla pełnego obrazu warto jednak dodać, że blisko 44 tys. par biorących wówczas ślub składało się też z co najmniej jednej osoby po rozwodzie.

To bodaj jedno z najważniejszych przesłań w krajobrazie społecznym wojennej Polski, które sprawiło, że na osobach po nieudanym małżeństwie nie spoczywa piętno infamii przekreślające szansę na kolejną próbę. Jeszcze na początku lat 70. XX w. wśród osób biorących ponownie ślub przeważali wdowcy i wdowy. Obecnie na każde sto par wступających ponownie w związek małżeński aż 57 stanowią pary z co najmniej jednym rozwodnikiem. Jednocześnie liczba rozwodów w Polsce od dwóch dekad niezmiennie oscyluje w przedziale 50-60 tys. rocznie.

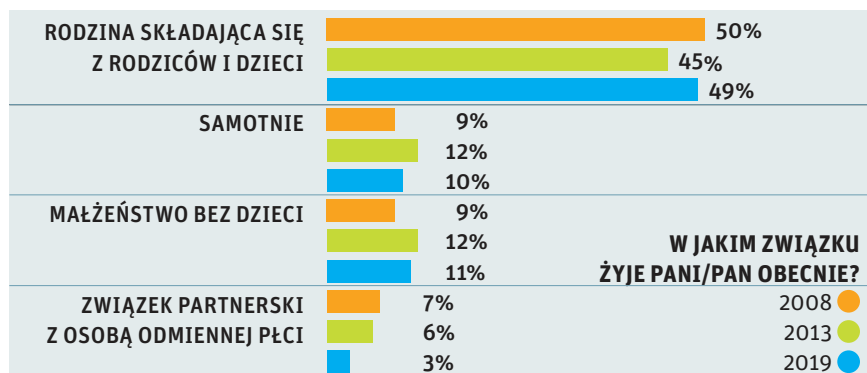
„Plaga rozpadu małżeństw” jest więc zjawiskiem w znacznej mierze statystycznym i wynika raczej z kurczącej się bazy, jaką stanowi malejąca liczba zawieranych małżeństw (w ciągu ostatnich 12 lat ubyło ich w skali roku aż o sto tysięcy). Nie ulega wątpliwości, że w XX w. ślub stracił na znaczeniu, ale to jeszcze nie znaczy, że tyle samo zyskała instytucja rozwodu. A tym bardziej nie można z tego wyciągać wniosków o fiasku idei rodziny.

Miedzy słowem a paragrafem

– Miałem wtedy jakieś 10 lat – wspomina Tomek. – Do szkoły od pierwszej klasy zawoził i odwoził mnie ojczym. Ojciec mieszkał od nas może pięć kilometrów, ale nigdy nie palił się do wywiadówek, akademii i innych szkolnych obowiązków. Kontakt z nim miałem zresztą sporadyczny.

Pewnego dnia ojczym Tomka musiał wyjechać. Matka była w pracy i jedyną osobą, która mogła odebrać chłopca ze szkoły, był ojciec.

– Pamiętam, że podeszła do mnie zdenerwowana pani ze świetlicy i powiedziała, że muszę kogoś zidentyfikować – ciągnie Tomek. – Nie rozumiałem, co to znaczy, ale nauczycielka wyjaśniła, że



Z badania CBOS z lat 2008/2013/2019 r. o postrzeganiu rodziny przez Polaków, wybrane odpowiedzi

przyszłł po mnie jakiś pan i upiera się, że jest moim tatusem.

Ojciec został otoczony przez nieufne nauczycielki i wylegitymowany. Nazwiska się zgadzały. Niestety, nie figurował na liście osób uprawnionych do odbioru dziecka. Widniały na niej dane mamy Tomka, ojczyma oraz jego matki, która od czasu do czasu przychodziła do szkoły po przyszywanego wnuka. Wezwana przez woźną dyrektorka kategorycznie odmówiła wydania ucznia nieznanemu człowiekowi.

– Tata się wściekł. Zadzwoził na policję i domagał się interwencji w obronie jego praw rodzicielskich – uśmiecha się Tomek. – Musieli go zlekceważyć, bo w końcu przełknął zniewagę i postanowił porozmawiać z byłą żoną. Mama nie odbierała, ale wychowawczyni udało się na szczęście doprowadzić do mojego ojczyma, który potwierdził tożsamość ojca. W końcu nas z tej szkoły wypuścili. Wtedy po raz pierwszy odczułem, że moją rodzinę trudno porównywać z innymi.

Rodziny patchworkowe nadal funkcjonują w Polsce w prawnym i instytucjonalnym otoczeniu, które usiłuje nie dostrzegać ich istnienia. Nadal, bo pierwsze naukowe opracowania podnoszące konieczność dostosowania kodeksu rodzinnego do przewidywanych zmian społecznych pochodzą jeszcze z lat 80. zeszłego wieku. Na statystycznym celowniku rodziny zrekonstruowane znajdują się od 2002 r., kiedy po raz pierwszy w Polsce zliczono je w ramach spisu powszechnego (na wyraźne życzenie unijnego Eurostatu). Ustalono wtedy, że w 107,7 tys. rodzin przynajmniej jedno z dzieci nie było dzieckiem wspólnym aktualnych opiekunów; 73,3 tys. omawianych rodzin stanowiły małżeństwa, a 34,4 tys. związki

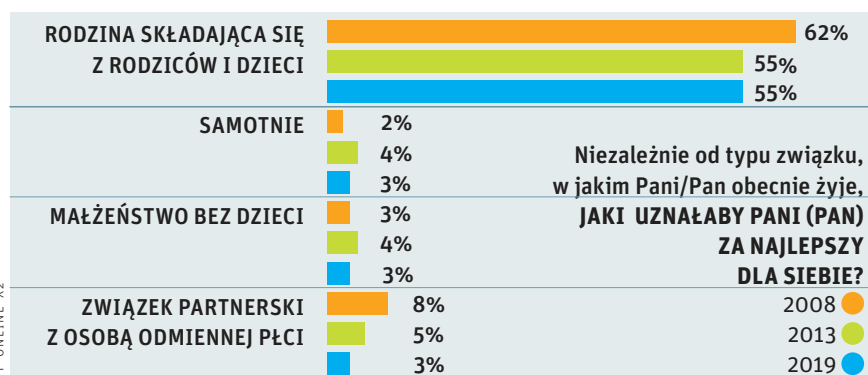
partnerskie. Aż 65 proc. rodzinnych patchworków funkcjonowało w miastach.

Ile może być ich dzisiaj? Odpowiedź na to pytanie przyniesie tegoroczny spis powszechny, ale choćby na podstawie liczby rozwodów badacze szacują liczbę rodzin patchworkowych w przedziale od 500 tysięcy do nawet miliona. Ten egzotyczny do niedawna termin na stałe zagnieździł się też w tkance polszczyzny. Jak zauważa Iwona Burkacka w artykule „Monoparentalność, wielorodzina i rodzina zrekonstruowana. Współczesne nazwy modeli życia rodzinnego”, pojęcie patchworku w odniesieniu do relacji między członkami rodziny budzi obecnie w Polsce neutralne konotacje. Opisuje pewne zjawisko bez wkraczania w sferę przypisywania do niego wartości.

Identyczny stosunek do rodzin patchworkowych wykazuje Temida. Ani wspomniany już kodeks rodzinny i opiekuńczy, ani przepisy prawa spadkowego, ani nawet ustawa o ochronie danych osobowych nie próbują, jak dotąd, kompleksowo zmierzyć się z istnieniem rodzin zrekonstruowanych. Szczególnie dotkliwie daje to znać o sobie na płaszczyźnie prawa rodzinnego. Z jednej strony aktualne małżeństwo korzysta z pełnej ochrony państwa, a z drugiej strony rozwód nie likwiduje wszystkich skutków prawnych poprzedniego – zwłaszcza gdy partnerzy mają dziecko z poprzedniego małżeństwa i nieograniczone prawa rodzicielskie. Podmiotem domyślnym we wszystkich wymienionych aktach prawnych pozostaje rodzina definiowana więc zami pokrewieństwa.

Prosta sprawa

– Kiedy poznałam męża, był tuż po rozwodzie. Dwójka dzieci została z matką. Widywałam je systematycznie co dwa



Z badania CBOS z lat 2008/2013/2019 r. o postrzeganiu rodziny przez Polaków, wybrane odpowiedzi

-trzy tygodnie, Tomek czasem przypro-wadzał je do mnie w weekendy, więc gdy po dwóch latach związku zamieszkaliśmy razem, obecność jego dzieciaków pod moim dachem wydawała mi się już czymś naturalnym – opowiada Katarzyna, rozglądając się po każdym zdaniu, jakby chciała się upewnić, że nie słyszą jej goście przy innym stoliku.

Rozmawiamy na krakowskim Kazimierzu. Katarzyna jest wysoką, wysportowaną czterdziestolatką. Archetyp tzw. kobiety sukcesu: odpowiedzialna, wysoko płatna praca, zasłużona renoma w branży, luksusowe mieszkanie w centrum Krakowa. I dwójka własnych dzieci.

– Problemy zaczęły się zaraz po narodzinach bliźniaków – wspomina. – Na weekend wpadły dzieci mojego męża, ba-wiły się jak zwykle w salonie, a ja niespodziewanie wydarłam się na nie, że mogą obudzić dzidziusia. Wieczorem rozmawialiśmy z Tomkiem, który miał o to pretensję, i wtedy dotarło do mnie, że nawet nie zrobiło mi się głupio. Wtedy pierwszy raz pomyślałam, że narodziny moich dzieci mogły coś zmienić w moim stosunku do tamtych.

Po kilku następnych wizytach, równie burzliwych, Katarzyna napisała na grupie jednego z forów parentingowych post, w którym spytała inne matki o podobne uczucia. – Osiem dziewczyn odpisało mi, że przeszły to samo. Choć tego nie rozumiały, zachowywały się jak lwice próbujące zagryźć potomstwo innej samicy.

Dzieci Tomka przestały przyjeżdżać na weekendy. Ojciec jeździ do nich. Nad-szarpięta relacja z macochą okazała się nie do odbudowania, zwłaszcza gdy we-szły do wieku nastoletniego.

– Szczerze? Jakoś mnie to nie boli. Może gdybym o to bardziej zabiegała,



wyszłoby inaczej – przyznaje Katarzyna, zamawiając kolejną kawę. – Ale to, że nie zabiegałam, nie jest przecież dziełem przypadku.

Być może oczekiwanie wobec systemu prawnego, że będzie w stanie przewidzieć większość życiowych scenariuszy, jest oczekiwaniem grubo na wyrost. W rodzinach patchworkowych cechą charakterystyczną jest bowiem pewna dowolność zażyłości między tworzącymi ją członkami. Przyszywana babcia może z racji cech charakteru okazać się bliższa wnukom od matki ich biologicznego ojca. Przybrane rodzeństwo może – jako dorośli ludzie – dogadywać się lepiej od bliźniąt, ale biologiczny ojciec mieszkający na drugim krańcu Polski może również koniec końców okazać się dziecku bliższy od widywanego codziennie ojczyma.

W patchworku więzi rodzinne są zawsze pochodną pracy i włożonego w nie wysiłku i empatii [więcej na ten temat w rozmowie z prof. Bogdanem de Barbaro na kolejnych stronach – red.]. I być może z tego też wypływa tak wielka tolerancja, z jaką polskie społeczeństwo traktuje dziś zrekonstruowane rodziny.

„To, że większość Polaków za wzorzec rodziny uważa dwupłciowe małżeństwo wychowujące własne dzieci, nie musi (...) oznaczać niechęci do rodzin patchworkowych, samotnych rodziców czy niezgody na nazywanie rodziną związku dwojga bezdzietnych osób. Przeciwnie: kolejne badania od lat pokazują, że w Polsce przy-bywa osób gotowych rozciągać definicję rodziny na związki osób bezdzietnych lub wręcz jednopłciowe. Nawet w odniesieniu do związków jednopłciowych wychowujących dzieci odsetek Polaków skłonnych nazwać je rodziną wzrósł między 2008 a 2019 r. z 9 do 23 proc.” – pisaliśmy rok temu z Przemysławem Wilczyńskim w raporcie zatytułowanym „Partia władzy nad rodziną”. Cytowaliśmy również słowa Jarosława Kaczyńskiego, który podczas konwencji programowej PiS w Słupsku w 2019 r. tak zdefiniował rodzinę: „Stały związek kobiety i mężczyzny, no i dzieci. Prosta sprawa”.

Otóż właśnie nie taka prosta.

Od początku lat 90., kiedy Kaczyńskiemu mogły krystalizować się poglądy na ten temat, odsetek dzieci przycho-dzących na świat w związkach niefor-malnych wzrósł z 10 do niemal 26 proc. Między 2002 a 2011 r. – czyli pomiędzy dwoma ostatnimi spisami powszechnymi – liczba Polaków żyjących bez ślubu wzrosła z 400 do 650 tys., czyli z 1,3 proc. do 2 proc. populacji. Choć powyższe zmiany nie oznaczają, że tradycyjna rodzina, pojmowana tak, jak widzi ją prezes PiS, należy w Polsce do rzadkości.

W badaniu „Preferowane i realizowane modele życia rodzinnego”, które przeprowadził CBOS w kwietniu 2019 r., aż 49 proc. ankietowanych opisywało w ten sposób swój status rodzinny: jako dwuosobową rodzinę „po ślubie”, z dzieckiem lub dziećmi. Kolejne 21 proc. określiło krąg swych najbliższych jako rodzinę wielopokoleniową, a co dziesiąty badany okazał się osobą samotną. Ankietowani wychowujący dzieci w nieformalnym związku z osobą innej płci stanowili 3 proc. przebadanych, a samotni rodzice – 1 proc. Co ważne: w porównaniu

→ z danymi z bliźniaczej ankiety przeprowadzonej w 2008 r. w każdej z ostatnich dwóch kategorii zaobserwowano w 2019 r. spadki. Odsetek ankietowanych, którzy opisali swoje rodziny jako tradycyjne lub wielopokoleniowe, nie uległ tymczasem zmianie.

Politycy opozycji i lewicowi aktywiści, którzy zarzucają PiS dążenie do rekonstrukcji dawno porzuconego przez Polaków wzorca rodziny, nie odczytują zatem poprawnie ani intencji władzy, ani ich społecznego kontekstu. W cytowanym już badaniu ów tradycyjny model wydaje się optymalny dla olbrzymiej większości ankietowanych. Pytanie jednak, czy znakomita większość Polaków opowiedziałaby się także za tym, co PiS uznał za logiczne polityczne rozwinięcie obserwacji socjologicznych. Mianowicie za prerogatywą państwa do modelowania kształtu polskiej rodziny daleko poza sferę demograficzną.

Pary pod parą

Polityka prorodzinna w Polsce za czasów PiS nabrała – jak pisaliśmy przed rokiem – wyraźnego charakteru ideologicznego, bo z premedytacją stawia w centrum rodzinę rozumianą jako związek usankcjonowany przez państwo. Lub przez Kościół – co automatycznie spycha na margines rodziny zrekonstruowane. Co prawda alternatywne formy życia rodzinnego nie były do tej pory obiektem jawnej dyskryminacji prawnej czy instytucjonalnej, ale rządzący dostatecznie często formułują publicznie definicję „polskiej rodziny”, by dać do zrozumienia, kto na to miano nie zasługuje.



Rodziny patchworkowe
funkcjonują
w instytucjonalnym
otoczeniu, które usiłuje
nie dostrzegać ich istnienia.

Zresztą w ostatnich miesiącach neutralny dotychczas przekaz zaczął się radykalizować. Mówiąc o „odejściu od prawdy o rodzinie”, którą ma przechować dla społeczeństwa polska szkoła, minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek nie próbuje nawet kryć, że ową prawdę jego zdaniem definiuje wyłącznie szczególnie rozumiana nauka Kościoła katolickiego. Jeszcze dalej idzie jedna z propozycji zgłaszanych wraz z pakietem ustaw Polskiego Ładu, która zakłada np. zróżnicowanie wypłat z programu 500 plus dla małżeństw i związków nieformalnych: te pierwsze miałyby otrzymywać na każde dziecko po tysiąc złotych.

Czy to jeszcze narzędzie do niwelowania nierówności dochodowych, czy już instrument inżynierii społecznej? Bo żeby przekonać się, że na pewno nie chodzi tu o zatrzymanie rozpędzającej się katastrofy demograficznej, wystarczy rzut oka na dane z dwóch ostatnich spisów powszechnych.

Jeszcze w 2002 r. liczba małżeństw wychowujących przynajmniej jedno dziecko przekraczała w Polsce 5,86 mln. W roku 2011 spadła już do 5,45 mln – czyli o 6,9 proc. Drastycznie, bo o ponad 25 proc. wzrosła za to liczba małżeństw bezdzietnych – z 2,36 do 2,96 mln. W tym samym czasie liczba związków partnerskich w Polsce zwiększyła się ze 197,4 do 316,3 tys., czyli o ponad 60 proc. – ale odsetek tych, które mają dzieci, spadł z 56 do zaledwie 54,1 proc. W obu grupach widać zatem postępujący regres dzietności, lecz wśród rodzin niemających ślubu przebiega on wyraźnie wolniej.

To oczywiście za mało, by utożsamić życie „na kocią łapę” z chęcią posiadania potomstwa. Problem w tym, że partia rządząca i jej ideologiczni akolici nie mają takich rozterek, stawiając na siłę znak równości między instytucją małżeństwa a przetrwaniem narodu.

Rząd musi znać te statystyki, w końcu zapłacił za ich sporządzenie. A jeśli mimo wszystko nie uwzględni ich w swojej strategii demograficznej, to znaczy, że – trawestując słynne słowa Lecha Kaczyńskiego – nie uwzględni ich z jakiegoś powodu.

© P. MAREK RABIJ

Imiona niektórych bohaterów tekstu zostały na ich prośbę zmienione.

REKLAMA

Jutro czeka
nas długi
dzień

film o Helenie Pyz



w kinach w całej Polsce od 6 sierpnia

scenariusz i reżyseria: Paweł WYSOCHAŃSKI
zdjęcia: Bartosz BIEŃK
montaż: Piotr KRUGIEL
muzyka: Michał LORENC
odźwiękowanie: Katarzyna DZIŁA-NAMELA
dźwięk na planie: Anna ROK
korekta kolorów: Jarosław STENCZEWSKI
kierownictwo produkcji: Dominika MANOLA
asystent reżysera: Manoj BASTIA

Black and White Productions
Polski Instytut Sztuki Filmowej
Telewizja Polska
Fundacja dla Somali



POLSKI
INSTYTUT
SZTUKI
FILMOWEJ

Partnerzy z bagażem

BOGDAN DE BARBARO:

Wchodząc w patchworkowy układ, trzeba przyznać emocjom pozostałych członków rodziny klauzulę najwyższego uprzywilejowania: źle mi w danej sytuacji, ale przyjmuję do wiadomości, że pozostali mogą czuć się podobnie.

MAREK RABIJ: Mam w głowie taki patchwork myśli, pytań i wątpliwości związanych z tematem naszej rozmowy, że zacznę od rzeczy najprostszej, czyli skojarzeń. Czym jest dla Pana rodzina patchworkowa?

BOGDAN DE BARBARO: Gdybym miał ująć to najkrócej, powiedziałbym: trudności i szanse. Podobne do tych, które spotykają tradycyjne rodziny, tylko o zwielokrotnionej sile.

Najczęściej co?

O to musiałby pan zapytać socjologa. Psychoterapeutów uczy się od pierwszych zajęć, żeby nie szeregowali pacjentów i ich problemów. W innych profesjach próby takiego porządkowania od szczegółu do ogółu mogą być przydatne, ale w naszym zawodzie to ślepa uliczka. Nie odpowiem więc panu, czy i jak bardzo problemy rodzin patchworkowych różnią się od tych, z którymi zmagają się te, które znamy tradycyjnymi. Mogę, oczywiście z zachowaniem zawodowej tajemnicy, opowiedzieć jedynie o napięciach i problemach targających moimi pacjentami. Miałem w swojej pracy do czynienia z kilkudziesięcioma takimi rodzinami. Aktualnie pracuję z kilkunastoma. No i proszę nie zapominać, że moja perspektywa ogranicza się do tych rodzin, które mają jakiś problem i proszą o pomoc. Tych szczęśliwych, radzących sobie bez wsparcia z zewnątrz, u siebie w gabinecie nie widuję.

Powiedział Pan, że „ludzie proszą o pomoc”. Zdają sobie zatem sprawę z tego, że coś nie działa.

Niekoniecznie. Często dostrzegają jedynie objawy problemu, widzą np., że dziecko nie przychodzi na noc do domu albo wraca po spożyciu alkoholu, ale nie wiążą tego z napięciami w ich rodzinie. Z tym, że były partner matki nadal nie umie się dogadać z tym nowym. Albo ten nowy faworyzuje swoje dziecko z poprzedniego związku, a matka nie potrafi temu zapobiec. Słyszę wtedy prośbę, żeby „coś z nim zrobić”, wpłynąć, wyperswadować. Dopiero w trakcie terapii członkowie rodziny zaczynają dostrzegać, że te prozaiczne, choć oczywiście dotkliwe symptomy mają powiązanie z tym, że w ich patchworku coś się pruje albo złączyło się nie tak, jak powinno, i teraz nie działa.

Zaczął Pan od dzieci – nie tylko one przeżywają trudności.

Ale zwykle to one są najsłabszym ogniwem łańcucha, jaki tworzy rodzina. Nie tylko ta aktualna. Proszę nie zapominać, że związki patchworkowe poprzedzają zwykle silne napięcia w rodzinie przedrozdowej, które mogą jeszcze długo oddziaływać na sytuację w nowym domu. Moim pacjentem był kiedyś chłopiec, który nie potrafił zaakceptować nowego partnera swojej mamy. Pomiędzy nim a ojczymem teoretycznie nie powinno było dochodzić do takich napięć, bo mężczyzna poznał matkę chłopca już po rozpadzie jej małżeństwa z jego biologicznym ojcem. A mimo to chłopiec obwiniał ojczyma o rozwód rodziców. Dopiero podczas terapii doszliśmy do tego, że dziecko nie radzi sobie z nową sytuacją, bo za fiasco małżeństwa rodziców obarcza przede wszystkim siebie. Jeszcze gdzieś na etapie zmagania rozwodowych jego mamie i ojcu zabrakło uważności, a może także empatii, żeby zauważyć w porę, co się dzieje z synem. Kiedy to do nich w końcu dotarło, wszyscy w patchworku mogli tylko spróbować ograniczyć wywołane tym straty, kierując się nadrzędną dla nich wartością, jaką było na szczęście dobro dziecka.

Problem w tym, że w rodzinie patchworkowej nie wystarczy działać reaktywnie, na bieżąco reagować na problemy i zagrożenia. Trzeba przewidywać pewne scenariusze i jak w szachach – zapobiegać im z odpowiednim wyprzedzeniem.

W tradycyjnej rodzinie to też lepsza strategia od gaszenia kolejnych pożarów.

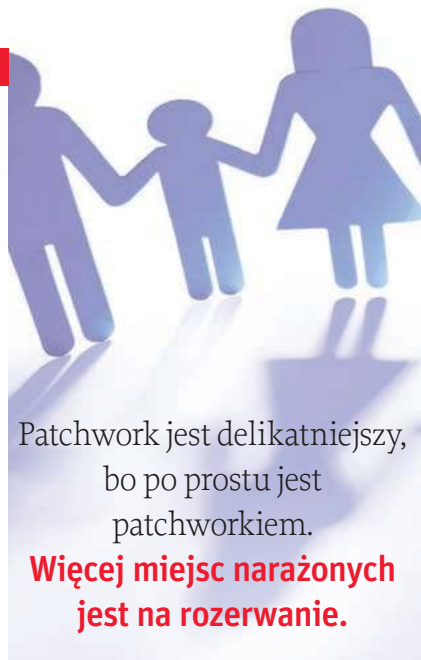
Jasne. Ale będąc aktywnym, biologicznym rodzicem, będzie pan miał zawsze większy margines błędu. Autorytet przybranego rodzica ma krótszą metrykę i może się szybko zużyć, gdy jego posiadacz nie będzie inwestować w relację z dzieckiem. Podobnie będzie z weekendowym tatą, który szybko może stać się dla dziecka kimś w rodzaju starszego kolegi.

Z relacją między dorosłymi partnerami nie jest przypadkiem podobnie? I czy fakt, że polska wizja rodziny jest tak mocno wysycona doktryną katolicką, nie stanowi dodatkowego psychicznego obciążenia dla osób tworzących nowy patchwork? W końcu „co Bóg złączył, tego człowiek niech nie rozdziela”.

Nie wykluczam oczywiście, że w konkretnych przypadkach aspekt religijny staje się dodatkowym balastem. Nie podzielam jednak pańskiego przekonania, że coś, co moglibyśmy nazwać polską wizją rodziny, jest nadal okrzepłe. Przeciwnie: wydaje mi się, że ten wzorzec jest właśnie na zakręcie. Mam wręcz problem z samą definicją, bo nie wiem, czy „tradycyjnej polskiej rodzinie” bliżej obecnie do wyobrażeń konserwatywnych, czy może bardziej liberalnych.

Badania CBOS nie pozostawiają wątpliwości: dla większości Polaków rodzina to związek kobiety i mężczyzny, sformalizowany lub potwierdzony ceremonią religijną. Plus oczywiście dzieci. Jednocześnie w tych samych badaniach widać szybko rosnącą akceptację dla alternatywnych modeli rodziny, np. samotnych matek, związków jednopłciowych i oczywiście rodzin patchworkowych. Wartością nadrzędną dla respondentów staje się wspólnota, miłość, troska o siebie nawzajem.

Gdybym miał przenieść na płaszczyznę psychoterapii to, co pan teraz opisuje językiem socjologii, powiedziałbym, że mówimy o jednym z najczęstszych strachów współczesności, jakim jest obawa przed samotnością. Trudno mi natomiast uwierzyć, że wizja tradycyjnej rodziny →



→ opartej na małżeństwie jest nadal tym, co łączy i porządkuje polskie społeczeństwo, skoro odsetek małżeństw zakończonych rozwodem przekroczył już 30 proc. W sferze czystych deklaracji budowanych na przyzwyczajeniach i sentymentach być może tak jest. Wzorce kulturowe robią jednak swoje i wydaje mi się, że model liberalny bierze powoli górę nad konserwatywnym.

I w tym momencie wróciłbym do początku rozmowy, kiedy zaznaczyłem, że spotykam się jedynie z rodzinami, które już wiedzą, że mają jakiś problem. Otóż dla pewnej części zwolenników, nazwijmy to, liberalnej wizji porządków społecznych, fakt rozpadu małżeństwa nie jest wcale sygnałem alarmowym. Rozpadło się, trudno, założę sobie nową rodzinę.

W domyśle – lepszą.

Tyle że to myślenie czysto życzeniowe, bo jeśli śmierci poprzedniego związku nie potraktuje pan w kategoriach własnej porażki, uzna za coś niejako naturalnego, zmaleją też szanse, że zobaczy pan swoje błędy. Ich dostrzeżenie pozwoli nie popełnić ich kolejny raz. Uniknie się wtedy podążania utartą, znaną ścieżką i powielania starych zachowań, które już raz doprowadziły do oplakanych rezultatów.

Tylko dla porządku zauważę, że coś, co nie zadziało w relacji z jednym partnerem, może się sprawdzić z innym.

Oczywiście. Ale pan już mówi o sytuacji, w której partnerzy są jakoś uwrażliwieni na wzajemne potrzeby. Mnie chodzi o czysto pasożytniczą relację bazującą na założeniu, że nie trzeba w sobie niczego korygować, ulepszać w taki sposób, by zapewnić przestrzeń i komfort partnerowi lub partnerce oraz dzieciom. Taka postawa może wykończyć tradycyjną rodzinę, a tym bardziej patchworkową, która jest na tego typu ciosy znacznie mniej odporna.

Bo tę tradycyjną spajają mocno więzi biologiczne?

Nie przesadzajmy z siłą tych biologicznych fundamentów. Gdyby były faktycznie tak trwałe, nie mielibyśmy tylu rozwodów i rodzinnych patologii. Nie byłoby również tylu szczyśliwych rodzin adopcyjnych, które współczucie dla po-

rzuczonego dziecka potrafią przekuć w głęboką miłość.

Czyli patchwork jest delikatniejszy, bo po prostu jest patchworkiem?

Dokładnie tak. Więcej miejsc narażonych jest na rozerwanie. Związek dwojga ludzi, którzy nie mieli wcześniej rodziny, oznacza start mniej więcej z tego samego punktu. W patchworku tworzący go partnerzy mają najczęściej inne bagaże doświadczeń funkcjonowania w związku, np. niezamężna dotychczas dziewczyna i starszy od niej mężczyzna po rozwodzie, który ma już dzieci. Z poprzednich relacji można też przenieść do nowych traumy i uprzedzenia, choćby nieufność względem partnera, bo poprzedni oszukiwał lub bił dzieci.

Pamiętam wyjątkowo trudny przypadek ojca, który miał dzieci z kilku wcześniejszych związków, a ten ostatni, wciąż trwający, również zaowocował potomstwem. Był to mężczyzna tragicznie wręcz zaplątany w poczucie lojalności wobec aktualnej partnerki oraz oczekiwania tych poprzednich. Próbował im sprostać, zarówno finansowo, jak i pod względem samej obecności w życiu każdego z dzieci, co było oczywiście z góry skazane na porażkę, bo doba ma tylko 24 godziny. W tradycyjnych rodzinach również dochodzi do rywalizacji pomiędzy rodzeństwem o względy rodziców, ale tu emocje były spotęgowane przez poczucie krzywdy każdego dziecka, które akurat w tym momencie nie było z ojcem.

Nie lekceważyłbym wreszcie metryki. Jeśli z pierwszym małżeństwem startu-

jemy coraz częściej po trzydziestce, to łatwo obliczyć, że większość związków patchworkowych tworzą ludzie koło czterdziestki, czyli w wieku, w którym już trudniej porzucić stare przyzwyczajenia i przystosować się do partnera lub partnerki.

Co najbardziej szkodzi rodzinie patchworkowej?

To pańskie „najbardziej” znów biorę w cudzysłów, bo jak mówiłem, w mojej pracy nie posługuję się takimi kwantifikatorami.

Ale niech będzie, w pewnym uproszczeniu mogę powiedzieć, że o nowy początek „najtrudniej” chyba tam, gdzie wcześniej doszło do gry dziećmi pomiędzy rozstającymi się małżonkami. Pół biedy – o ile mogę tak powiedzieć – jeśli taka rozgrywka odbywa się z uchyłonymi przyłbicami. Najczęściej odbywa się to jednak, niestety, w bardziej kameralnej atmosferze, np. w obecności wnuka babcia wtrąci niewinne dwa zdania dośadnego komentarza pod adresem biologicznego ojca. Albo mama zacznie nagle krytykować jakieś zachowania eksmałżonka, których wcześniej nawet nie dostrzegała. W dziecku narasta wtedy poczucie zagrożenia połączone z przekonaniem, że relacje między dorosłymi zawsze mają drugie dno. Staje się przeczulone lub przeciwnie – zaczyna budować wokół siebie mur, przez który potem trudno przedostać się nowym członkom rodziny.

Równie oplakane skutki niesie otwarta wojna między rodzicami biologicznymi, już bez gry dzieckiem, ale wciąż pełna złych emocji, a często wręcz agresji.

Złe emocje mogą pojawić się także już po rozstaniu, kiedy któreś z małżonków zakłada nową rodzinę i dotychczasowy trójkąt dwojga rodziców i potomstwa zmienia się w czworokąt lub jeszcze bardziej rozbudowaną figurę.

To prawda. Zazdrość i poczucie odrzucenia potrafią nieoczekiwanie pojawić się także tam, gdzie wcześniej dawno nie było żadnych emocji.

Mój znajomy długo nie potrafił zaakceptować, że jego córkę będzie odwozić do szkoły nowy partner jego żony – mimo że to on wcześniej porzucił rodzinę. Próbował to sobie racjonalizować. Nic z tego.

Ale pański znajomy przynajmniej zdawał sobie sprawę z tego, że nie reaguje adekwatnie do sytuacji. Mógłby tymczasem – to się niestety często zdarza – próbować sobie zracjonalizować to poczucie odrzucenia i przekuć je w przekonanie, że córce coś zagraża ze strony tego nowego. Łatwiej przecież spojrzeć na siebie samego jak na kogoś, kto broni czci własnego dziecka, a nie ulega narcystycznym frustracjom.

Jak nie wpaść w taką pułapkę?

Przed wszystkim – zastanów się, co czujesz. Co robisz i co mówisz. Przemyśl sobie, jak twoje zachowanie zostanie odebrane przez najbliższych. Wszyscy mamy skłonność do faworyzowania własnych emocji, ocen i decyzji. Wchodząc świadomie w patchworkowy układ, trzeba tymczasem przyznać emocjom pozostałych członków rodziny swoją klauzulę najwyższego uprzywilejowania: zle mi w danej sytuacji, ale przyjmuję do wiadomości, że inni też mogą czuć się podobnie. W ten sposób zostawimy sobie dużo przestrzeni na kompromisy i nie ugrzęźniemy w festiwalu wzajemnych pretensji.

Druga sprawa to dystans do własnych wyobrażeń czy intuicji. Nie twierdzę, że należy je lekceważyć, ale warto, przynajmniej na początku związku, wręcz narzucić sobie większy margines błędu. Mężczyzna, u boku którego dziecko wzrastało przez kilka pierwszych lat życia, może wciąż trafnie odczytywać jego emocje –



GRAZYNA MAKARA

PROF. BOGDAN DE BARBARO jest psychiatrą i psychoterapeutą, przez wiele lat był pracownikiem Katedry Psychiatrii Collegium Medicum UJ.

mimo że już z nim nie mieszka. I w drugą stronę: nadal jestem biologicznym ojcem dziecka, ale widuję je teraz co drugi weekend, może więc osoba, która przebywa z nim na co dzień, akurat ma rację sygnalizując jakiś problem?

Nowi partnerzy miewają problemy nie tylko z poprzednikami. Często trudno o akceptację ze strony rodziny partnerki – nie mówiąc już o rodzicach tamtego, którzy po rozwodzie syna nie przestali być dziadkami.

Dlatego podczas terapii często rysuję z pacjentami schemat ich patchworku, zaznaczając na nim bliższe i dalsze kręgi – żeby zdali sobie sprawę z tego, że relacja między partnerami w związku czy między nimi i ich dziećmi powinna być jednak traktowana priorytetowo.

W klasycznej wielopokoleniowej rodzinie istnieją wyraźnie wyznaczone granice międzypokoleniowe. Wiadomo z góry, że zdanie rodziców znaczy więcej od opinii dziadków.

W rodzinie patchworkowej czasem dochodzi do zakłóceń w tej hierarchii, choćby takich, o jakich pan wspominał, kiedy dziadkowie nie chcą uznać prymatu wychowawczego nowego partnera. Albo powstaje niebezpieczna dla związku diada matki i córki, którą nowy partner zaczyna, nierzadko podświadomie, atakować. One się bronią, on czuje się wyobcowany, odsuwa się w pracę, a w końcu odchodzi. Dla dobrej rodziny lepiej pogodzić się z faktem, że nie da się wyeliminować wszystkich napięć i niesnasek.

Ktoś będzie niezadowolony?

I lepiej, żeby była to np. pańska matka niż żona. Mama wybaczy panu prędzej czy później, bo w tę relację opartą na miłości bezwarunkowej mechanizm przebaczenia jest wpisany na stałe. Żona kochać bezwarunkowo nie będzie. Ale przyzna pan, że mówimy o tym, co może się zdarzyć, a nie o tym, jak zawsze jest.

© © Rozmawiał MAREK RABIJ

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Spornik (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabij,
Mariusz Sepioto, Krzysztof Story,
Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
Wojciech Pięciak (kierownik),
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,
Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioto,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński,
Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Marta Bogucka, Zuzanna Kardyś,
Andrzej Leśniak, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin,
Sylvia Frotow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska,
Maja Kuczińska (kierownik), Mateusz Gawron,
Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna
Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Redaktor wydawniczy specjalnych Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Jan Kłata, Andrzej Stasiuk,
Jacek Podsiadło, Dorota Mastowska, Zuzanna Radzik,
Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Hanna Krall

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz,
Wojciech Brzeziński, Beata Chomętowska,
s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska,
Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek,
Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík,
ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka,
Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz,
Piotr Koslewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka,
Stanisław Łubiński, Szymon Łucyk, Józef Majewski,
Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja,
Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena
Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki,
Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszać,
Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet,
Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński,
Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś,
Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk,
Władysław Stróżewski, Marcelina Szmer-Brysz

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET
GRUPA TOŻA

S-NET zapewnia wsparcie
technologiczne
dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIAJA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

MAŁGORZATA

Kordowicz: Mezuza



USŁUŻNY EDYTOR TEKSTOWY NIEZMIENNIE podpowiada: mezuza. Ależ nie mezuza, tylko mezuzal Zet – jak ząb-zupa-zębowa. *Mezuza* (liczba mnoga: *mezuzot*) w biblijnym hebrajskim oznacza węgar, czyli belkę, która ogranicza z boku otwór drzwiowy.

Węgry z nadprożem tworzą odrzwia – np. przed dziesiątą plagą egipską Izraelici mieli oznaczyć swoje odrzwia (czyli m.in. mezuzot) krwią baranka. W rozdziale szóstym Księgi Powtórzonego Prawa czytamy: „I niechaj będą te słowa, które Ja ci dzisiaj przykazuję, na twoim sercu (...). Napiszesz je na mezuzach swojego domu i na bramach swoich” (wersy 6 i 9).

Oczywiście, że to metafora – mamy wsłuchiwać się w Boże słowa, przebywając w ścianach naszego domu i postępować zgodnie z nimi. Ale kto powiedział, że wersu dziewiątego nie można potraktować również literalnie? Dosłowne wypełnienie tego przykazania polega na przymocowaniu do futryny zwoika pergaminu, który Talmud również nazywa mezuzą. Zwoik jest kosztowny, pisany ręcznie przez skrybę, a umieszcza się go w ochronnym futerale, zwykle drewnianym, metalowym bądź ceramicznym. Ważniejsze więc od podłużnego ozdobnego pudełka jest jego wnętrze.

Na pergaminie skryba kaligrafuje pierwsze dwa fragmenty (Pwt 6, 4-9 i 11, 13-21) modlitwy Szema Jisrael, czyli „Słuchaj Izraelu”. To kluczowe dla judaizmu słowa – coś jak żydowskie *credo*: „Słuchaj, Izraelu, Pan, nasz Bóg, jest Bogiem Jedynym...”. W każdym z tych fragmentów pada: napiszcie te słowa na swoich odrzwiach i bramach. Po drugiej stronie zwoika znajduje się jedno z imion Bożych – *SzaDaJ* (powiedzmy: Wszechmocny), które można zarazem potraktować jako akronim wyrażenia *Szomer daltot Jisrael*, czyli Strażnik drzwi Izraela. Są tam jeszcze trzy, na pierwszy rzut oka niezrozumiałe, zbitki liter – to zaszyfrowane imiona Boże.

Mezuzę umieszcza się po prawej stronie drzwi. Jej dolny brzeg znajduje się tam, gdzie zaczyna się górna jedna trzecia futryny. Pudełeczko jest zwykle pochylone ku wnętrzu – dlaczego? Największy z komentatorów powiada, że powinno być przymocowane pionowo, natomiast jego wnuk twierdzi, że poziomo. Autor kodeksu prawa zaznacza, że wypełniający starannie przykazania postępują zgodnie z obiema opiniami i dlatego mezuzę przyczepiają pod kątem.

Przechodząc przez drzwi, wielu Żydów dotykało mezuzy i potem całowało palce, ale trzeba się było tego oduczyć w czasie pandemii. Sama obecność pergaminowego zwoika na framudze domu stanowi symboliczną ochronę jego mieszkańców. Jak powiada Talmud: „Król z krwi i kości siedzi wewnątrz [swojego pałacu], a jego słudzy strzegą go z zewnątrz. Natomiast w przypadku Boga to Jego słudzy siedzą wewnątrz [swoich domów], a On strzeże ich z zewnątrz”. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Bóg z kołem ratunkowym



„ŻYDZI JEDNAK OBURZALI SIĘ NA NIEGO, ŻE POWIEDZIAŁ: »Ja jestem chlebem, który zstąpił z nieba«. I pytali: »Czy to nie jest Jezus, syn Józefa? Czyż nie znamy Jego ojca i matki? Jakim więc prawem mówi teraz: 'Zstąpiłem z nieba'«?».

Jakim prawem? Prawem do prawdy. Skoro jesteśmy dziećmi Boga, to tym samym wszyscy jesteśmy z nieba, co nie znaczy, że spoza światów. Nasz Bóg nie spadł z nieba, jak tego oczekiwano. Przyszedł do nas w człowieku, Jezusie z Nazaretu, którego ojca, matkę, siostry i braci jego dyskutanci znali. Jeśli jednak chcielibyśmy zarzucić im złą wolę, musimy uważać, żeby nie popełnić, jak mówi Jan od Krzyża, grzechu pychy religijnej. Rzecz bowiem nie w tym, że nie dowierzają oni Jezusowi i podejrzliwie na Niego patrzą, ale że nie chcą z Nim rozmawiać. Nie chcą, gdyż to, co Jezus mówi, nie pasuje do ich poglądów na Boga i świat. Czują się bezradni wobec tej Jezusowej nowości, dlatego chcą się Go pozbyć. Nie pierwsi i nie ostatni.

W momencie, kiedy Bóg staje się problemem, mamy dwa wyjścia. Delikatnie mówiąc, zostawić Boga w spokoju – lub przyrzec Mu się dokładniej. Może się wtedy okazać, że oczekiwaliśmy od Niego rzeczy niemożliwych do spełnienia, gdyż zapomnieliśmy, że „to ludzie źli i wiarołomni domagają się znaku, ale będzie im dany jedynie znak proroka Jonasza”. Znaku, czyli cudu. Znak Jonasza już otrzymaliśmy: Jezus żyje. Problem zatem nie leży po stronie Boga. Wątpliwości względem Boga, Kościoła, wiary stwarzają doskonałą okazję do refleksji. Pod warunkiem, że nie potraktujemy ich jako przejawu osłabienia, utraty wiary, ale jako szansę na jej rozwój.

Obawa przed utratą wiary sprawia, że popadamy w grzech pychy religijnej: moja wiara jest najprawdziwsza. Taka wiara ma jednak krótkie nogi. Gdy zdarzy się nieszczęście, zaraz padnie pytanie: gdzieś byłeś, Boże, kiedy w słoneczny dzień to nął mój syn?

Odpowiedź, proszę wybaczyć, zabrzmiała banalnie: Bóg siedział na wieżycie obserwacyjnej i ostrzegał przez megafon, żeby nie wchodzić do wody. Jeździł na skudzie i bezskutecznie przepędzał „skaczących na falach”. Kiedy indziej stał w mundurze policjanta i wyłapywał pijanych kierowców. A po północy telefonował do restauracji z prośbą o ściszenie muzyki.

Apoloniusz Kurylczyk, prezes WOPR województwa zachodniopomorskiego, mówi: „Nieżywy człowiek leży na piasku, jeszcze nie zabrano ciała, obok płacze rodzina, a już kolejni plażowicze wchodzą poskakać na falach, jakby byli wodoodporni. Czasami rzuca ratowników: »ja dam radę« i idą do wody (...). Chciałbym podkreślić, że ratując te osoby, jednocześnie narażamy własne życie”. Jest nas, katolików, 32,5 miliona, ale niektórym wystarczy po swojemu kochać Boga – ludzi już nie muszą. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Natychmiast

Dobro przyjmuj spokojnie.

ABBA JAN KARZEŁ



*Źródłem smutku
nie jest brak,
lecz pragnienie tego,
czego brak.*

EPIKTET



PIERWSZE ZDANIE Dobrej Nowiny wypowiedziane przez Jezusa (w zapisie św. Marka) brzmi: „Czas się wypełnił i bliskie jest królestwo Boże: (Mk 1, 15).

Ewangelia Jezusa rozpoczyna się więc od rozeznania co do czasu, ściślej mówiąc: chwili, momentu. W greckim tekście pada tu bowiem słowo *kairós*, które oznacza tyle, co „moment”, „krótka chwila”, a także: „szansa”, „okazja”. Pewnie najlepiej jest usłyszeć wszystkie te desygnaty razem i wtedy wiemy, że chodzi o szansę, która jest wpisana w dziejący się właśnie moment: „teraz”.

Jakiej reakcji domaga się *kairós*?

Odpowiedź przychodzi w kilkunuastu dalszych wersetach pierwszego rozdziału św. Marka. Zawarta jest ona w słowie *euthús*, które oznacza „natychmiast”, „zaraz”, „od razu”, „wprost”. W następnych 13 wersetach pada ono aż siedem razy:

„Natychmiast zostawili sieci i poszli za Nim” (w. 18);

„I natychmiast ich powołał” (w. 20);

„Zaraz w szabat wszedł do synagogi i nauczał” (w. 21);

„Był właśnie w synagodze człowiek opętany” (w. 23);

„I wnet rozeszła się wieść o Nim” (w. 28);

„I natychmiast, wyszedłszy z synagogi, przyszedł do domu Szymona i Andrzeja” (w. 29);

„I zaraz powiedzieli Mu o niej” (w. 30).

Owo *euthús* (zaraz, natychmiast) czyni cały tekst niesłuchanie dynamicznym; więcej, czyni takim całą serię wydarzeń, cały ów dzień, pierwszy dzień publicznej działalności Jezusa. Zwłaszcza jeśli pamiętać, że ów dzień to szabat, a więc raczej czas zwolnienia akcji i wypoczynku. A tu takie tempo...

Taka jednak jest Ewangelia w wydaniu. Dzieje się już. Przychodzi jako niesłuchana szansa teraz. Potrzebuje odpowiedzi natychmiast.

Jakże się mamy do tej, zarysowanej w pierwszym zdaniu Jezusa, dyscypliny Ewangelii?

Jak się do niej mamy z naszym: „jutro”; „jeszcze nie teraz”; „za rok”; „za dziesięć”; albo najprościej: „kiedyś”; „przyjdzie na to czas”...

Czas właśnie przyszedł. I przechodzi.

©

CZYTANIA LITURGICZNE (8 – 15 VIII)

19. niedziela zwykła: 1 Krl 19, 4-8;

Ps 34; Ef 4, 30 – 5, 2; J 6, 41-51;

Poniedziałek: Oz 2, 16b. 17b. 21-22;

Ps 45; Mt 25, 1-13;

Wtorek: Mdr 3, 1-9; Ps 112; J 12, 24-26;

Środa: Pwt 34, 1-12; Ps 66; Mt 18, 15-20;

Czwartek: Joz 3, 7-10a. 11. 13-17;

Ps 114; Mt 18, 21 – 19, 1;

Piątek: Joz 24, 1-13; Ps 136; Mt 19, 3-12;

Sobota: Mdr 3, 1-9; Ps 116B;

1 J 3, 13-16; J 15, 9-17;

Niedziela, uroczystość Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny: 1 Krl 15, 3-4. 15-16; 16, 1-2;

Ps 132; 1 Kor 15, 54-57; Łk 11, 27-28.

Wybrał PIOTR SIKORA

DYLEMATY PRZYSTAWKI

Lewica wciąż nie wie, czy ma być raczej samodzielna, czy wpasować się w szerszy blok anti-PiS. A wynik starcia w najbliższych wyborach będzie zależał od małych partii i tego, jak zdefiniują swoich wyborców.

JAROSŁAW FLIS



WŚRÓD LICZNYCH PRZESILEŃ, KTÓRYCH doświadczamy w polskiej polityce, największy ambaras wzbudza ostatnio spór na lewicy o warunki mającego niebawem nastąpić zjednoczenia. Wielkie hasła i małostkowość, ciężkie zarzuty i niejasne obietnice, odwołanie do wartości i proceduralne sztuczki – ktoś z zewnątrz mógłby pomyśleć, że to niewiele więcej niż typowa sieciowa „lajnoburza”. W dodatku w szklance wody – czyli w ugrupowaniu od 16 lat będącym w opozycji, zajmującym czwarte-piąte miejsce w sondażowych rankingach poparcia. Jeśli jednak zdjąć formalną i personalną otoczkę ze spo-

ru Włodzimierza Czarzastego z wyrzucenymi przezeń z zarządu działaczami, zobaczymy istotny spór, w którym racje stron i waga rozstrzygnięć są znacznie poważniejsze. Te wstrząsy to znak, że lewica wjechała na zwrotnicę. Nie jest tam sama.

Stan spraw

Po ostatnich wyborach sejmowych wyglądało, jakby lewica złapała drugi oddech. Wcześniej SLD przysparzał dwie nowe inicjatywy – Wiosnę i Razem, które się pojawiły w poprzednich kilku latach. Nagrodą było poparcie wyższe niż w dwóch poprzednich wyborach.

Protesty z późniejszej jesieni zeszłego roku po wyroku Trybunału Konstytucyjnego w sprawie ograniczenia możliwości aborcji, a następnie zachowanie parlamentarnej lewicy na wiosnę przy okazji ratyfikacji unijnego Funduszu Odbudowy, to wszystko sprawia, że lewica przyciąga uwagę w przekazie publicznym w większym stopniu niż uwagę wyborców rejestrowaną w sondażach.

Rządy PiS przyniosły wzrost deklaracji lewicowych poglądów w społeczeństwie, choć dalej samoidentyfikacje prawicowe są dwukrotnie liczniejsze. Niemniej ludzie deklarujący poglądy lewicowe jest około 20 proc. Tyle że o takim wyniku partia z lewicą w nazwie może tylko pomarzyć. Z drugiej strony jest też na partię jednoznacznie lewicową popyt – suma poparcia dla różnych ugrupowań lewicy zawsze przekraczała 10 proc. Część zadeklarowanych lewicowców wybiera partie o szerszych odwołaniach ideowych, lecz zawsze też jakaś część wyborców centrowych ich zastępuje, niezrażona jednoznaczną identyfikacją ugrupowań.

Z kim razem?

Konfrontacyjna polityka PiS tworzy bardzo silną presję na zjednoczenie po stronie opozycji. Wybory senackie w tym samym 2019 r. pokazały, jakie mogą być z tego wymierne korzyści. Równowaga pomiędzy antagonistami (czyli, ogólnie rzecz biorąc, partie tworzące blok senacki

versus PiS) jest na tyle wyrównana, że ostateczny wynik starcia za dwa lata będzie zależał od małych partii. Czyli m.in. od tego, co się stanie z lewicą i jej wyborcami.

Nawet jeśli jedynym celem liderów opozycji byłoby odsunięcie PiS od władzy, wcale nie jest oczywiste, co się opłaca z wyborczego punktu widzenia. Pełne zjednoczenie daje większą siłę oddziaływania przez medialny przekaz i przekonywanie wahających się osób w różnych sieciach społecznych. Lecz w tych ostatnich węzłowych punktach są ludzie o wyrazistych poglądach. Dla nich kompromisy konieczne dla zbudowania większego bloku są bolesne. Mogą podciąć ich entuzjazm i zmniejszyć szansę na mobilizację.

Czy lewicowa bańka społecznościowa za dwa lata nie machnie ręką na wybory, bo nie będzie chciała głosować po raz kolejny na „mniejsze zło” – wielonurtowe ugrupowanie, w którym są np. konserwatywni liberałowie? A może próba zjednoczenia opozycji skończy się połowicznym sukcesem, czyli jednak znajdzie się dość sił na stworzenie ugrupowania kadmłubowego, ale własnego. Tak stało się w 2015 r., gdy takie ugrupowanie się pojawiło, ale nie przeskoczyło progu (marując głosy zmobilizowanych i odciągając część wyborców mocących głosować na ugrupowanie większe).

Nie ma co się łudzić, samo odsunięcie PiS od władzy nie skończy historii. Stąd wielu już dziś zadaje pytanie: co potem? Jaki wpływ na politykę ewentualnego rządu dzisiejszej opozycji będą miały takie strategiczne rozstrzygnięcia? Może lepiej będzie dla lewicy, gdy spróbuje walczyć o podmiotowość? Kiedy da się wytargować więcej w sensie ideowym lub personalnym: przy okazji negocjacji przedwyborczych budujących dużą koalicję czy powyborczych negocjacji mających zbudować większość z różnych partii, takich jak negocjacje PSL z PO w 2007 r.?

Wspomnienie dominacji

Czy jednak lewica nie mogłaby pomarzyć o skonfigurowaniu sceny politycznej na nowo? Odtworzyć stary podział, rozbić PiS i Platformę i doprowadzić do rywalizacji typu Razem *versus* Konfederacja? I odnieść zwycięstwo, w którym



TOMASZ PIETRZYK / AGENCJA GAZETA

Protest młodzieży przeciwko ministrowi edukacji i nauki Przemysławowi Czarnkowi, Wrocław, 2 lipca 2021 r.

→ nie będzie się tylko większą lub mniejszą przystawką?

W całej Unii poza Portugalią lewica jest w tarapatkach. Dla zrozumienia tego zjawiska fundamentalne jest zauważenie, jak lewica straciła poczucie jednoznacznej moralnej przewagi.

Albert O. Hirschman w książce „Retyka reakcji: przeciwskuteczność, daremność, zagrożenie” pokazywał, jak jeszcze w latach 60. konserwatyści opierali się postępowi. Mieli trzy podstawowe argumenty: zmiany są nieskuteczne, niosą przeciwnie do zamierzonych skutki oraz niszczą inne, cenne wartości. To były chwytły retoryczne konserwy broniące się przed zmianami na lepsze. Jeszcze ciekawsze są opisane przez autora retoryczne chwytły sił postępu. Lewica zwykła argumentować, że dana zmiana jest niezbędna, bo jest elementem kompletnego systemu, krzywda wymaga natychmiastowej reakcji, a poza tym historia „jest po naszej stronie”.

Panowało przekonanie, że racjonalne działanie zmierza do wytworzenia spójnego, sprawiedliwego systemu. Z kolei obawy konserwatystów dotyczyły wprowadzenia tego, że system nie będzie taki, jak obiecuje, ale nie podważały wiary, że jest w ogóle możliwy. Ich opór można było streścić słowami: „Jedziemy tam, dokąd chcecie, ale nie za szybko, żeby nas nie wyrzuciło na zakręcie”. Ich argumenty były zatem defensywne.

W obozie postępu panowało przekonanie, że nierówności i zabobon to jedyne bariery przed szczęściem. Wydawałoby się, że taki pogląd powinien z czasem zacząć dominować. Dlaczego zatem lewice w Europie oscylują w okolicach 20 procent i mają problemy z bazą społeczną? Dlaczego okazało się, że świat nie jest tak prosty, jak się zdawało w 1968 r.? Czy było za mało tego, o co walczyliśmy? – pyta dziś odchodzące pokolenie ’68. Co poszło nie tak? Czy wygrała reakcja?

W miarę „bezpieczna”
w sensie wyborczym
część zwolenników lewicy
**reaguje nieprzychylnie
na ukłony w stronę ludu.**

Było to widać przy okazji
projektów wzmocnienia
progresji podatkowej.

Społeczny rozjazd

Odpowiedź raz jeszcze pokazuje, jak złudne bywają nasze wyobrażenia o przyszłości. Tradycyjna lewica prowadziła swoją walkę w imię wykluczonych. Większość społeczeństwa to w tej wizji ludzie skazani na życie w ubóstwie z racji zacofania i niedostatecznej wiedzy – jeśli się ich oświeci, będą dalej tą samą większością, ale w naturalny sposób zorganizują szczęśliwe społeczeństwo. Bo wszyscy będą myśleć tak samo. Za tym kryje się głębokie przekonanie antropologiczne, że wszyscy racjonalni, wolni i oświeceni ludzie muszą myśleć tak jak my.

W ostatnich dwóch dekadach pojawiły się dwa elementy, które do tego nie pasują. Po pierwsze ludzie, którzy dążą do uwolnienia się od wszystkich więzi społecznych, bo sobie świetnie dają radę. Osoby oświecone i operatywne nie potrzebują się niczym dzielić, chcą, żeby cała reszta się od nich odczepiła. Potrafią ustawić reguły gry o dobro wspólne tak, żeby na nich korzystać – czyli doprowadzić do prywatyzacji zysków i upublicznienia strat. Stawiają podstawowe pytanie: w imię czego miałyby się narzucić im ograniczenia? Lewica ma z nimi kłopot, bo tacy wolnościowcy dzielą z nią połowę wartości: wierzą w obyczajowy indywidualizm, kreatywną samodzielność, nie nawiadzą wszystkiego, co określa się mianem ciemnoty. I są przekonani, że wszelkie ograniczenia im narzucane wynikają z niskich motywów.

Po drugiej stronie okazuje się, że ludzie mniej operatywni cały czas potrzebują wspólnoty i przewidywalności. Dają ją symboliczna jedność, powszechne wzory zachowania, zbiorowe tożsamo-

ści. Z chęcią podtrzymują oni więzi narodowe i religijne, które lewica uważała za coś podejrzanego, za źródło zniewolenia. Jednocześnie to na nich spada większość kłopotów, które odpycha od siebie operatywna część społeczeństwa w swoim dążeniu do indywidualnego szczęścia i technokratycznej sprawności.

Te dwie siły układają na nowo podziały polityczne – powstają partie, które są dla lewicy nietypową konkurencją. Z jednej strony pojawia się konkurencja „biliberałów”, którzy z lewicy biorą wolność obyczajową, z prawicy zaś ekonomiczną. Z drugiej – siły, które poparcie dla państwowego interwencjonizmu na rzecz wspólnoty łączą z pielęgnowaniem tradycji, narodowej tożsamości i religijnej wspólnoty. Odpowiedzi na pytanie, która z tych opcji stanowi zagrożenie, która zaś jest bliska, dzieli środowiska lewicowe jak świat długi i szeroki. Z kilku jednak powodów zwrot ku „biliberałom” jest dla lewicy znacznie łatwiejszy do przekłknięcia.

Rzecz w tym, że partie aspirujące do reprezentowania ludu – przez przeciwników określane jako populistyczne – są antyeuropejskie i, szerzej, antysystemowe. Wyrażają niechęć wobec demokracji proceduralnej, opisywanej przez jej obrońców jako „demokracja liberalna”. Ponieważ największe poparcie wśród tych, w których imieniu kiedyś lewica występowała, mają siły będące jej zaprzeczeniem i odrzucające to, w co wierzą lewicowe elity, tym trudniej politykom lewicy przechylić się na stronę ludu.

Do tego w miarę pewna, „bezpieczna” w sensie wyborczym część ich zwolenników reaguje nieprzychylnie na wszelkie ukłony w stronę ludu. Świetnie było to widać przy okazji zawartych w pakiecie Polskiego Ładu projektów przywrócenia realnej progresji podatkowej i podniesienia składki zdrowotnej. To się natychmiast odbiło nawet nie na notowaniach sondażowych, lecz na sieciowym, społecznościowym barometrze. Ci wszyscy, którzy byliby za podniesieniem podatków bogatszym, na Facebooku i Twitterze siedzą raczej cicho. Aktywni są tam za to ci, którzy uważają, że chodzi o „atak na klasę średnią”.

W pułapce pobłażliwości

Gdzie zatem lewica ma szukać nowych wykluczonych, w imię których można



MAJA KUCZMIŃSKA opowie
Piotrowi Zubkowi o wydaniu
specjalnym „W drogę!”

w środę 4 sierpnia o godz. 7.30.

Audycję można także odsłuchać w podkastach
na stronie internetowej radia.

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl

byłoby prowadzić starą walkę i mieć stary żar w oczach? Wygląda na to, że elementem, który rozgrzewa ją dużo bardziej, jest sprawa mniejszości seksualnych. Wpisuje się to w starą logikę walki w imię wykluczonych, ale rwie więzi ze starą bazą – ten temat nie pobudza starszych pokoleń działaczy, a pulę wyborców radykalnie zmniejsza.

W stosunku do uboższych lewica popada w stare koleiny, które dziś prowadzą ją mimowolnie na liberalne polatko. Zawsze opisywała ich jako ofiary doznające krzywd, niejako przy okazji używając deprecjonującego terminu „przegrani transformacji” – zamiast traktować ich jako ludzi, którzy w naturalny sposób w każdym społeczeństwie są mniej operatywni i w efekcie mają mniejsze od średniej zasoby. Bo czy tacy ludzie są naprawdę przegrani? Czy płacąc w Biedronce myślimy, że pani przy kasie jest przegrana? Czy zmieniając opony myślimy, że wulkanizator jest przegrany?

Takie wyobrażenia stają się olbrzymim balastem. Trudno zdobyć czyjeś zaufanie, jeśli się go traktuje z pobłażliwością i w sposób deprecjonujący. Lewica nie ma pomysłu, jak dowartościować kasjerki i wulkanizatorów. Sprawa standardów usług publicznych najwyraźniej nie rusza jej w tak spektakularny sposób jak niektóre kwestie obyczajowe. To jest zadanie do odrobienia. Nie ma prostego pomysłu, jak sprawić, żeby kasjerka zagłosowała na lewicę.

Istnieje zauważalna grupa osób, która ma odruch sprzeciwu wobec „biliberalów”. Wraz z tymi, których boli perspektywa tworzenia wspólnego obozu z umiarkowanymi konserwatystami, może stworzyć podstawę do budowy osobnego ugrupowania. We Francji ok. 15 proc. społeczeństwa to chorąży sta-

Lewica zwykła mówić
o „przegranych transformacji”
zamiast o ludziach,
którzy w naturalny sposób
**w każdym społeczeństwie
są mniej operatywni**
i w efekcie mają mniejsze
od średniej zasoby.

rych sztandarów lewicy. Są sfrustrowani, że społeczeństwo nie zmierza w tę stronę, którą obiecywała ich opowieść. Żywią przekonanie, że świat schodzi na psy. W Polsce też jest pewnie taka grupa – działacze partii Razem, ale nie tylko – która w przypadku stworzenia dużego bloku może być sfrustrowana i kłopotliwa. Może rzeczywiście zasługuje na własną partię – po to, by mobilizować swoich wyznawców i by nie zrażać umiarkowanych.

Los jęczyczka u wagi

Tu wypada wrócić do kwestii strategicznego zarządzania po stronie opozycji – wystąpienia Donalda Tuska, w których ignoruje on lewicę, należy traktować jako zachęcanie jej do samodzielnego startu. Wprawdzie Platforma jakąś część wyborców lewicy przygarnie, ale jest ich wystarczająco dużo, żeby przepchnąć przez próg też osobne ugrupowanie. Nie jest jednak powiedziane, że taki układ jest ostateczny. Stąd przed samą lewicą staje konkretny dylemat tu i teraz: czy zadowolić się rolą skrzydłowego szerokiego obozu liberalnego – w którym są rów-

niez umiarkowani konserwatyści, liberalni gospodarczo – ale jednak w opozycji do bieguna solidarystycznego, w naszych warunkach ucieleśnionego przez PiS? To mocny kontrpunkt nie tylko ze względów ideowych, lecz także ze względu na wszystkie toporności obecnego obozu władzy.

Jeszcze mniej jasna jest sytuacja, gdy chodzi o bazę organizacyjną. Są korzyści z udziału w szerszym bloku – nie trzeba się cały czas martwić o przeżycie, jak to się dzieje z małymi partiami. Lecz trudno utworzyć i utrzymać bazę organizacyjną, będąc wewnętrzną frakcją czegoś większego. Przykład konserwatystów w PO pokazuje, że ich pozycja nie jest godna pozazdroszczenia. Ale i starując osobno lewica doświadczyła wykluczenia, rozbicia, spadania pod próg i marginalizacji.

Tak czy owak, marzenie, żeby odzyskać dawną pozycję, wygląda mało realistycznie. Powrót Tuska pokazał, że obecny podział jest bardzo trwały. Jego elementem jest przekonanie zdecydowanej większości, że niegdyś lewicowa opowieść o świecie, w którym wszyscy myślą tak samo, jest nieprawdziwa. Ludzie się dzielą: na tych, którzy radzą sobie bez wspólnoty tożsamościowej czy ekonomicznej, i tych, którym jest ona potrzebna w jednym i drugim sensie.

Po akceptacji tego stanu rzeczy lewica z tradycyjnym pakietem programowym mogłaby stać się jęczyczkiem u wagi. To oznacza rolę już nawet nie symetrysty, lecz zgoła ekwilibrysty, jeśli spojrzymy na obecny poziom emocji i napięć. Ale zachowanie równowagi w podzielonym świecie jest chyba jedynym wyjściem dla tych, którzy nie chcą się tak po prostu zaciągnąć do jednego z obozów.

© JAROSŁAW FLIS

TP JUŻ W PRZYSZŁYM NUMERZE DODATEK

Festiwal Literacki Sopot

a w nim przegląd najważniejszych dzieł i tematów najnowszej literatury włoskiej zaproponuje Leonardo Masi. Festiwal to nie tylko spotkania z literaturą, ale też targi książki, warsztaty, seanse kinowe i czytania performatywne. Wśród przygotowanych dla uczestników aktywności znajdzie się również wypoczynek w plenerowej czytelnicy.

Zapraszamy!

PARTNERZY WYDANIA:



Goyki3
Art Inkubator

Życie to podwórko

TEKST I ZDJĘCIA KRZYSZTOF STORY

Przestrzeń do nas mówi, zwłaszcza ta polska. Mówią mury, murki i murale. Bohomazy, bazgroły i billboardy.

WYCHODZIŁEM Z TUNELU POD PERONAMI na dworcu Warszawa Wschodnia. Przywitał mnie napis na murze, chyba najbardziej znany w kraju: „Z perspektywy Drogi Mlecznej wszyscy jesteśmy ze wsi”. Przypomniałem sobie każdy z powrotów do rodzinnego Wrocławia, który od zawsze wita się ze mną sentencją dużo prostszą – neonowym „Dobry wieczór we Wrocławiu” naprzeciw dworca.

Niezmiennosc takiego powitania wydaje mi się istotna szalenie. Nawet, gdy na początku XXI wieku wrocławskie „Dobry wieczór” zgłasza ze starości i zapadło w prawie 10-letnią drzemkę, to przecież było, jako jeden z tych komunikatów, które wrastają w przestrzeń tak mocno, że ciężko sobie wyobrazić ewentualną pustkę. Ot, jak choćby wszechobecne tabliczki „Pies zły, a gospodarz jeszcze gorszy”. Czego innego byśmy się bali na podmiejskich osiedlach, gdyby nie te tabliczki?

Od lat zatem kolekcjonuję największe dokonania polskiej myśli ulicznej. Fotografuję napisy na murach, ścianach i w publicznych toaletach. Najtańszy czarny spray w markecie budowlanym kosztuje 20,98 zł, graffiti jest więc medium egalitarnym.

Wandal z polotem

Egalitarność ma jednak swoją cenę. Podstawową i najczęstszą formą malowideł naściennych są tagi, czyli grafficiarzski odpowiednik autografu. Mówią: „tu byłem”, „ja tu rządzę” albo „to mój teren” i niestety niewiele więcej. Istotne są tylko dla autora i jego ewentualnych konkurentów. Choć i w takim obsikiwaniu terenu kryje się potrzeba zaistnienia, z której przecież wyrosła cała kultura graffiti (kolębką były robotnicze dzielnice Wielkiej Brytanii, gdzie puszka sprayu była często jedyną dostępną sprawczością). Jeśli tagi uznamy za poziom indywidualny, to poziomem plemiennym będą napisy two-

żone przez kiboli. To najmniej ciekawe, najbardziej irytujące i bezsensownie wulgarne słowa, jakie czytamy w życiu.

Ale na swoich ścianach Polska wypisuje też lęki, nadzieje i poczucie humoru. A nawet miłość. Tę lubię najbardziej. Kiedyś we wrocławskiej bramie tuż przy rynku natknąłem się na trzy piękne wyznania obok siebie. Pierwsze: „Gdyby nie było książek, czytałbym ci z oczu”. Drugie: „Pierdol orgasm, osiągniemy nirvanę”. I ostatnie: „Chciałbym mieszkać w twoim portfelu i machać ci ze zdjęcia, kiedy płacisz za benzynę”. Mury wyznają miłość, ale też jej poszukują („Klusia szuka męża” na gzymsie w Częstochowie, wraz z numerem telefonu), doradzają („Bez dotykania pleców nie ma miłości”) i o niej marzą („Chciałbym z tobą kulać kluski śląskie”). Najgorzej ogląda się miłości niespełnione: „A mogłaś stracić dla mnie głowę” na ścianie w Oławie. Smutek przebija nawet z charakteru pisma.

Ulicznych refleksji zresztą nie brakuje. „Wolność zaczyna się tam, gdzie kończy się strach” – obwieszcza filar wiaduktu na obrzeżach Żywca, „Bądź uważny, dąż do szczęścia” – doradza mur na krakowskim Kazimierzu. Przestrzeń w ogóle nie poddaje się konwencji, zgodnie z którą graffiti to wyłącznie bunt, krzyk, rewolucja. „Rozważnie ćwicz nieboskłony” – odpowiada na krakowskiej klatce schodowej i dodaje: „pierdol system, lecz rób to stylowo” (lokalizacja nieznana). Może i rewolucja, ale w garniturze.

Wspomniany Kazimierz jest dobrym miejscem poszukiwań. To tam co jakiś czas mijam dziewczynkę ze słuchawkami i cytatem z Nietzschego: „A ci, którzy tańczyli, zostali uznani za szalonych przez tych, którzy nie słyszeli muzyki” oraz przyklejone wprost do kamienicy lustro z podpisem „To ty jesteś sztuką”. Rozpoznaję już niektóre style pisma, m.in. zwykłego wandalę o pseudonimie Sicoer oraz wandalę z polotem, czyli Le.Raton – twórcę sentencji takich jak „Jesteśmy



zebrakami, szukamy miłości na Tinderze” lub „Chcę zasnąć w spokoju o własną przyszłość”.

Zimna patelnia

Dla mnie są bezimienni, czasem tylko znam ich pseudonimy. Zawsze próbuję ich i ich historie sobie wyobrazić. „Im mniejsze światła międzyliterowe, tym większym cieniem okryte bliźny” – cierpiący na bezsenność grafik. „Polisze! Poliszki! Buldożer to wszystko wyrówno” – budowlaniec zakochany w międzywojennej poezji futurystów. „Zjedz się” na murze w Ostrowie Wlkp. – tu już wyobraźnia podsuwa mi jedynie postać lewniowego kanibala.

Czasem jednak nie trzeba dopisywać historii. Sens wielu napisów jest klarowny i głęboki. Zaskakująco często trzeźwo komentują rzeczywistość, wskazują problemy, są narzędziem walki politycznej. Nie ma powodu, by wstydzić się dużych słów, bo taką rolę graffiti spełniało od zawsze. Symbole wielu ruchów oporu (m.in. Polskę Walczącą) projektowano z myślą o tym, by dały się szybko i łatwo namalować na ścianie. To samo dotyczy zresztą błyskawicy Strajku Kobiet.



Napisy pod wiaduktem w okolicy Żywca. Czerwiec 2018 r.

Napisy na ścianach po II wojnie światowej często przekazywały ważne informacje: że ktoś przeżył i że mieszka teraz na Targowej albo Puławskiej. W czasach PRL-u były jednym z ostatnich bastionów wolności słowa. Można tu zresztą dostrzec niepokojące analogie. W grudniu 1981 r. pod poznańskim wiaduktem pojawił się napis „Partyjny belkot to nie informacja”. 40 lat później został odtworzony w tym samym miejscu.

Tu odbija się rzeczywistość bez filtra i upiększeń. Na wylocie wentylacyjnym parkingu podziemnego we Wrocławiu ktoś napisał: „Pokój do wynajęcia” (poza Słowacją mamy najmniej mieszkań *per capita* w całej Unii). W Bydgoszczy, na pełnej pustych witryn i lokali do wynajęcia ulicy Długiej: „Apel do bezdomnych – nie wychodźcie z domu!”. Na osiedlowej tabliczce zakazującej dzieciom gry w piłkę: „To co, kurwa, mamy robić?”.

Odbija się też pandemia. Ulica reaguje na bieżące wydarzenia i to ze wszystkich możliwych perspektyw. Od refleksyjnego: „Już nigdy nie będzie takiego lata”, przez stanowcze: „Spisek to nie teoria”, po kategoryczne: „Która fala cię obudzi? Stop segregacji sanitarnej!”.

Najbardziej doceniam te napisy, które nie szukają wrogów, nie stają się politycznym manifestem, nie zadowolają się prostą agresją i czarno-białymi podziałami. Celnie opisać rzeczywistość, mając do dyspozycji jedynie kawałek klatki schodowej albo poniemiecki gzyms, to prawdziwy talent. Przykład: moglibyśmy na tych łamach wydrukować poważny reportaż na temat Włocławka. Opowieść o upadku zakładów przemysłowych, rosnącym bezrobociu, odpływie młodych i złym zarządzaniu miastem. Moglibyśmy nawet pokazać zdjęcie rynku zrewitalizowanego w betonową pustynię, jako ilustrację trudnych losów miasta. Te losy bezimienny artysta w odrapanej bramie zamknął w jednym zdaniu: „Wiesiek chciał zostać naleśnikiem, ale upadł na zimną patelnię”.

Las Vegas

Słowem-kluczem tej opowieści jest kreatywność. Przestrzeń często próbuje ją zdławić rozmaitymi zakazami, groźbami nawet. Na każdym dworcu w Polsce jest tabliczka z napisem „Przejście przez tor. Strzeż się pociągu”, jakby pociąg i jego niebezpieczne zamiary mogły na nas czyhać za

każdym rogiem. Oczywiście my robimy na przekór. Nic nie robimy sobie z zakazów, na przykład parkowania. Na Świdnickiej we Wrocławiu spod kilkunastu wlepek wystaje napis „Zakaz przyklejania czegokolwiek”. Na klatce przy Sienkiewicza powieszono tabliczkę „Zakaz palenia”. Dwa dni później ktoś dopisał: „czarownic”.

Takie kontrasty, absurdy, małe uśmiechy przestrzeni czynią ją bardziej ludzką. Dlatego nieswojo się czuję, patrząc na kolejny nurt sztuki ulicznej – patriotyczny. Zbyt dużo patosu, nieudolnie namalowanych wilków i agresywnych haseł. Choć i tu znajdują zabawne kontrasty, gdy te wyniosłe dzieła trafiają w miejsca prozaiczne, np. na budkę stróża parkingu całodobowego w Gryfinie.

Podczas festiwalu Land Art, jednego z najciekawszych projektów polskiej sztuki ulicznej, rzeźby, instalacja i murale powstają w małych wsiach i przy drogach nad Bugiem w okolicy Janowa Podlaskiego. Jedną z realizacji jest ogromna drewniana konstrukcja z napisem „Waiting for heaven”.

Faktycznie polska przestrzeń czasem wygląda, jakby czekała na zbawienie. Niestety sfera kościelna ostatnio obdarza ją głównie niezliczonymi pomnikami Jana Pawła II, w tym największą, 18-metrową statuuą w Częstochowie, stojącą w Parku Miniatur (sic) Sakralnych. Mnie zaś za interesował plakat reklamujący otwarcie teatru. Na białym tle są czerwone litery różnej wielkości. Największe: „REKORD GUINNESSA”. Mniejsze: „Największy Papież na świecie”. I zupełnie malutkie: „Prawdopodobnie”. Pomocy próżno też szukać w drugim wielkim pomniku. Świebodziński Chrystus nie tylko stoi tyłem do drogi ekspresowej i bokiem do miasta, ale też jest otoczony głównie przez czerwone parasole Coca-Coli. Chyba że spojrzeć z innej perspektywy – wtedy błogosławi billboard pracowni ortopedycznej.

Ratunkiem może być zatem tylko kreatywność, a tej na szczęście nam nie brakuje. W gminie Ślemień, na granicy Śląska i Małopolski, jest miejscowość Las. Na zielonym znaku drogowym ktoś białymi literami dopisał „Vegas”.

Prosimy nie pisać

Wydaje się, że to ważne, choćby dlatego, że codziennie musimy na to patrzeć. Najwięcej o polskiej przestrzeni nauczyłem się



„Teleporter” – według autora najpiękniejszy wychodek świata.
Bieszczady, Nowy Łupków. Wrzesień 2014 r.

→ się dzięki pomysłowi, który nazwałem „Za drzwiami”. Wybrałem wtedy jeden adres – konkretną ulicę i numer domu. Objechałem, głównie rowerem, cały kraj, szukając tego adresu w każdym kolejnym mieście i wsi. Robiłem wywiady, słuchałem i obserwowałem.

Zauważyłem, że ludzie „za drzwiami” nasiąkali tym, co było dookoła nich. Byli nierozzerwalni ze swoimi przestrzeniami. Znali billboardy, szyldy, płoty. Imponowały im rewitalizowane deptaki, nowe parki i place zabaw. Wkurzały wyborcze ogłoszenia, oszczane przystanki i ta jedna latarnia, która mruga od pięciu lat. Ton, z jakim wymawiali słowo „podwórko”, zależał od tego, jak wyglądało to przed ich domem.

Jadąc przez Polskę, przyglądałem się naszej przestrzeni. Próbowiałem wycisnąć z niej jakąś esencję. Niestety muszę przyznać, że wynaleźliśmy formę wandalizmu gorszą od graffiti – billboard.

Zakopianka – droga krajowa numer 7 na południe od Krakowa. Ze wszystkich stron obrosła ją przedsiębiorczość. Billboardy, fabryczne budy, góralskie karczmy i zajazdy. Mac, BP, oscypek. Ostatnio pojawiły się reklamy chirurgii plastycznej. Nowa twarz, nowe piersi, fabryka mebli. Przed Nowym Targiem widać Tatry, o ile nie zasłania ich ani smog, ani biust, ani reklama kotłów grzewczych. Nawet Stasiuk o tym pisał: „Stopień wizualnego obesrania poboczy drogi nr 47 przywodzi na myśl zaplanowaną, celową i precyzyjnie odbytą zbrodnię na pejzażu, mord na cudzie świata, który nam подарowano”.

Tak jest zresztą wszędzie. Chełm: zdjęcie z ulicy Lwowskiej, w jednym kadrze mieści się 26 szyldów i reklam. Opole, billboard: blondyna w obcisłych szortach i z dekoltem siedzi na kostce brukowej, którą reklamuje, kompletnie ją zasłaniając. Zgierz, ściana billboardów. Fitness, squash, piły spalinowe. Dentysta, wyroby hutnicze, „nie bądź łoś, kup OC”. Nazwy firm kończą się na -ex albo na -pol. Marcopol, Koldrex, Gniotpol. Jednak nie, Gniotpol wisi przy autostradzie A4, tu jest Belpol. Niewiele lepiej. Zresztą nic nie jest w stanie konkurować z fabryką bielizny Sutex (reformy damskie za 14 złotych). Tak. Przy Suteksie nawet Koldrexpol musi zaakceptować porażkę. Jest jeszcze Włocławek.

Przeglądałam zdjęcia i widzę, z czego składa się polskie przydroże, polska przestrzeń, my sami. Na jednym słupie w Częstochowie wiszą cztery drogowskie. Każdy jest innego rozmiaru i jest inaczej wyrównany. Koszmar grafika. Klik, następne zdjęcie. Słupsk: dworzec autobusowy, na połatany asfalcie parkują stare rzęchy. Z tyłu znajduje się hotel, więc zza brudnego jelcza wystaje pełen zawijasów napis „Pensione Antonio”. Klik. Kraków: sklep, stoisko z prasą. Biała kartka: „Prosimy o nieczytanie gazet”. Pod spodem ktoś markerem dopisał: „w sklepie”. Klik. Międzyzdroje: na trawniku przy deptaku przycupnął wielki paw upleciony z wikliny. Obok pokaźna żółta tabliczka z napisem: „PAW TOLEK. Obiekt monitorowany”. Nawet dziób ptaka ma mniej intensywny kolor od tabliczki. Klik. Zamość. Na rozpadającym się baraku ktoś

zieloną farbą maznął reklamę swojego zakładu. Ostatnia sylaba zmieściła się dopiero na drzwiach, więc wyszło: „Blacharsko lakierniczy konserwa”. Klik. Bydgoszcz, w muzealnym sklepiku po 5 złotych sprzedają piszczące gumowe kaczki. Nad kaczkami tabliczka: „Prosimy nie piszczeć”.

Tak było wszędzie. Przez 7 tysięcy kilometrów podróży przez Polskę oczy odpoczywają rzadko. Polska ciągle czymś atakuje. Zjednoczone Emiraty Ogłoszeniowe. Jak nie bar Agusia, to lody Marsjano. Jak nie parasole powieszone nad ulicą, to reklama nagrobków. Albo dworcowe budy, gdzie z jednej strony kupisz kwiaty, z drugiej knyszę. Siłownia Colosseum, fryzjer Ela, frytki Guccio.

Karłowate piękno

Na murze ktoś napisał: „Życie to podwórko”. Mimo wszystkich niedociągnięć, absurdów i ogólnej chropowatości polubiłem polskie podwórko. Wymagało to odrobinę samozaparcia oraz uwspólnienia znaczeń słów „brzydkie” i „ciekawe”. Lubię je za bezpretensjonalność, za dystans. Za to, że nie będąc żadnym Las Vegas, umiemy je zrobić ze sprayu w gminie Słemień. Za to, że z drugiej strony tej miejscowości był napis „Las Palmas”, a poinformowano mnie jeszcze o edycji sezonowej, czyli „Las Christmas”. Lubię Polskę za to, że to niejedyny taki przypadek. Są jeszcze Ryki (z dopiskiem „Martin”), Dys („is Sparta”) oraz Półko (z prefiksem „Aca”).

Takie piękno na przekór wszystkiego po raz pierwszy znalazłem w Bieszczadach, idąc do wychodka. Pamiętam, że był to wychodek na wskroś bieszczadzki. Zbity z drewna, dach kryty blachą, niebieska farba odłazi tu i ówdzie. Tylko że miał troje drzwi zamiast jednych. Każde w innym kolorze – cudnie to wyglądało. Wszedłem w pierwsze, opatrzone napisem „Męski”. Drugie drzwi: „Damski”. Na trzecich ktoś przybił cienką deszczułkę z napisem „Teleporter”. © P. KRZYSZTOF STORY



Oficyna wydawnicza Kontynenty opublikowała właśnie książkę będącą owocem projektu reporterskiego, o którym autor wspomina w tekście. Nosi tytuł „Stąd. 150 drzwi pod jednym adresem”.

JACEK

Podsiadło: Z reguły jest bigos



PISMO OKÓLNE NR 26 MHW z CZERWCA 1951 r. pouczało: „Z uwagi na konieczność stosowania oszczędności w zużyciu surowców importowanych nie należy na razie stosować kawy czarnej specjalnej i kawy wiedeńskiej lecz

prowadzić tylko kawę czarną z domieszką kawy zbożowej lub cykorii. Kawę białą należy przyrządzać z wywaru kawy zbożowej i pozostałych po wyparzeniu kawy ziarnistej tzw. wytlóków. Wytlóki należy po wyjęciu z expressu ostudzić i przechowywać w lodówce. Dla należytego wykorzystania surowca należy herbatę chińską wyparzać 3-krotnie. Drugi i trzeci napar należy w miarę możliwości łączyć z pierwszym”.

Remedium inspektora nadzoru (podpis nieczytelny) w książce skarg i wniosków pod narzekaniami ob. Bartkowiaka na lurę w barze Nenufar w roku 1978: „Proponuję organizowanie comiesięcznych narad z bufetowymi, które legitymują się negatywnymi wynikami naparów kawowych”.

Zdaniem „Głosu Szczecińskiego” z 1950 r. gospoda nr 2 w Gryficach „wydaje obiad bez zupy, a pobiera opłatę za pełny obiad. Na obiad popularny z reguły jest bigos, a na klubowy kotlet mielony. Gospoda jest prowadzona niechlujnie”.

W 1953 r. „Żywnie Zbiorowe” informowało: „PSS w Poznaniu dla uczczenia pamięci wodza mas pracujących Józefa Stalina podjęła liczne zobowiązania. Pracownicy Oddziału Żywnienia Zbiorowego zobowiązali się do szkolenia ideologicznego i przywarsztatowego, do zwiększenia produkcji własnej, do pracy bez mank niedopuszczalnych i do zmniejszenia mank dopuszczalnych”.

W aktach Prokuratury Powiatowej w Koźlu z tego samego roku można znaleźć opis wydarzeń mających miejsce w gospodzie w Kędzierzynie. Ob. Eugeniusz J., będąc nietrzeźwym, „zażądał od bufetowej noża celem przekrojenia sobie kanapek, które zakupił. Jak stwierdzono, to podejrzany po otrzymaniu noża zaczął go wbijać sobie w piersi. Bufetowa, widząc ten fakt, zaczęła wrywać mu nóż, szarpiąc się z nim i wzywając pomocy”.

Kontrola Państwowej Inspekcji Handlowej z 1964 r. wykazała, że kelnerzy warszawscy zawyżają co drugi rachunek, co czwarta porcja zamówionego dania ma niedowagę, a w co szóstym lokalu oszukują na opłatach za numerki szatniarze.

W tym samym roku, przed II Zjazdem PZPR pracownicy bielsko-bialskiej gastronomii podjęli współzawodnicтво pracy pod hasłem „Ja nie wypuszczę niezadowolonego klienta”.

Pismo okólne Dyrekcji Przedsiębiorstwa Przemysłu Gastronomicznego w Lublinie z 1975 r. określało wzorzec porcji ziemniaków podawanych do drugiego dania jako równe

200 g. „Optyczne wątpliwości co do wielkości porcji mogą konsumenci wyjaśniać, ważąc porcję”.

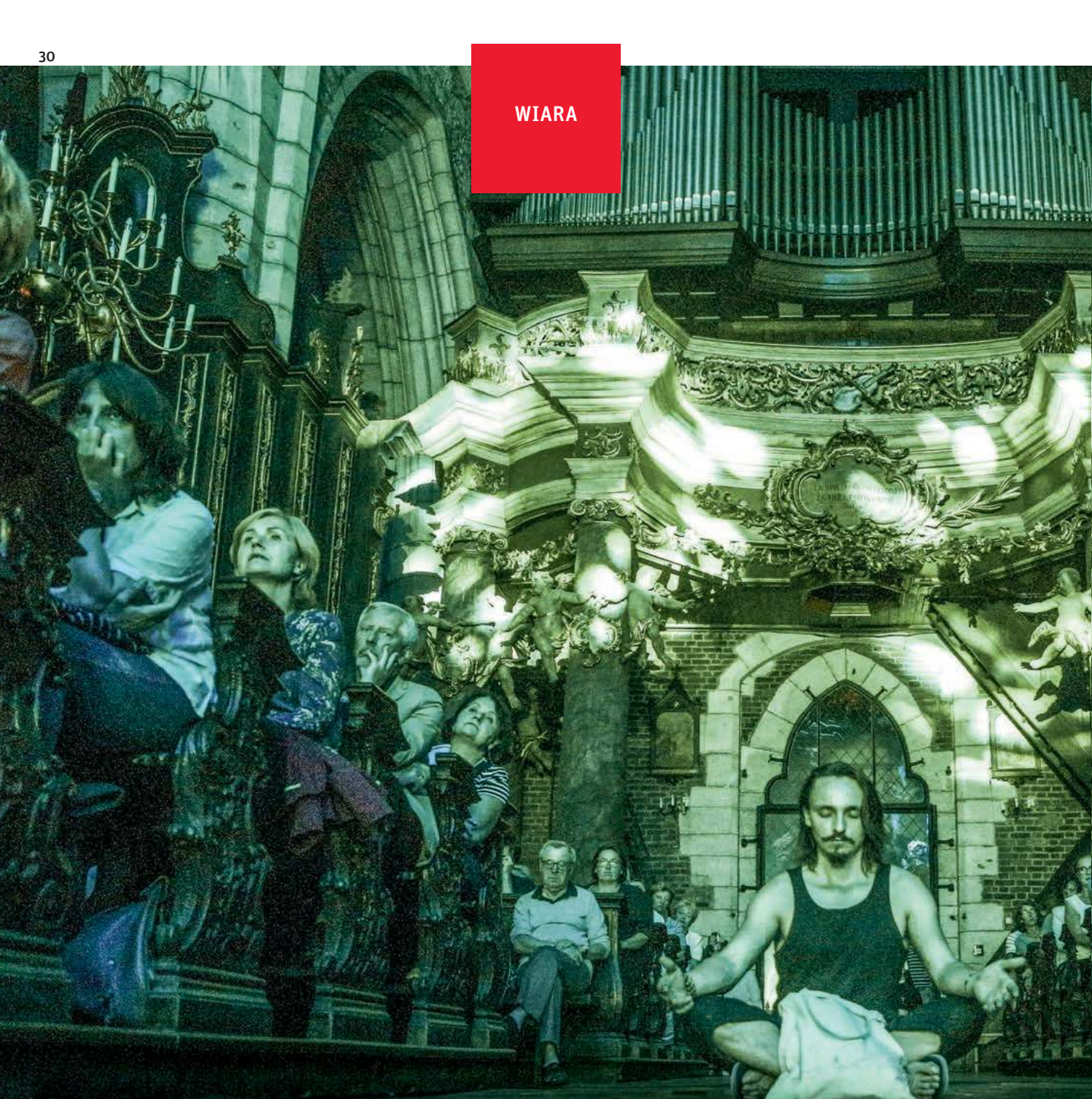
Krzysztof z Warszawy pisał do telewizji: „W dniu 20 sierpnia 1965 r. ok. godz. 14 w barze mlecznym przy ul. Świętokrzyskiej róg Czackiego zakupiłem 3 porcje: chłodnik, kaszę gryczaną i naleśniki. Najprzód stwierdziłem, iż na talerzu z kaszą gryczaną znajdują się resztki jajecznicy. Poproszona przeze mnie kierowniczka baru, po obejrzeniu okazanego jej talerza, przyznała mi słusność. Po jej odejściu, gdy zacząłem spożywać naleśniki, powtórzyła się identyczna historia. I znowu poproszona przeze mnie kierowniczka była zmuszona przyznać mi słusność. Z odrazy nie mogłem już dokończyć konsumpcji i wyszedłem”.

W maju 1971 r. awanturujący się klient restauracji Europa w Międzyzdrojach popchnięty przez kelnera uderzył głową o podłogę, co spowodowało jego późniejszy zgon. Zaraz potem minister handlu wewnętrznego ogłosił na pierwszych stronach gazet list otwarty „Do wszystkich pracowników gastronomii”, w którym pisał: „Wypadek w Międzyzdrojach rzuca poważny cień na całą zbiorowość pracowników gastronomii, która w swej większości ofiar nie i z pełnym poczuciem odpowiedzialności wykonuje swoje obowiązki zawodowe. Wszelkie przejawy niewłaściwego stosunku do konsumenta w agencyjnych lokalach będą tępione bezwzględnie z całą surowością”. W 1973 r. w restauracji Rycerskiej w Bystrzycy awanturujący się klient wszczął z personelem bitwę na popielniczki, a po przekazaniu go MO zbiegł z komisariatu i wrócił do Rycerskiej z pistoletem sportowym w dłoni. Jak pisał reporter Bogdan Daleszak: „goście wpadli w panikę, wiele osób powłaziło pod stoliki. Następna próba interwencji i następny ranny pada na parkiet. Teraz do bandyty zbliża się kelner Andrzej Durczak. Góralczyk strzela do odważnego mężczyzny dwukrotnie, ale dzięki zwodom kelnera nie trafia go ani razu”.

„Dziennik Polski” z tego samego roku informował o kontroli sanepidu w Krakowie. W jednym z barów „kontrolujący zwrócili uwagę na brudną odzież personelu. Jedna z pracownic postulowała, aby w miejsce białych przydzielić im chałaty czarne, na których nie znać brudu”.

W 1976 r. czytelniczka „Jestem” skarżyła się redakcji: „Poszłyśmy z koleżankami do kawiarni, zamówiłyśmy po porcji kremu. Obok nas przy stoliku siedziało sześciu chłopców. Usiłowali nas zaczepiać, ale nie reagowałyśmy. Wreszcie zaczęli rzucać w naszą stronę papierkami. Jeden z papierków wpadł do porcji kremu koleżanki, która odsunęła go od siebie. Wtedy jeden z chłopców wstał, wziął bez pytania jej krem i zjadł go”.

Jeszcze gorsza przygoda spotkała rok później dziennikarkę „Głosu Nowej Huty” w kawiarni Klubu MPiK przy samym pl. Centralnym. „Rozmawiamy przy kawie, gdy nagle stolik nasz zostaje po prostu opluty przez smarkaczy zajmujących krzesła przy sąsiednim stoliku”. ©

A photograph of a man with a beard and long hair, wearing a black tank top and dark pants, sitting in a meditative lotus position on the floor of a large, ornate cathedral. He has his eyes closed and hands resting on his knees in a mudra. In the background, several people are seated on pews, looking up at the high, vaulted ceiling of the church. The architecture is highly detailed with Gothic and Baroque elements, including a large organ on the right and a chandelier on the left. The lighting is dramatic, with strong highlights and deep shadows.

DLACZEGO ZOSTAJĘ

Czy wielkie zło obecne w religijnej instytucji
powinno skłonić do opuszczenia tradycji, z której owa instytucja wyrasta?

PIOTR SIKORA



W CIĄGU OSTATNICH MIESIĘCY kilkakrotnie zetknąłem się z – nowym dla mnie – moralnym zarzutem wysuwany przez rozmaitych ludzi: jesteś (nadal) katolikiem. Jeszcze częściej spotykam osoby, które po prostu pytają: dlaczego wciąż pozostajesz w takim Kościele?

Zgorszenie Kościołem

Fraza „w takim” mieści w sobie coraz więcej gorzkich faktów. W ustach pytających znaczy bowiem: w takim, w którym działali księża molestujący seksualnie albo nawet gwałcący dzieci oraz inne osoby od siebie zależne. W takim, gdzie duża część biskupów i przełożonych chroniła przestępców w celu obrony prestiżu instytucji lub z powodu osobistych z nimi związków – pomijając krzywdę i los ofiar. W takim, który nawet wtedy, gdy pod presją mediów zaczyna rozliczać się z ciemnej przeszłości, to nadal kluczy, nie potrafi przyznać się jasno do winy, wydaje wobec swych hierarchów wyroki niejasne, słabo uzasadnione i odbierane jako żenująco nieadekwatne w stosunku do kalibru oskarżeń. W takim, który nie potrafi wyzwolić się z toksycznej kultury klerykalizmu, będącej doskonałym środowiskiem dla rozwoju powyższych patologii. W takim, który chętnie wchodzi w układy z władzą świecką, gdy tylko może to przynieść finansowe i społeczne korzyści, nawet wtedy, gdy układy te oznaczają aktywny współudział w rozmaitych przemocowych procederach, np. w odbieraniu rodzinom dzieci, jak kiedyś w Kanadzie.

Zarzuty nie odnoszą się tylko do pewnych form funkcjonowania Kościoła – patologicznych, ale jawnie sprzecznych z głoszonymi w nim ideałami. Coraz częściej krytyka dotyczy także doktrynalnych podstaw katolickiego kościelnego samorozumienia.



BEATA ZAWRZEL / REPORTER

*Cracovia Sacra, nocny koncert
„Pieśń o Trójcy Świętej”
w bazylice Bożego Ciała, Kraków,
sierpień 2017 r.*

→ Czyż nie jest to bowiem Kościół – można usłyszeć – który rości sobie sekciarskie pretensje do posiadania pełni boskiej prawdy, patrząc z wyższością na inne chrześcijańskie wspólnoty, a jeszcze bardziej – na niechrześcijańskie tradycje religijne? Czyż zarazem Kościół ten nie ma trudności z przyswojeniem wyników badań naukowych nad historią swoich początków – znacznie bardziej skomplikowaną, niż głosi jego oficjalna doktrynalna narracja? Czyż nie jest to Kościół, który ciska na innych moralne gromy, a sam nie potrafi rozpoznać dobra i piękna związku miłości na całe życie – jeśli tworzą go osoby tej samej płci?

I czyż to nie w tym Kościele (nietzscheańskie zarzuty rozplenają się ostatnio coraz szerzej w mediach społecznościowych) zostajemy zarażeni lękiem przed opanowanym przez demoniczne zło światem, strachem przed podjęciem samodzielnej decyzji o kształcie własnego życia, poczuciem winy, jeśli robimy coś, co księża nazywają grzechem?

Palec pytającego pokazuje na te i podobne fakty, pytający mówi: jakżeż, katoliku, mieniący się otwartym, świadomym i wolnym, tkwić możesz w tak moralnie skorumpowanej instytucji?

Wolność wyboru

Nie sądzę, by istniała uniwersalna odpowiedź na to pytanie. Uznaję bowiem za prawdę treść wspólnej deklaracji papieża Franciszka i wielkiego imama uniwersytetu Al-Azhar, szejka Ahmada Mohamada al-Tajiba, która stwierdza, że „pluralizm i różnorodność religii, koloru skóry, płci, rasy i języka są wyrazem mądrej woli Bożej, z jaką Bóg stworzył istoty ludzkie. Ta boska Mądrość jest źródłem, z którego wywodzi się prawo do wolności wiary i wolności do bycia różnymi”.

Jeśli zaś jest to prawda, to nie można odwoływać się w swojej odpowiedzi do teologicznej konieczności bycia w Kościele. Nie ma tu konieczności, jest bowiem – chciana przez Boga – wolność wyboru własnej duchowej ścieżki. Jedna osoba może wybrać tę, inna – tamtą, a i motywy kroczących podobną drogą mogą być różne.

Niektórzy powiedzieliby, że taka wiara jest dziwaczną nowinką i zdradą chrześcijańskiej tradycji. Sądzę, że jest przeciwnie: jest to wiara o korzeniach biblijnych i rozumnym uzasadnieniu. Jeśli wierzymy, że Bóg wcielony „nappełnia całkowicie

**Bycie katolickim
chrześcijaninem nie
wiąże się z koniecznością**
poddania się formatowaniu
wedle jednego, powszechnie
obowiązującego wzoru.



Poznałem chrześcijaństwo,
które mówi:
śmiało, ryzykuj, wymyślaj
i nadawaj swojemu życiu
niepowtarzalnie piękny
kształt – to właśnie jest
wołą Boga.

wszystko” (Ef 1, 23), że wszyscy „w Nim żyjemy, poruszamy się i jesteśmy” (Dz 17, 28), że boski Logos „oświeca każdego człowieka przychodzącego na świat” (J 1, 9) – to nie możemy zaprzeczyć, iż Rzeczywistość, którą my, chrześcijanie, nazywamy Bogiem, jest dostępna tak samo każdemu i wszędzie.

Taka wiara jest nie tylko biblijna, ale także rozumna. Jest to bowiem wiara w Boga, „ponad którego nic doskonalszego pomyśleć nie sposób”. Nie sposób więc pomyśleć, by Bóg ograniczał dostęp do siebie, ujawniając się w pełni jedynie arbitralnie wybranej części ludzkości.

Taka wiara nie pozwala mi odpowiedzieć, że jestem w Kościele – pomimo całego zła w nim obecnego – ze względu na to, że tylko tu, lub tutaj najpełniej, mogę znaleźć Boga. Wiele jest Jej/Jego dróg

do nas i naszych ścieżek do Niej/Niego – chrześcijańska nie jest jedyną.

Jeśli tak, to wzmacnia się natarczywość pytania. Jeśli bowiem muzułmanie, buddyści, a nawet ci, którzy nazywają siebie ateistami, mogą w równym stopniu, jak chrześcijanie, zanurzyć się w Rzeczywistości nazywanej przez nas Bogiem – dlaczego pozostać chrześcijaninem?

Część odpowiedzi brzmi: właśnie dlatego, że w tej perspektywie znika gorset konieczności, dusznego przekonania, że muszę, że tylko tu, że tylko w ten sposób. Był to zaś, warto zauważyć, jeden z motywów pytania: zarzut, że chrześcijaństwo, katolicyzm uzurpuje sobie status jedynej, a przynajmniej najlepszej drogi, posiadać pełni Prawdy, że z przynależności do „nas” czyni konieczny warunek zbawienia – ostatecznego szczęścia i spełnienia (jak czynią przecież wszelkie destrukcyjne grupy zwane współcześnie sektami).

Tak – istnieje w chrześcijaństwie taki ekskluzywistyczny nurt. Być może nawet był on przez wieki socjologicznie dominujący. Ale nie jest on chrześcijaństwem całym. Bliższa znajomość tej tradycji ujawnia jej wewnętrzne zróżnicowanie. Nawet w obrębie samego katolicyzmu. Bycie katolickim chrześcijaninem nie wiąże się więc wcale z koniecznością poddania się jakiemś „formatowaniu” wedle jednego, powszechnie obowiązującego wzoru. Można być katolikiem na swój własny, niepowtarzalny sposób – to kolejny powód, dlaczego mogę i chcę katolikiem pozostać.

Osobista historia

Z tego jednak właśnie powodu odpowiedź na pytanie, dlaczego pozostawać (lub nie) w Kościele katolickim, może być tylko osobista. Czy jest zatem sens ogłaszać ją publicznie? Jest o tyle, o ile można mieć nadzieję, że w tej osobistej odpowiedzi inni mogą do pewnego stopnia, tak przez podobieństwa, jak i przez różnice, rozpoznać siebie – i sformułować w bardziej świadomy sposób własną odpowiedź. Warto także zauważyć, że wzajemne dzielenie się historiami swoich najgłębszych egzystencjalnych decyzji i rozpoznawanie się w opowiedzianych historiach tworzyło tradycję, z której Kościół wyrósł: Abraham, Mojżesz, Dawid, Ruth, Ozeasz, Miriam, Jezus, Magdalena, Szawel...

Ujawnia się tu coraz bardziej, że odpowiedź na pytanie, dlaczego jestem (na-

dal) w Kościele, jest w moim przypadku niczym innym jak wskazaniem, co to dla mnie znaczy (i czego to nie znaczy). To zaś ukształtowane zostało przez historię mojego życia.

Kościół mojego dzieciństwa to były budynki, księża (zwłaszcza jeden, mówiący kazania wspólnie z pluszowym misiem Bartkiem w starej, pachnącej kadzidłem świątyni – nie wiedziałem wówczas, że nazywa się Tischner) i duma z tego, że biskup Krakowa, mojego miasta, został kimś najważniejszym – papieżem. Ale wszystko to miało znaczenie tylko dlatego, że tamta rzeczywistość była ważna dla moich rodziców oraz babć i dziadków.

Dla każdej i każdego z nich ważna inaczej – np. rodzice mojego taty mieli w mieszkaniu ołtarzyk, dziadek rzeźbił w drewnie przydrożne kapliczki i figurki świętych. Moi rodzice opowiadali o swoich wyjazdach z duszpasterzem akademickim na kajaki, tata kupował mnóstwo teologicznych i filozoficznych książek, przynosił do domu wielką płachtę gazety z tytułem „Tygodnik Powszechny”; potem szmuglowali do Związku Radzieckiego egzemplarze Biblii. Mieszkaliśmy tam kilka lat, tata przygotowywał mnie do pierwszej komunii; na mszy – nadawanej z radia „dla tych, co na morzu” – spotykaliśmy się w naszym mieszkaniu z zaprzyjaźnionymi polskimi rodzinami.

Być może miałem szczęście. I później bowiem, od nastoletniej młodości, czyli od czasu, gdy przynależność do Kościoła wiązała się z w jakimś stopniu świadomym wyborem, ów Kościół, do którego przynależałem, miał wciąż rysy twarzy konkretnych ludzi. Nadal twarzy babć, dziadków i rodziców, ale coraz bardziej przyjaciół z parafialnej Oazy i dominikańskiego duszpasterstwa Przyszań. Także – choć jednak na drugim planie – twarzy księży, którzy byli naszymi duszpasterzami.

Czas najbardziej instytucjonalnej przynależności do Kościoła to – u progu dorosłości – cztery lata w zakonie dominikanów. Ale i one, jak je pamiętam, były jeszcze mocniejszym doświadczeniem religijnej wspólnoty jako sieci konkretnych międzyludzkich relacji. Tak, instytucja dawała pewne ramy, poczucie uczestnictwa w całości, która przekracza bezpośrednio doświadczane środowisko, gdyż obejmuje braci, których osobiście nie spotkałem, oraz – co równie ważne – zaczęła się kilkaset lat temu: jest wspólnotą nie tylko w przestrzeni, lecz i w czasie.

Dominikańska teologia, jak ją rozumiałem, dawała jednak ogromną przewagę żywym związkom, wręcz marginalizowała znaczenie form instytucjonalnych. Reguła św. Augustyna – wybrana przez św. Dominika ze względu na swą więźność umożliwiającą wolność interpretacji. Zakonne konstytucje – zmienne, dostosowywane do wciąż nowych okoliczności i obowiązujące tylko w wolności – z otwartą możliwością odstępstwa od nich, gdy nie pasują do konkretnych sytuacji. I głębokie, teologiczne uzasadnienie takiego stosunku do przepisów i instytucji: nawet nowe prawo Ewangelii nie jest – dowodził dominikański mistrz, św. Tomasz z Akwinu – zapisaną literą, lecz łaską Ducha obecnego w sercach wiernych; ewangeliczne teksty to zaś tylko wskazówka pomagająca rozpoznaniu tego wewnętrznego, świętego Tchnienia.

Opuściłem zakon, gdy wyleczono mnie w nim z ciasnego przekonania (którym zostałem zainfekowany w Oazie), że Bóg zaplanował w szczegółach moje życie, a mnie pozostało ów plan odczytać i zrealizować. Zostałem wprowadzony w chrześcijaństwo, które mówi: śmiało, ryzykuj, wymyślaj i nadawaj swojemu życiu niepowtarzalnie piękny kształt – to właśnie jest wola Boga.

Tradycja i spotkania

Uczniowie tego chrześcijaństwa: autorzy ewangelii kanonicznych i apokryficznej – Tomasza, aleksandryjczy poszukiwacze prawdziwej Mądrości, ojcowie pustyni, hezychasci z Synaju i góry Athos, mistycy nadreńscy i hiszpańscy – zostawili zapi-

ski, ślady swoich zmagania o piękny kształt życia zanurzonego w Życiu. W śladach tych rozpoznałem – i rozpoznaję nadal – szkic mojej duszy i mapę jej drogi. Wskazówki, za którymi idąc, odkrywałem i odkrywam siebie – nieoddzielonego od Podstawy Świata tworzonego przez relacje z tymi, których kocham (i z tymi, o których trudno mi tak powiedzieć).

Tak, uczyłem się także od dawniej żyjących niechrześcijan – Laozi, Buddy, mistrzów chan z czasu dynastii Tang, Aśtwakragity, Nachmana z Bracławia. Uczę się też od buddystów, Sikhów, sufich, Żydów, których miałem szczęście spotkać twarzą w twarz i którzy pozwolili mi się z sobą zaprzyjaźnić. Część tych nauk jest inna niż to, co znajduję w chrześcijańskiej tradycji. Lecz różnice w treści starożytnych dzieł raczej wzbogacają moje rozumienie świata, niż skłaniają do porzucenia chrześcijańskiej jego wizji.

Tym bardziej zaś dotyczy się to ludzi – bliskie relacje z niechrześcijanami nie są konkurencją dla kościelnych więzi. A to jednak więzi są podstawowym sensem i motywem mojego pozostawiania w Kościele.

Rozumiem, że każda wspólnota większa niż kilkanaście osób i chcącą przetrwać dłużej niż pokolenie musi wykształcić pewien aspekt instytucjonalny – określić (a być może i spisać) zespół reguł i norm, uformować struktury na podstawie tych reguł i norm funkcjonujące. Instytucjonalizacja chrześcijaństwa była zatem nieuchronna. Kościelne instytucje, które powstały, bo musiały, są jednak, jestem przekonany, w swej istocie →

POŻEGNANIE

Z największym żalem informujemy, że zmarły dnia 29 III 2021 roku

Ś.†P.

Kasper Pawlikowski

z Medyki

został pochowany w dniu 30 lipca 2021 roku
na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie

o czym zawiadamia pogrążona w bólu

RODZINA

→ całkowicie wtórne. Bycie w Kościele nie jest (dla mnie) przynależnością do instytucji.

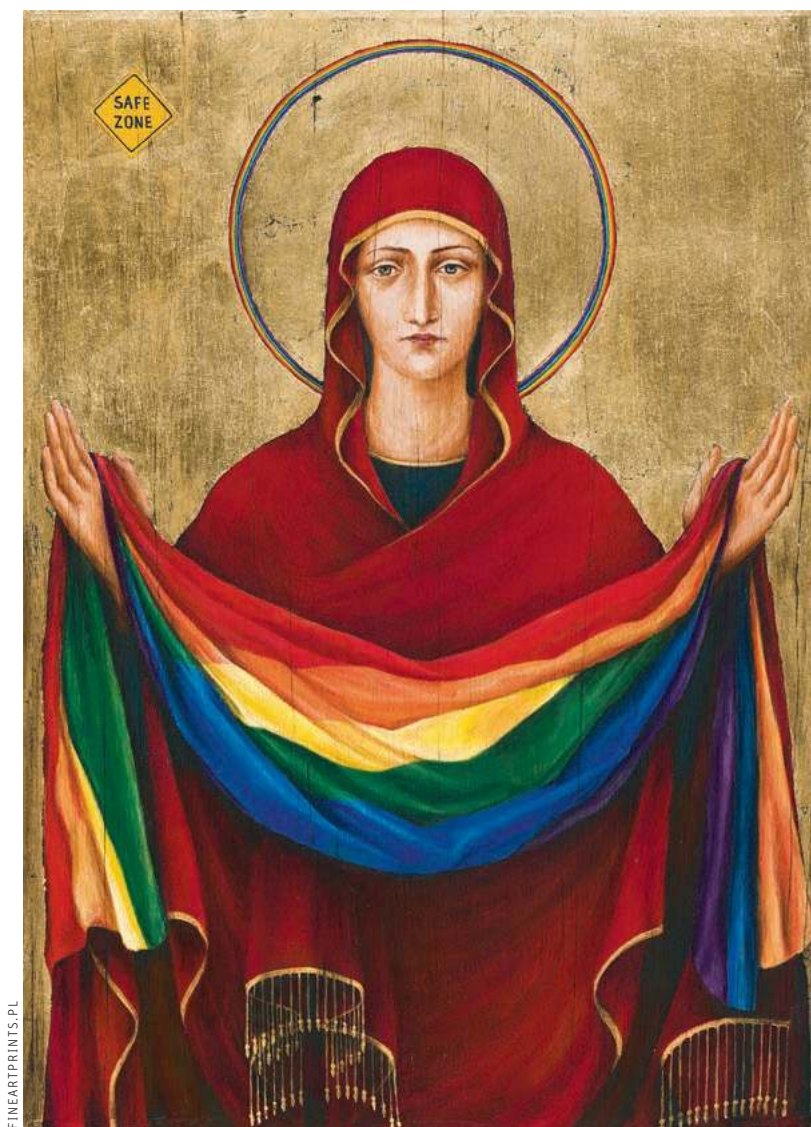
Jestem w Kościele, to znaczy chcę poszukiwać Ostatecznej Rzeczywistości i Sensu wspólnie z bliskimi mi osobami – z moją rodziną, z przyjaciółmi ze wspólnoty medytacyjnej i z Klubów „Tygodnika Powszechnego”, z kilkoma nadal ważnymi dla mnie braćmi z zakonu św. Dominika... A także ze znajomymi ze środowiska „Christianitas” – z którymi częściej się spieram, niż zgadzam, i z sąsiadkami z mojej podkarkowskiej parafii, których pobożność jest mi obca, a wiara bliska.

Boli mnie wszystko, co ludzie przyznający się do chrześcijaństwa uczynili i czynią złego. Chciałbym zmienić wiele w kościelnych strukturach i w tym, co nauczają katolicy nauczyciele – gdy tylko nabieram przekonania, że narracje te i struktury stają się przyczyną krzywdy i cierpienia. Żadne jednak takie zło nie stanowi powodu, bym chciał powiedzieć wszystkim osobom, o których wyżej wspomniałem: przykro mi, żegnajcie, odtąd nie chcę już iść z wami.

Tak, i oni (i one) nie są zapewne bez winy. Gdy ją zauważam, mój wewnętrzny faryzeusz szepcze: zostaw ich, jesteś lepszy, idź wyłącznie własną drogą. Ale na szczęście Duch przypomina mi wówczas historię sprzed kilkunastu stuleci: „Pewien brat w Sketis zgzeszył; zwołano zebranie i posłano także po abba Mojżesza, ale nie chciał przyjść. Ponownie kapłan posłał do niego wezwanie: »Przyjdź, bo cały lud na ciebie czeka«. Wstał więc i poszedł, ale wziął dziurawy koszyk, nappełnił go piaskiem i poniosł na plecach. Ci, którzy wyszli na jego spotkanie, zapytali go: »Ojcze, co to znaczy?« Odpowiedział im starzec: »Moje grzechy sypią mi się za plecami, ale ja ich nie widzę, a przychodzę dzisiaj sądzić cudze winy«”.

Sketis – miejsce życia pustynnych mnichów. Mieli ustalone zwyczaje, jakieś zinstytucjonalizowane formy funkcjonowania. Ale liczyły się przede wszystkim relacje. Żyli tam święci ludzie i działy się rzeczy straszne. Podobnie postrzegam mój Kościół. Czy jestem w nim bratem, nad którym odbywa się sąd, czy mam w sobie coś z abby Mojżesza? Nie wiem. I tego się trzymam.

©© PIOTR SIKORA



Borys Fiodorowicz, *Welon opieki*

Ikona jak plakat

DAWID GOSPODAREK

Zderzenie sacrum i profanum w moich obrazach jest wypadkową naszej powierzchownej religijności – mówi Borys Fiodorowicz.

TO TAJEMNICZY ARTYSTA. NIE POJAWIA się nawet na wernisażach swoich wystaw. Jego obrazy stają się coraz popularniejsze – i droższe. Zbiera pochwały w środowiskach chrześcijańskich i niechrześcijańskich, ale nie brakuje też krytyków doszukujących się

w jego twórczości kpiny ze świętych postaci i z doktryny, a nawet bluźnierstwa. Bo na obrazach Fiodorowicza dominują postacie Maryi i Jezusa znane z ikon, jednak nie są tam po to, by oddawać im cześć. Komentują natomiast współczesne problemy – bezdomności, uchodź-



FINEARTPRINTS.PL

Borys Fiodorowicz, *Noe z Lampedusy*

ców, antysemityzmu, nacjonalizmu, homofobii czy ekologii.

Zderzenie

Chęć zachowania anonimowości artysta tłumaczy nieśmiałością i wstydlivością. Ale ma też inne obawy: – Z jednej strony to trochę instynkt samozachowawczy. Mógłby mi ktoś, jak napisał kiedyś Mariusz Szczygieł, ukreślić łeb – mówi z lekkim uśmiechem. – A tak zupełnie serio, to pokazuję moje obrazy, a nie twarz. Chcę, żeby to prace mówiły.

Spotyka się raczej z pozytywnym odbiorem swojej twórczości. – Okazuje się, że jest bardzo dużo osób, które myślą i czują podobnie jak ja, to budujące. Jasne, że nie wszystkim podobają się moje obrazy i wcale tego nie oczekuję. Niepokoić może – przyznaje – radykalna postawa osób krytykujących moje prace, zarzucających mi obrazę uczuć religijnych i proponujących mi, żebym namalował np. wizerunek Mahometa, oczywiście z życzeniem śmierci w tle.

Artysta, jak większość polskiego społeczeństwa, wychowany został w kulturze chrześcijańskiej. – Sztuka sakralna ota-

cza nas niemalże od dziecka, więc inspiracją nią jest naturalna. W swoich obrazach pokazuję zarówno rzeczy poważne, jak i absurdu. Zderzenie *sacrum* i *profanum* w moich pracach jest wypadkową naszej powierzchownej religijności – wyjaśnia.

O własnej duchowości nie chce opowiadać publicznie.

Namalowane kazanie

O. Tomasz Biłka, dominikanin, artysta i założyciel wspólnoty Vera Icon: – Prace Borysa cechuje jasny, mocny i czytelny od pierwszego spojrzenia przekaz, bliski w jakimś sensie sztuce plakatu. Można posłużyć się wypowiedzią krytyka sztuki Davida Crowleya o polskiej szkole plakatu i stwierdzić, że reprezentuje on styl „niezależności i bystrości rozumu”. Nie brakuje mu także humoru, a nawet ironii.

Według dominikanina Fiodorowicz, łącząc ikonografię chrześcijańską ze współczesnymi znakami obecnymi zarówno w przestrzeni miejskiej, jak i wirtualnej – takimi jak znaki drogowe, znaki bezpieczeństwa, znaki towarowe, różnego rodzaju piktogramy, symbole czy ikony popkultury – tworzy trafny komentarz

do współczesnych wydarzeń i debat społecznych. – Te swoiste kazania częściej mają charakter metareligijny niż konfesyjny, bardziej społeczno-wychowawczy niż moralizatorski – zaznacza Biłka. – Bywa i tak, że udaje się Borysowi wyrazić także najgłębsze prawdy duchowe.

Pisarz i reportażysta Mariusz Szczygieł ma w domu dwa obrazy Fiodorowicza. – Dla mnie to mocna publicystyka, sztuka na dzisiejsze czasy – podkreśla. – Bez niedomówień, ale nie płaska. Trzeba się od razu zmierzyć z tymi komunikatami. Jest w nich pewien chytry trik. Otóż jest to sztuka krytyczna, ale „ładna”, przyjemnie się na te obrazy patrzy. Do tego maksymalnie uczłowiecza Matkę Bożą i Syna. Wstawia ich we współczesność, w nasz wadliwy świat. Dla mnie są to kazania. Tak, mam na myśli namalowaną homilię. Borys Fiodorowicz w jakiś sposób zastępuje księdza.

Niektórzy zaliczają prace Fiodorowicza do sztuki kampu, ze względu na eklektyczność języka i jarmarczny klimat, a także nawiązywanie do ornamentyki ludowej. Według o. Biłki to opinia nietrafiona: – W tych obrazach brak charakterystycznego dla kampu przesytu. Widzę w nich prawdziwą i harmonijną duchowość, bo bliższy im jest ściszony ton wyznania niż krzykliwe deklaracje.

Znak ikony

Czy obrazy Fiodorowicza są ikonami? O. Biłka: – Choć sam Borys nigdy nie powiedziałby, że maluje ikony, kilka jego obrazów to ich swoiste interpretacje. Przy najmniej w jednym przypadku nie odmówiłbym mu kanoniczności, choć nie dla wszystkich byłoby to oczywiste: chodzi o „Welon opieki” z 2020 r. „Ikony” malowane są płasko, z pożąta postarzała tak, by imitowała stare deski, ciało zaś realistycznie, jak bywało na ikonach ukraińskiego baroku czy XIX-wiecznych oleodrukach Niepokalanego Serca Maryi i Najświętszego Serca Jezusowego. Wszystko to stanowi *cliché* ikony i wskazuje, że mamy do czynienia bardziej z jej znakiem niż samym „obrazem uobecnającym”.

Według dominikanina obraz stanowi więc metawypowiedź, każąc wziąć w nawias jej religijny sens, a może bardziej: wziąć w nawias samą religię, jej kulturową postać, której jednocześnie wcale się nie zaprzecza. – W ten sposób wyzwolone z karbów religijności chrześcijaństwo, którego wyrazicielami będą tu zawsze

→ persony Maryi i Jezusa, prezentuje się być może w najbardziej odpowiedni dla siebie sposób – wyjaśnia o. Biłka.

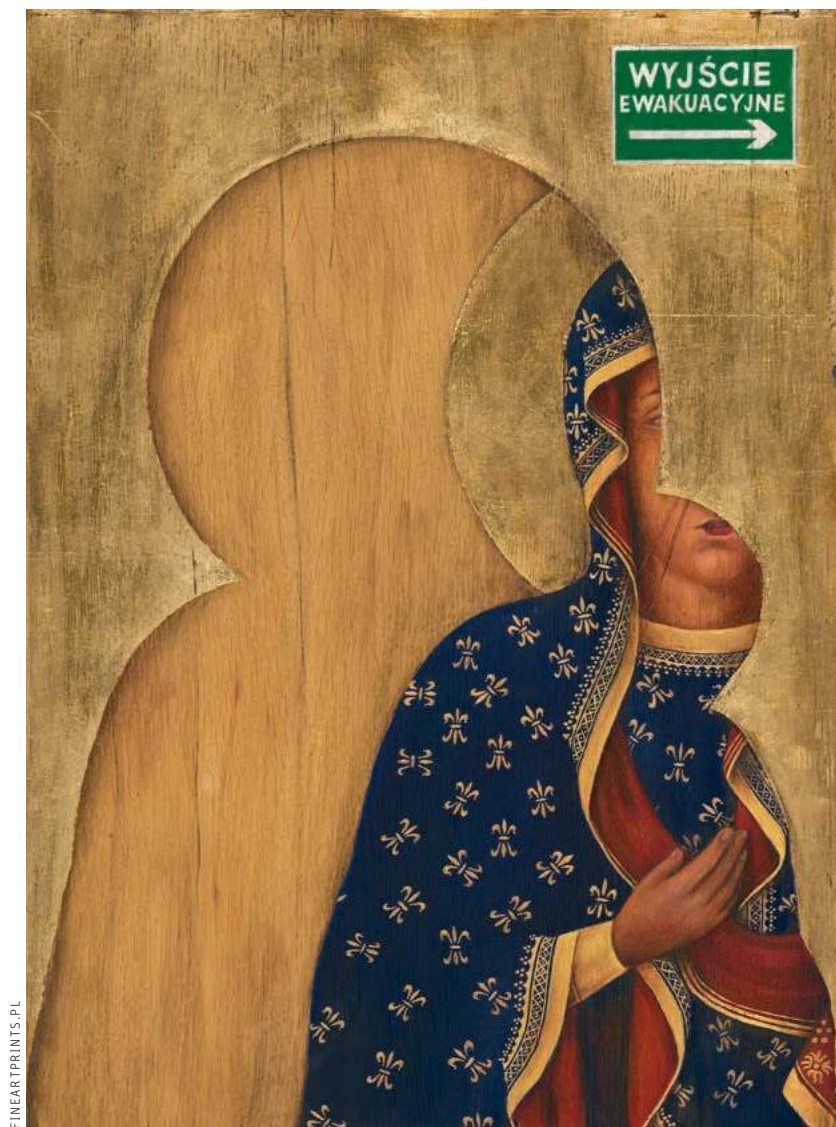
Ewa Zalewska, kierowniczka Muzeum Ikon w Supraślu, gdzie swoją wystawę miał Borys Fiodorowicz, zwraca uwagę, że porównywanie malowanych przez Borysa wizerunków do ikony jest ścieżką prowadzącą do niezrozumienia, a nawet oburzenia. – W moim odczuciu nie jest intencją Borysa tworzenie obrazów pośredniczących w modlitwie, a raczej wizerunków pośredniczących w dotarciu do naszych serc i rozumów, inspirujących nie do modlitwy, ale do refleksji. Borys zwraca uwagę na relacje międzyludzkie, na tak bardzo ludzkie „-yzmy” i „-izmy”: fanatyzmy, rasizmy, seksizmy i inne zupełnie niechrześcijańskie bolączki naszego chrześcijańsko zdeklarowanego społeczeństwa.

Ręcznik obrzędowy

Zalewska podkreśla, że Borys rozumie wagę najważniejszego przykazania: przykazania miłości. – Można przecież przestrzegać dekalogu, a miłości nie mieć. Im słabsza mniejszość, im bardziej prześladowana albo odzierana z godności grupa, tym bardziej czuły jest barometr Borysa i jego głos w jej obronie. Czy Chrystus i Maryja chcieliby królować w sercach przepelnionych pogardą do drugiego człowieka? Borys broni też tego, co wobec ekspansji człowieka jest coraz bardziej bezbronne i poniewierane: zwierząt i przyrody. Stara się dotrzeć do widza obrazem, skojarzeniem. Ale nie karci, jak inkwizycja, lecz wywołuje czasem uśmiech.

A dzięki temu – zauważa Zalewska – nie musimy czuć się naszymi słabościami napiętnowani, możemy natomiast wychodzić z nich, wspierając się na autoironii.

Wystawa Fiodorowicza w Muzeum Ikon była nietypowa. Artysta kojarzony z ikoną, w przestrzeni kojarzonej z ikonami, zdecydował się przemówić innym językiem. – Uznał, że nie może swoich prac, w których czerpie wprawdzie z wzorców ikonograficznych, ale użytych w innych kontekstach, pokazywać pośród „namodlonych” ikon – tłumaczy Zalewska. – Dlatego wybrał inspirację ręcznikiem obrzędowym, który funkcjonuje w kontekście sztuki ikonicznej. Wyszłyśmy my we wzory ręcznikami okrywa się ikony, zdobi święte kąty. Wzory wykorzystywane na ręcznikach obrzędowych



Borys Fiodorowicz, *Sorry, Polsko*

tworzą swoisty kod znaczeniowy, wywodzący się jeszcze z czasów pogańskich. Pewne wartości pozostały niezmiennie. – Nadal funkcjonują wzory oznaczające życie, przodków, rodzinę, miłość czy urodzaj. Zestawiając wzory, można opisać wiele współczesnych sytuacji. – tłumaczy Zalewska. – Jedną z prac zaprezentowanych na wystawie nosi tytuł „Noe z Lampedusą”. Pokazany z lotu ptaka kształt łodzi złożony został z wzorów oznaczających człowieka, chleb i pracę. Wystawa okazała się zaskoczeniem dla tych, którzy przyszli zobaczyć inspirowane wzorami ikonograficznymi prace Borysa – zwiedzający wychodzili zdumieni, że tak wiele ważnych wątków można pokazać inaczej.

Jak swoją twórczość widzi sam artysta? Czy podjął się jakiejś misji? – Misja kojarzy mi się z programem korporacyjnym.

Cele, oczekiwany rezultat produktu, grupa docelowa... W tym znaczeniu nie mam misji. Nie planuję, że oto namaluję obraz, który pokaże, jak trzeba żyć. Bo tego po prostu nie wiem. Moje obrazy powstają, bo tak czuję, bo tak uważam za słuszne, bo tak robię – tłumaczy Fiodorowicz. – Nikogo nie namawiam, żeby żył tak jak ja. Dobrze, gdy znajdują się osoby myślące podobnie. Wszyscy mamy prawo żyć tak, jak uważamy za słuszne, byle nie czynić krzywdy drugiemu. Po to się uczymy, wymieniamy poglądy, czytamy, oglądamy obrazy, żeby zobaczyć, jak myślą inni. I to nas rozwija, zmienia. Mam nadzieję, że na lepsze. Zauważam sprawy poważne, ale też absurdy. Przetwarzam je w głowie i w ten sposób powstają obrazy. Interpretacja należy do odbiorcy.

© DAWID GOSPODAREK

Naszej miłości się nie leczy

PAULINA MAŚLONA Z HISPANII

Watykan odciął się od organizacji zajmującej się terapiami konwersyjnymi homoseksualistów w Hiszpanii. Wcześniej na jej działania przychylnie spoglądał lokalny Kościół.

CZY MOŻNA PORZUCIĆ ŻYCIE HOMOSEKSUALISTY? Tak tytułuje w 2012 r. swój blog osiemnastolatek Alberto Pérez. Na tym etapie jest już w porzucaniu swojego homoseksualizmu ekspertem: uczestniczył w terapiach, przykościelnych grupach wsparcia, próbował leczenia farmakologicznego. Po latach prób udało się – Alberto ogłasza, że jest „wyleczony” i zaprasza innych „cierpiących”, żeby poszli tą samą drogą. Wtedy chłopaka zauważył Miguel Ángel Sánchez Cordón, pediatra z Granady, i razem zakładają organizację Verdad y Libertad (Prawda i Wolność). Wspólnie będą zajmować się przeprowadzaniem tzw. terapii konwersyjnych – krytykowanych przez specjalistów zdrowia psychicznego i najczęściej uznawanych za nieetyczne, szkodliwych i pozbawione sensu – których celem jest „odzyskanie utraconego heteroseksualizmu”.

W 2020 r. Verdad y Libertad przechodzi do historii jako pierwsza tego typu organizacja religijna, której praktyki zostają otwarcie skrytykowane przez Stolicę Apostolską. O notatce przekazanej hiszpańskim biskupom przez Kongregację ds. Duchowieństwa informuje katolicki tygodnik „Vida Nueva”. W tym samym numerze wypowiada się Alberto, teraz prawie trzydziestolatek: „Z Verdad y Libertad wyszedłem złamany, ze zmiażdżonym poczuciem własnej wartości”.

Mnie możecie oszukiwać, ale Boga nie

„Na rękę załóż gumkę recepturkę. Idziesz ulicą i nagle zauważasz atrakcyjnego mężczyznę? Szybko strzel recepturką w nadgarstek! Proste? To tylko jedna z (...) technik, dzięki którym masz zapomnieć o tym, że kiedykolwiek po-

dobały ci się osoby tej samej płci. Bazuje na terapii awersyjnej, czyli kojarzeniu określonych zachowań z ich negatywnymi konsekwencjami” – wspomina w mediach społecznościowych Alberto. Verdad y Libertad oferuje jednak dużo więcej: wsparcie i ukierunkowanie w drodze, jaką jest odkrywanie swojej „właściwej” seksualności.

To, jak dokładnie wygląda „terapia”, odkrywa w 2019 r. dziennikarz magazynu elDiario.es, Sergi Pitarch. Uczestnicy nie mogą ulec swoim seksualnym pragnieniom, a reguły przynależności do wspólnoty są restrykcyjne. Członkowie otrzymują tabelkę, według której za każdy „upadek” przewidziana jest konkretna kara. Upadkiem może być „świadome fantazjowanie”, oglądanie pornografii czy masturbacja, kary natomiast zwykle polegają na odizolowaniu od grupy. Uczestnicy źle je znoszą: nie tylko przez wszechogarniający wstyd, ale, jak sami opowiadają w elDiario.es, także przez to, że wspólnota jest dla nich często jedynym wsparciem. To tu, za namową prowadzących, dzielą się najintymniejszymi sekretami, tu rozbierają się do naga i przytulają, żeby „się wyżyć popędu”. Założyciel organizacji, lekarz Miguel Sánchez Cordón, od początku zniechęca uczestników do opowiadania o tym, co dzieje się na spotkaniach. „Zerwijcie wszelkie kontakty, bo są sytuacje, kiedy ktoś jest po prostu ciekawy. To jest tak ważne, że jeśli coś takiego się jeszcze powtórzy, to taką osobę usunę. Mnie możecie oszukiwać, ale Boga nie oszukacie. To nie moje słowa, tylko księdza” – można usłyszeć na nagraniu udostępnionym przez elDiario.es. Ale Verdad y Libertad to też obietnica ostatecznej nagrody: po przynajmniej 270 dniach celi-

batu drewniany pieńek z twoim imieniem może wylądować w ogrodzie Sáncheza Cordóna, a ten uściśnie ci rękę – bo właśnie zostałeś uzdrowiony.

To nie terapia

Kiedy w 2019 r. na światło dzienne wpływają relacje ofiar Sáncheza Cordóna, arcybiskupstwo Walencji odcina się od organizacji, choć jednocześnie informuje, że wie o jej istnieniu. To nikogo specjalnie nie dziwi – Verdad y Libertad, choć prowadzona przez osoby świeckie, czerpie bezpośrednio z religijnej retoryki, a większość spotkań wspólnoty odbywa się w budynkach kościelnych. Nawet i bez tego trudno byłoby jednak posadzić hiszpański Kościół o brak doświadczenia w temacie. Nieco wcześniej wychodzi na jaw, że terapie konwersyjne prowadzi również biskup Juan Antonio Reig Plà z Alcalá de Henares, inny zaś biskup, José Ignacio Munilla z San Sebastián, chwali się w baskijskiej telewizji, że „uzdrowił” już co najmniej trzy osoby homoseksualne.

W Hiszpanii, w której od ponad 15 lat legalne są małżeństwa osób tej samej płci (a według ostatniego sondażu Ipsos popiera je 76 proc. społeczeństwa), takie wieści nie przechodzą bez echa. W Alcalá de Henares zbiera się tłum wymachujący tęczaowymi flagami, a jednopłciowe pary całują się przed drzwiami kościoła. Zebrani skandują: „Naszej miłości się nie leczy”. To wtedy w sprawę zaczyna się angażować prawnik Saúl Castro Fernández. W 2020 r. zakłada No Es Terapia (To Nie Terapia), Hiszpańskie Stowarzyszenie Przeciw Terapiom Konwersyjnym.

– W Hiszpanii można podzielić tego typu terapie na trzy rodzaje – tłumaczy Castro Fernández. – Te prowadzone lub związane z Kościołem katolickim zwykle czerpią od swoich odpowiedników z USA i autorytetów w tych kręgach, takich jak Richard Cohen [w Polsce znany m.in. z książki „Wyjść na prostą. Rozumienie i uzdrawianie homoseksualizmu” – PM]. Praktyki mają przypominać psychoterapię, a ich autorzy często wiążą homoseksualizm z traumą z dzieciństwa. Z drugiej strony mamy grupy ewangeliczne, które stawiają na doświadczenia duchowe: wspólną modlitwę czy egzorcyzmy – dodaje.

Ostatni typ, jak zaznacza Castro Fernández, to ci z przedsiębiorczym zacięciem, →

→ którzy w terapii konwersyjnej znaleźli sposób na biznes. Niekwestionowaną liderką jest tu Elena Lorenzo, samozwańcza specjalistka od „coachingu tożsamości”, której w prowadzeniu kursu „Droga do heteroseksualizmu” nie przeszkodziła pandemia ani 20 tys. euro kary.

Delegalizacja

– W czterech regionach Hiszpanii w sprawie tego rodzaju terapii może zostać otwarte postępowanie administracyjne, Lorenzo to jednak pierwszy taki przypadek – potwierdza Castro Fernández. – Problem w tym, że takimi sprawami nie zajmuje się bezstronny sąd, tylko administracja publiczna, a jej działania uzależnione są często od poglądów lokalnej władzy, czasem konserwatywnej.

Wkrótce powinno się to zmienić. Pod koniec czerwca rząd przyjął nowy projekt regulujący prawa społeczności LGBT+. Wśród nich: całkowity zakaz terapii konwersyjnej. Castro Fernández, który współpracuje z ministerstwem ds. równości, liczy, że takie praktyki podlegać będą

prawu karnemu. Hiszpania tym samym dołączyłaby do zaledwie kilku państw na świecie, które delegalizują „leczenie” homoseksualizmu.

Umywanie rąk

– Czy uważam to za ważny sygnał ze strony Kościoła? – zastanawia się Castro Fernández, kiedy pytam go o niedawny komunikat watykańskiej Kongregacji ds. Duchowieństwa, który wspomina o przeprowadzonym śledztwie i wzywa hiszpańskich biskupów do potępienia Verdad y Libertad ze względu na „błędne cele i metody”.

– Pewnie tak, choć wolałbym, żeby Kościół dysponował mechanizmami prewencyjnymi, które uniemożliwiłyby powstawanie takich inicjatyw.

Według prawnika do tej pory duchowni głównie umywali ręce. Nikt też nie bierze odpowiedzialności za problemy ofiar toksycznych terapii. Ich skalę, choć w brytyjskim kontekście, pokazuje np. przeprowadzony w 2018 r. Faith and Sexuality Survey: ponad po-

łowa respondentów, którzy przeszli przez terapię konwersyjną, ma problemy ze zdrowiem psychicznym, 20 proc. przyznaje, że próbowało popełnić samobójstwo. Jeśli chodzi o powody rozpoczęcia terapii, ponad 70 proc. podaje przekonanie o „grzeszności własnych pragnień”.

Podobne motywacje przyświecały niedługo Albertowi, współzałożycielowi Verdad y Libertad, który dzisiaj krytycznie odnosi się do działania organizacji. „Moje stany lękowe i inne problemy wynikały z tego, że nie pozwoliłem sobie przeżywać mojej seksualności naturalnie, ale poprzez strach, wstyd, poczucie winy i obrzydzenie” – mówił w rozmowie z blogerem Carlosem Osmą.

Na razie informacji o terapii Verdad y Libertad i jej liderze, Sánchezie Cordónie, na próżno szukać w sieci. Nie znaczy to jednak, że zniknęła. Krytyka i zainteresowanie mediów, jak wskazują informatorzy Castro Fernández, powodują, że tego typu inicjatywy prowadzone są w jeszcze większej tajemnicy.

© PAULINA MAŚLONA

weź, czytaj! w prenumeracie:

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	420 zł	540 zł
Półroczna (26 numerów)	240 zł	300 zł
Kwartalna (13 numerów)	130 zł	160 zł
Pokolenia*	365 zł	
Karta Dużej Rodziny**	365 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY. WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	490 zł	610 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	430 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	430 zł	
4 wydania specjalne	75 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

WOJCIECH

Bonowicz: Piechur



BYŁ CZŁOWIEKIEM DELIKATNYM, NIECO wycofanym, nienarzucającym się. Obserwatorem, „aniołem obserwacji”, jak go nazwał jeden z przyjaciół. Tuż przed śmiercią oświadczył żonie, że robił w życiu dokładnie to, co chciał – pisał wiersze i chodził.

Bohaterem najnowszego numeru „Literatury na Świecie” jest Charles Reznikoff, zmarły niespełna pół wieku temu żydowsko-amerykański poeta, który większość swoich tomów sam złożył i wydrukował na ręcznej maszynie drukarskiej zainstalowanej w piwnicy. Znany u nas dotąd głównie z krótkich, migawkowych wierszy – w których opowiadał o tym, co zobaczył, skojarzył, usłyszał lub co przyszło mu do głowy podczas spacerów – we wspomnianym numerze prezentuje się przede wszystkim jako autor wstrząsającego cyklu „Świadectwa”, na który złożyły się utwory będące wynikiem wieloletniego studiowania akt procesowych (Reznikoff z wykształcenia był prawnikiem). Czytając te wiersze, słyszymy głosy przesłuchiwanym, na ogół świadków jakiegoś zdarzenia, czasem – z rzadka – opinie sądu w rozpatrywanej sprawie. To ciemna i trudna lektura, dla „delikatnych literackich żołądków” zapewne zbyt mocna, jak pisze w poświęconym „Świadectwom” szkicu Milton Hindus. Ukazując świat naznaczony przemocą, często wybuchającą nagle, z przerażającą gwałtownością, poeta buduje swoistą alternatywną historię Ameryki, a może po prostu alternatywną – wobec nadmiernie optymistycznych (bywały w przeszłości takie) – wizję natury ludzkiej.

„Świadectwa”, ale też inne wiersze Reznikoffa w numerze, dostajemy w przekładach Piotra Sommera, który od lat przenosi do polszczyzny jego utwory, dłubiąc przy każdym z nie mniejszą starannością niż sam autor. „Jeśli chodzi o te krótkie wiersze – powiem panu, jak je piszę”, mówi Reznikoff w opublikowanej przez „Literaturę...” rozmowie z niemieckim amerykańnistą. „Nie deliberuję nad tym zbyt, zapisuję coś surowego, coś – jeśli mnie uderzyło – a kiedy potem czytam i przetwarzam, to wykreślam linijkę za linijką, jeśli nie wydają mi się udane, i w końcu zostaje mi haiku! A jak dobrze pójdzie, to

dwuwiersz. Czasem nawet pojedynczy wers”. Poeta pilnował przy tym, żeby zapis miał swoją melodię, a jeśli się da – także akcent humorystyczny. „Amerykański język potoczny nie przekonuje mnie muzycznie”, mówi w tym samym wywiadzie. „Ale staram się w nim tę muzykę wytwarzać”.

Numer jest obszerny, po raz pierwszy dostajemy w języku polskim tak dużo materiału komentującego dzieło Reznikoffa. Ba, mamy nawet fragment jego powieści. Wiele cennych autokomentarzy i informacji biograficznych przynosi wspomniany wywiad. Reznikoff opowiada w nim m.in. o podejmowanych próbach nauki hebrajskiego, najpierw w chederze, gdzie nie mógł się odnaleźć („metoda była taka, że każdy uczył się innego fragmentu i głośno go wykrzykiwał”, więc „panował straszny harmider”), a potem samodzielnie, kiedy to z nadmierną pieczołowitością wymawiając samogłoski, wywoływał popłoch wśród krewnych (ojciec, słysząc go, zawołał przerażony: „Toż to arabski!”). Wspomina też, że imię wybrał dlań lekarz, który był przy jego narodzinach, „Żyd, tyle że anarchista”. Reznikoff był dzieckiem imigrantów przybyłych z Rosji, matka chciała, żeby nosił imię jej ojca – Ezechiel. „Wie pani co?”, powiedział lekarz. „Niech mu pani da na imię Charlie. Kiedyś pani podziękuję”.

Jednak to, co najciekawsze, jest w wierszach. Reznikoff świadomie ustawia się w nich nieco anachronicznie – obraz poety, jaki kreuje, był niemożliwy już wówczas, w latach 40. i 50. ubiegłego wieku. A jednak jest w tej jego anachronicznej powściągliwości coś ujmującego, a efekt, jaki osiąga prostymi z pozoru środkami, szalenie trudno podrobić. Nawet najskromniejsza, najbardziej potoczna obserwacja czy refleksja uzyskują tu kształt w jakiś sposób ostateczny; można odnieść wrażenie, że wystarczyłby jeden nieuważny ruch – podmiana jednego słowa albo inny podział na wersy – i wiersz przechyliłby się w coś nieznośnego. Nie da się zwyczajnego życia i pospolitych doświadczeń opisać lepiej niż tak jak w tym wierszu:

*Krzak pod moim oknem tak urósł
że gałązka
wyciąga się teraz do mnie nad parapetem
jakby chciała pokazać
pęk delikatnych liści.
Jesteście piękne, liście, i milczące:
nie prosicie o nic –
ani o żywność, ani o honorarium,
a nawet żebyśmy na was patrzył.*

©

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Tychach, I Wydział Cywilny, pod sygn. akt I Ns 66/21 toczy się postępowanie sądowe o stwierdzenie nabycia spadku po Marianie Gnielczyku, ostatnio stale zamieszkującym w Tychach, zm. 11 maja 2005 r. w Tychach.

Wzywa się spadkobierców bądź ich następców prawnych, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili się do sądu, w którym toczy się postępowanie, i udowodnili swoje prawo do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominęci w postanowieniu o nabyciu spadku.

W dniu 2 czerwca 2020 r. **Sąd Rejonowy w Chełmie**, I Wydział Cywilny, w sprawie I Ns 729/19 wydał postanowienie o zezwoleniu wnioskodawcy Alicji Wątrobińskiej na złożenie do depozytu sądowego przedmiotu świadczenia w postaci kwoty 8142,50 (osiem tysięcy sto czterdzieści dwa 50/100 złote) z tytułu spłaty z majątku spadkowego po Marii Czapce na podstawie postanowienia Sądu Rejonowego w Chełmie z dnia 17 lipca 2019 r., sygn. akt I Ns 682/18 (punkt II podpunkt 3 postanowienia) z zastrzeżeniem, iż powyższa kwota może być wypłacona Wiesławie Durko lub jej następcom prawnym.

Wzywa się Wiesławę Durko lub jej następców prawnych, aby zgłosili się do Sądu Rejonowego w Chełmie celem odebrania depozytu.

GDY NADESZŁA FAŁA

Korespondent „Tygodnika” był w dolinie rzeki Ahr w Nadrenii. Wiele tamtejszym mieszkańcom powódź zabrała wszystko. Także ich bliskich.

TEKST I ZDJĘCIA: **ŁUKASZ GRAJEWSKI**
Z ALTENAHNR I AHRWEILER (ZACHODNIE NIEMCY)

WIDZISZ TĘ LINIĘ, TAM, WYSOKO? – Dirk Fuhrmann wskazuje kilkupiętrowy budynek. Na wysokości parteru nic nie widać. – Nie, nie tu. Spójrz tam, gdzie są okna na pierwszym piętrze – podpowiada. Teraz faktycznie widać różnicę. Od połowy okna w górę zielony kolor ściany budynku jest jaśniejszy. Poniżej zieleń staje się bardziej morska, ciemniejsza. Ściany są wilgotne. Po oknach na parterze pozostały gołe dziury.

– Tu, gdzie teraz stoimy, potrzebowałbyś sprzętu do nurkowania – uśmiecha się, choć wcale nie jest mu do śmiechu.

60-letni Fuhrmann stoi w centrum miasteczka Altenahr. To turystyczny kurtort w dolinie rzeki Ahr. Wije się ona malowniczo wzdłuż zboczy, na których już 2 tys. lat temu Rzymianie zakładali winnice. Ahr w języku celtyckim oznacza „wodę”. To woda nadawała temu miejscu sens: nawadniała winorośl i tworzyła krajobraz, który przyciągał turystów. I to woda ten sens odebrała

Im głębiej w dół

Jeszcze do połowy lipca dojazd do Altenahr i innych miasteczek w dolinie Ahru

był banalny. Dobrze oznaczone drogi, połączenia kolejowe – kto co woli. Dziś jadąc w tym kierunku z oddalonego o 20 km Bonn, dawnej stolicy Republiki Federalnej Niemiec, wkracza się w inną rzeczywistość.

Na drodze wyrasta blokada. – Prasa? – policjant sprawdza legitymację. – Można jechać, ale proszę nie przeszkadzać dużym transportom.

Policja zawraca prywatne auta.

Im bliżej doliny, tym asfalt robi się bardziej żółty od błota i pyłu. Po niebie krążą helikoptery. Po drodze poruszają się niemal wyłącznie pojazdy Bundeswehry, jeepy i ciężarówki, a także specjalistyczne ciemnoniebieskie wozy Federalnej Agencji Pomocy Technicznej (jej zadaniem jest reagowanie w sytuacjach kryzysowych).

Kawałek dalej kolejna kontrola: – Proszę zaparkować przed miastem i zejść pieszo.

Kilometr drogi prowadzącej w dół, ku dnu doliny, to podróż niczym w „Jądrze ciemności” Conrada. Również w górnych częściach miasteczka Altenahr górskie potoki zalały ulice, piwnice i ogrody. Z ubłoconych samochodów wystają ga-

łęzie i trawa. Mieszkańcy wciąż doprowadzają do porządku swoje domy. – Tak, u nas też zalało, ale to nic poważnego – mówią niemal przepaszającym tonem. – Ucierpieli ci na dole.

Im głębiej w dół, tym gorzej. Coraz mocniej zniszczone auta, coraz więcej błota i wybitych szyb. Tam, gdzie zaczyna się główna ulica, starsza kobieta łopata zbiera muł. – Na szczęście mieszkam na pierwszym piętrze, mam wciąż gdzie żyć – przerywa pracę. A parter? – To był mój sklep – kobieta opiera ręce na łopacie i przez okno pozbawione szyby patrzy w głąb błotnistej przestrzeni. – Ale ci blisko rzeki mają gorzej, tam zalało wszystko – dodaje cicho i wraca do porządków.

Z każdym metrem przybywa błota. Budynki, w których niedawno były winiarnie, kawiarnie i sklepy, są zrujnowane. Jest tłoczno: żołnierze, technicy, strażacy, ochotnicy, ciężki sprzęt.

Centrum Altenahr to ruiny. Mieszkańcy w rozmowach automatycznie przerzucają się na czas przeszły: tu była droga, tu dworzec kolejowy. Tutaj był most, tam nasze domy.





Miasteczko Ahrweiler po powodzi, widoczny zniszczony most, 25 lipca 2021 r.

Płacz albo śmiech

Katastrofa zaczęła się w środę 14 lipca.

Ahr to latem rzeczka, miejscowi mawiają na nią „kałuża”. Jednak tego dnia od rana lało, z godziny na godzinę silniej, 200 litrów na metr kwadratowy: tyle, co normalnie w ciągu kilku miesięcy. Po zboczach doliny z każdej strony woda wlewała się do Ahru. Potężna fala, która utworzyła się pod wieczór, przetoczyła się przez dolinę, niszcząc wszystko na swej drodze.

W centrum Altenahr, gdzie stoi Dirk Fuhrmann, ostał się jeden most. Budynki bezpośrednio przy rzece zostały zmiecione albo kompletnie zrujnowane. Fuhrmann mieszka gdzie indziej, ale w Altenahr spędził 40 lat życia, zna tu niemal każdego. Teraz chodzi od budynku do budynku i spontanicznie pomaga przy organizowaniu pracy wolontariuszy.

Po deskach – ułożonych tak, by móc po nich jechać taczkami – wchodzimy do hotelu Zur Post (Przy Poczcie). Obok może tuzin osób podaje sobie kolejno wiadra z mulem. Przy każdym budynku tworzy się hałda błota zmieszana z odpadami. Z okna po przeciwnej stronie leci

w dół wanna. Wchodzimy do budynku, który niedawno był największym hotelem w mieście. Obecnie nie ma drzwi, okien, framug, tylko gołe ściany pokryte brudną mazią.

– Tutaj w kącie stała zgnieciona przyczepa kempingowa. Wczoraj ją wyciągnęliśmy – pokazuje Dirk. Zaraz po powodzi w hotelu było pełno przywleczonych przez wodę drzew. – Teraz to tu jest niemal czysto – komentuje z czarnym humorem. I dodaje: – Mamy dwa wyjścia: możemy albo usiąść i płakać, albo śmiać się i pracować.

Tu i teraz

Na tarasie stoi postawny mężczyzna. Na głowie czapka z daszkiem, na nogach obowiązkowe tu obuwie – kalosze. To Günter Lang, właściciel hotelu. Z twarzy trudno wyczytać jego obecny stan ducha. W każdym razie nie rozpacza, w końcu od powodzi mija już drugi tydzień. Czasem tylko, gdy na twarzy pojawia się nieśmiały uśmiech, widać, że to grymas maskujący strach o przyszłość.

– Tu na tarasie i w środku mieliśmy miejsca dla 400 gości restauracji. A tam

był parking – pokazuje dziurę za tarasem. Lang prowadzi niżej i pokazuje kolejno: tu była sauna, tam salon masażu, tutaj basen i siłownia.

– W 2016 r. mieliśmy tu już „powódź stulecia”. Woda sięgała o tutaj – pokazuje hotelarz. Jeśli taki żywioł uznano już wtedy za najgorszy z najgorszych, to nic dziwnego, że nikt się nie spodziewał, iż poziom wody może sięgnąć wiele metrów wyżej. – To działo się błyskawicznie – wspomina. – W środę po południu mieliśmy jeszcze gości w restauracji, woda szybko zaczęła się zbliżać.

Günter z personelem i pozostałymi gośćmi zgromadzili się na najwyższym piętrze i stamtąd obserwowali apokalipsę rozgrywającą się na ich oczach. Miasteczko na wiele godzin po prostu zatonęło, tu i tam wystawały wyższe kondygnacje.

Właściciel hotelu musi mieć głowę do planowania. Personel, rezerwacje, produkty do kuchni, sprzątanie. Wszystko trzeba organizować z wyprzedzeniem. Można odnieść wrażenie, że te zdolności Günter Lang utracił wraz z powodzią. – Nie wiem, co dalej. Nie planuję ➔



→ następnych kroków. Trzeba wyciągać błoto – Lang skupia się na „tu i teraz”. Myślenie o przyszłości jest równie przerażające, co wspomnianie chwil, gdy musiał liczyć się ze śmiercią.

Chcemy stanąć na nogi

– Wszędzie woda i ten przeraźliwy hałas. Krzyki mieszkańców ledwo się przebiły, nie można było nic zrozumieć – wspomina Stefanie Nelles.

Stefanie z siostrą prowadziła pensjonat i restaurację Caspari. Wraz z grupką pomocników siedzi właśnie przed budynkiem. Jest po dwunastej, czas na krótką przerwę. Na obiad pączki i piwo przywiezione przez wolontariuszy. Na szczęście dla właścielek budynek stoi na niewielkim wzniesieniu. Tu również zalało piwnicę i pierwsze piętro, ale Nelles jest pewna, że stan nie grozi zawaleniem. Tej pewności nie mają właściciele budynków stojących bliżej rzeki.

– Najpierw woda spływała z góry – kołbieta odtwarza godziny grozy. – Potem około siedemnastej wody, które wylały z Ahru, zaczęły się zbliżać do nas. W ciągu może 35-40 minut poziom podniósł się o kilka metrów. Uciekliśmy na drugie piętro. Obok domu płynęły pozgniatane auta, drzewa, kontenery i butle z gazem. Butelki wina tworzyły ławice. Nie działała sieć telefoniczna.

Stefanie jest szczęśliwa, że jej sześciolatnia córka była tego dnia na wycieczce: – Zdążyliśmy zadzwonić i przekazać, żeby nie wracała do domu.

Rodziny Stefanie i jej siostry straciły cały dobytek. Z błotem już się uporali, teraz skuwają kafelki w piwnicach, żeby ściany mogły schnąć. – Chcemy stanąć na nogi. Moja rodzina prowadzi ten dom gościnny od trzech pokoleń – mówi Nelles.

Boją się tej chwili, gdy pewnie za parę tygodni media przestaną się interesować ich losem. Stefanie: – Odbudowa miasta to zadanie na lata. Moja córka miała od września pójść do szkoły. Ale szkoły już nie ma.

– Przynajmniej rozwiązał się problem personelu – dodaje z przekąsem jej siostra Andrea. – Jeszcze dwa tygodnie temu prosiliśmy Paulinę, naszą pracownicę z Polski, żeby rozesłała do znajomych oferty pracy u nas. Teraz to nieaktualne.

Jak zostaną rozdzielone pieniądze, które teraz są zbierane w całych Niemczech przez różne organizacje? Czy trafią bezpośrednio do mieszkańców? Te pytania zadają sobie również właścicielki Caspari. I kto wyremontuje budynki, gdy skończy się sprzątanie? Małe firmy budowlane z regionu ucierpiały tak jak wszyscy. Przepadł sprzęt, auta dostawcze. – Jeszcze przed katastrofą czas oczekiwania na materiały budowlane był liczony w miesiącach. A jak będzie teraz? – zastanawia się Nelles.

Dzięki nim nie płaczę

Mieszkańców Altenahr na duchu podtrzymuje wsparcie i solidarność tych, którzy dobrowolnie ściągają z najdalszych zakątków Niemiec. W niedzielę po południu obok mostu dwóch mężczyzn rozkłada grilla i zaczyna przygotowywać białą kiebasę, którą wkrótce będą rozdawać w bułkach wszystkim chętnym. – Zruciliśmy się na zakupy i przyjechaliśmy pomóc – mówi jeden z mężczyzn, obracając kiebasy na grillu.

Koparki obsługują głównie właściciele małych firm budowlanych, którzy do doliny Ahru przyjeżdżają w weekend. Niektórzy wzięli urlop i pomagają także w ciągu tygodnia.

W jednym z pensjonatów grupka ochotników wychodzi z piwnicy i odstawia wiadra. – *Trinkpause!* – mężczyzna zarządza przerwę. Zjawia się butelka z alkoholem, a duże papierowe kubki (przeznaczone na zupe) służą za kieliszki. – *Zum Wohl!* na zdrowie – wszyscy piją do dna.

Blondynka w średnim wieku okazuje się właścicielką pensjonatu. – To dzięki nim nie płaczę. Po epidemii i lockdownach nagle ludzie są ze sobą tak blisko – mówi z uczuciem.

Alkohol rozgrzewa pamięć i emocje. – Od ponad 20 lat co roku świętowałam tu swoje urodziny – opowiada jedna z wolontariuszek. – Tu były stoliki, tutaj takie beczki, przy których można było przystanąć. A tutaj tańczyliśmy, pamiętasz? – rzuca do koleżanki. Zamyka oczy i zaczyna tańczyć. Mimo kaloszy i błota, w myślach jest gdzie indziej.

Wszystko jest polityką

Scenę obserwuje Marco, operator koparki, który przyjechał razem z kolegą, aby pomóc. – Ona tu nie zostanie – ocenia sceptycznie sytuację właścicielki pensjonatu. – Może i lokal wyremontują, ale pewnie będą chcieli sprzedać.

Mężczyzna przerywa co jakiś czas rozmowę i wsiada na ładowarkę. Łyżka jest już w pełni wypełniona szlamem z piwnicy. Marco wylewa zawartość po drugiej stronie ulicy i ustawia ponownie pojazd tak, aby wolontariusze mogli wylewać kolejne wiadra. – Jest duży chaos, brakuje koordynacji – ocenia. – Przy większych pracach naprawczych powinni pracować tylko żołnierze, ale politycy nie chcą na czas wyborów zdjęć, które wyglądałyby jak ze strefy wojennej – dodaje mężczyzna, który w przeszłości był, jak mówi, na misji w Afganistanie.



Od lewej: prace porządkowe w Altenahr, 25 lipca 2021 r.

Stefanie Nelles, właścicielka restauracji Caspari w Altenahr, wraz z mężem.

Znane ze swych winnic, przed powodzią Altenahr było popularne wśród turystów.

Po prawej: Günter Lang, właściciel hotelu Zur Post w Altenahr.



Obsługując ładowarkę, Marco ma trochę czasu na analizowanie. – Wszystko jest polityką, nawet ta katastrofa – stwierdza. W miasteczku panuje duże napięcie. Można wyczuć, że wolontariusze, którzy przyjeżdżają spontanicznie, mają problem z oficjalnymi strukturami. Często padają oskarżenia wobec „tych na górze”, którzy nie potrafili szybko zareagować. – My tu jeszcze żadnych polityków nie widzieliśmy – słychać od mieszkańców.

W telewizji padają zapewnienia, że do regionu trafi „błyskawiczna” pomoc finansowa. – Tyle tylko, że aby się po nią zgłosić, trzeba zadzwonić pod konkretny numer telefonu, który jest ciągle zajęty – komentują z przekąsem.

Dlatego mieszkańcy i wolontariusze spontanicznie organizują grupy na komunikatorach, w których ustalają, kto i kiedy przyjedzie. I uruchamiają własne zbiórki pieniędzy. Proszą o wsparcie byłych gości, turystów, miłośników wina. W zamian oferują to, z czego słynie region – wino. Wspierający otrzymają trunek w specjalnym wydaniu, w butelkach znalezionych po powodzi, pobrudzonych błotem.

Od nowa

W Altenahr często słychać, że i tak mieli szczęście, bo fala przyszła, gdy było jeszcze widno. Skończyło się na niewielkiej liczbie ofiar. Inaczej było w Ahrweiler.

To największe miasto w dolinie Ahru, stąd już blisko do miejsca, w którym rzeka wpływa do Renu. Tutaj skumulowana fala przyszła w nocy i zupełnie za-

skoczyła mieszkańców. Z wszystkich miasteczek w górach Eifel najwięcej ludzi zginęło właśnie tutaj. W Ahrweiler każdy znał kogoś, kto zginął albo jest uznany za zaginionego.

Główna ulica ciągnąca się wzdłuż rzeki nazywa się, o ironio, Ochronna. – Popatrz! – mówi Markus – Przed tobą jest łąka, tak? Tam obok był stary żydowski cmentarz, ale zmiotła go woda. I zobacz teraz ten filmik – Markus odtwarza na swoim smartfonie nagranie, które wykonał w czwartek 15 lipca nad ranem. Nie ma ulicy, nie ma łąki, wszędzie tylko brunatna tafla wody.

Dom Markusa oddalony jest jakieś sto metrów od rzeki. W środę, gdy nadeszła fala, miał go odwiedzić stolarz, by dokończyć remont schodów. – To miał być ostatni etap prac w moim domu, które ciągnęły się od lat – mówi. – Teraz nie mam nic prócz ubrań na sobie.

Remont trzeba będzie zacząć od nowa. Markus nie traci jednak werwy. Zaprasza do garażu, częstuje bułkami, które dostał od wolontariuszy, nalewa kawy. Rozsiada się na krześle ogrodowym. Razem z synem udało im się wynieść materac na górne piętro. Tyle im zostało.

– Nie ma prądu ani wody pitnej. Wybija kanalizacja. Marzę o prysznicu. Ale nie jest źle, co? – kiwa głową, najpierw w kierunku syna Lukasa, następnie w drugą stronę, gdzie siedzi przyjaciel, który przyjechał na weekend, aby pomóc.

– Po tym, jak wylała woda, widziałem jeszcze moją matkę, która mieszka trzy domy dalej. Krzyczałem, żeby schowała się na poddaszu. Gdy woda ustąpiła, nie było jej w domu – Markus zaczyna tracić pewność siebie. – Dopiero po trzech dniach spotkałem sąsiadkę. I ta mi mówi, że przed godziną jadła z moją mamą obiad →



Chwila zaśluzonego wytchnienia: wolontariusze i mieszkańcy Altenahr, 25 lipca 2021 r.

→ w ośrodku, gdzie zorganizowano noclegi dla powodzian – mężczyźni szklają się oczy, syn Lukas chowa głowę w dłoniach.

– Najważniejsze, że żyjemy – powtarza kilkukrotnie na koniec.

Mieli dobre życie

Kawałek dalej na tej samej ulicy przed domem przysiadł mężczyzna. Obok stoi kobieta, opiera dłonie na jego ramieniu. Trwają w tej pozycji nieruchomo niczym posągi.

Mężczyzna ma pociągłą twarz, krótkie jasne włosy i równo przystryżoną brodkę. Kobieta, blondynka w okularach z czarnymi grubymi oprawkami, ma na sobie wygodne sportowe ubranie. Już z odległości widać ból na ich twarzach. Na widok tego bólu trudno zachować zimną krew.

– To dom naszych rodziców – mówi kobieta.

Gdy ktoś w takim miejscu w ten sposób zaczyna rozmowę, nie wypada pytać, gdzie rodzice są teraz. Przez długi czas panuje cisza.

– Ciało taty znaleźliśmy w błocie w piwnicy – mówi kobieta. – Mama jest na liście zaginionych – dodaje głosem, który nie zdradza cienia nadziei.

– To nie jest śmierć, której można by sobie życzyć – przerywa milczeniem. – Mama miała 80 lat, tata 84. Rodzice mieli dobre życie – mówi to spokojnym, życzliwym głosem, po czym milknie na dłużej.

– Jeszcze trochę posprzątam i na dziś koniec, wracamy do domu, do Kolonii – jej mąż odzywa się z trudem. – Przynajmniej wieczorem człowiek musi zobaczyć coś innego. Inaczej zwariuje.

Ulica Ochronna zalana jest błotem, w powietrzu unosi się odór z pobliskich hałd, gdzie koparki składują dobytek mieszkańców, który nadaje się już tylko do wyrzucenia. Słońce powoli zachodzi, ochotnicy, żołnierze i technicy opuszczają miasto.

Rodziny i sąsiedzi siadają w kręgach, tu i tam pali się ogień. Rozmowy, jeśli w ogóle, toczą się cicho. Mieszkańcy doliny Ahru zostają sami.

© ŁUKASZ GRAJEWSKI

Reportaż powstał dzięki stypendium, które autor otrzymał od Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej.

Czy leci z nami covid

MAŁGORZATA SOLECKA Z GRECJI

Na zagranicznych wakacjach wielu Polaków nie zachowuje się ani trochę rozsądniej niż w kraju. Biura podróży nie chcą psuć im wakacji i przypominać o pandemii.

KODY LOKALIZACYJNE I CERTYFIKATY szczepień – wydrukowane. Wszystkie niezbędne druki, polisy zdrowotne, dowody osobiste – spakowane. Sprawdzam to po raz enty. Kiedyś, zanim nastał covid, podróż samolotem budziła emocje zbliżone do przejazdu z Warszawy do rodzinnego Krakowa. Byle nie spóźnić się na lotnisko, potem już z górką. Teraz wszystko wydaje się nowe i nieznane. I takie jest.

Wakacje A.D. 2021 to chodzenie po polu minowym. Zwłaszcza na południu Europy, o krajach Azji Południowo-Wschodniej nie wspominając. Ale wielu ekspertów uważa, że – pomijając najbardziej egzotyczne kierunki – większe znaczenie dla własnego bezpieczeństwa i przebiegu kolejnej fali epidemii będzie mieć nie to, gdzie spędzimy lato, lecz to, jak będziemy się w czasie wakacji zachowywać.

I tu zaczyna się tragedia. W naszym przypadku – grecka.

Na lotnisku

Może pieszczotliwie otulać tylko brodę. Może też, pozostając wierna podbródkowi, muskać górną krawędź brzeg dolnej wargi lub nieśmiało wychylać się ku górnej. Może prawie zakrywać usta, choć nie do końca. Może podejść wyżej, niemal dotykać nosa lub wspinać się na jego czubek, ocierać się o ideał, wzorzec z gęsto rozmieszczonych w hali odlotów instrukcji, aby za chwilę beztrudno dynąć, zacementowana na jednym uchu właściciela. Może wzywać z kieszeni szortów lub zwisać na karabińczyku torebki.

Byłoby przesadą twierdzić, że tylko nieliczne zakrywają usta i nos prawidłowo, czyli szczelnie. Aż tak źle nie jest – trzeba przyznać, że może nawet dwóch na trzech stojących w kolejkach do odprawy bagażu pasażerów maseczkę ma założoną prawidłowo. No, niechby połowa. Z jednej strony aż połowa. Z drugiej

tylko połowa, bo przecież maseczki chronią wtedy, gdy są zakładane powszechnie i prawidłowo. Przez tych, którzy się zaszczepili, ozdrowieńców i osoby z negatywnym wynikiem testu – również.

Odsetek topnieje w oczach już w kolejce do boardingu. Koniec marzeń o maseczce chirurgicznej podczas lotu. Z torebki wyciągam przygotowane maski FFP2 (zabezpieczające także tego, kto je nosi). Myślę, że tak właśnie musiała czuć się Kasandra, gdy wzgardziwszy załotami Apolla, doświadczyła bolesnego daru jasnowidzenia. W samolocie maski opadają, dosłownie, do końca. Ani dziewczyna na sąsiednim siedzeniu, ani rozbawieni pięćdziesięciolatekowie w kolejnym rzędzie, ani rodzina z małymi, a więc na pewno nieszczepionymi, dziećmi. Może ozdrowieńcy, myślę.

Choć nie, jest jeden sprawiedliwy. Młody mężczyzna, siedzący po przekątnej, w jednorazowej i prawidłowo założonej maseczce patrzy na nas (FFP2!) i uśmiecha się przepraszająco.

W samolocie

Koniec lipca, lot czarterowy Warszawa–Rodos. Na pokładzie komplet pasażerów spragnionych słońca. Niech żyje wolność, wolność i swoboda...

Załoga (w maseczkach) tłumaczy zasady bezpieczeństwa, a z głośników płynie komunikat o szczególnym czasie pandemii i apel, by przestrzegać zasad higieny (dezynfekcja, dystans, maseczka). Głos wspomina też o przepisach, które mogą być egzekwowane z wszelkimi konsekwencjami.

Nie są. Stewardesy, które przed lądowaniem i przed startem skrupulatnie sprawdzają prawidłowość ustawienia foteli i zapięcia pasów, braku maseczek zdają się nie dostrzegać. Ileż to razy w ostatnich miesiącach można było przeczytać o wyprowadzaniu z pokładów samolotów, zwłaszcza tanich linii,



Na pokładzie samolotu, lotnisko Chania, Grecja, 13 czerwca 2021 r.

pasażerów kwestionujących nakaz zasłaniania nosa i ust? Ileż razy te budujące informacje – ktoś dba o bezpieczeństwo, ktoś na serio traktuje zasady – kończyły się formułką o grożących buntownikom karach, nie tylko finansowych?

– Zachowanie załóg teoretycznie mógłbym tylko usprawiedliwić tym, że jak zacznie się awantura o założenie maseczki, start może być opóźniony i załogę czekają nieprzyjemności, może także finansowe, ze strony pracodawcy – powie mi potem Adrian Furgalski, ekspert w dziedzinie transportu publicznego.

– Jednak branża, na którą spadł kataklizm niemal całkowitego uziemienia w 2020 r., a która w większości uratowała się dzięki gigantycznej pomocy ponad 180 mld dolarów, nie powinna tak kalkulować – uważa Furgalski. – Im większa tolerancja dla takiej głupoty na pokładach, tym dłużej utrzymają się obostrzenia w podróży zagranicznych i tym dalej rozciągnie się w czasie okres potrzebny na odbudowę ruchu lotniczego. To nie muszą być trzy lata, ale pięć lub sześć. Kto da gwarancję, że linia się utrzyma, bo dostanie kolejną państwową kroplówkę? A może podzieli los 49 przewoźników, którzy upadli w 2020 r.?

Furgalski przyznaje, że z epidemicznego punktu widzenia samoloty są bez-

piecznym środkiem transportu, ale pod warunkiem przestrzegania zasad sanitarnych. – Filtry oczyszczają powietrze co dwie-trzy minuty, nawiew kieruje je ku podłodze – opisuje i zaznacza, że badania bezpieczeństwa były jednak prowadzone przy starszych wariantach SARS-CoV-2: – Wiemy, że Delta jest dużo bardziej zjadliwa. Im dłużej na pokładzie ignorujemy obowiązki związane z przeciwdziałaniem covidowi, tym szybciej narażamy się na wszelkie konsekwencje wynikające z zarażenia.

Ze strony internetowej przewoźnika, potentata czarterowego: „Wszystkie rejsy realizujemy z zachowaniem najwyższych standardów i zgodnie z procedurami bezpieczeństwa stworzonymi na podstawie wytycznych Europejskiej Agencji ds. Bezpieczeństwa Lotniczego oraz Europejskiego Centrum ds. Zapobiegania i Kontroli Chorób (ECDC). Procedury obejmują zasady bezpieczeństwa obowiązujące na pokładzie samolotu, jak i na lotnisku. (...) Uwaga, zgodnie z wytycznymi służb sanitarnych pasażerowie nie przestrzegający obowiązkowych środków zapobiegawczych podlegają odmowie wejścia do terminala i na pokład statku powietrznego”.

I jeszcze, żeby nikt nie miał wątpliwości: „Poza obowiązkowym noszeniem ma-

seczki, prosimy o przestrzeganie zasad higieny – dezynfekcję dłoni odpowiednim płynem, zasad ochrony podczas kaszlu i kichania oraz unikanie bliskiego kontaktu z innymi ludźmi”.

Lotnisko po raz drugi

Patronem lotniska na Rodos jest Diogoras, starożytny pięściarz i mistrz olimpijski, który jako starzec zmarł na atak serca, niesiony na ramionach przez synów po ich własnych sukcesach na igrzyskach. Patron niezliczonych boisk i hal sportowych, drużyn, szkół i budynków użyteczności publicznej jest przykładem, że pamięć potomnych to tworzywo trwalsze od spżu.

Na samym lotnisku pasażerów witają już u wejścia dokładnie zamaskowani funkcjonariusze straży granicznej, gestami przypominający przybyłym o obowiązku zakrywania nosa i ust, co – to trzeba przyznać – starannie i bez utyskiwań czynią wszyscy, którzy podczas przejazdu lotniskowym busem chuchali sąsiadom prosto w twarz. Jeszcze tylko sprawdzanie kodów QR i paszportów covidowych, wszyscy oczywiście w maskach. Rezydenci i kierowcy autobusów transferowych – też.

Nic dziwnego. Ze strony internetowej biura podróży, specjalizującego się w kierunku greckim, zalecenia dla urlopowiczów na czas pobytu w kraju Homera: „Zakryj usta i nos w przestrzeniach wspólnych: recepcja, lobby, automaty, restauracje, sklepy, taksówki, szpitale, przychodnie, centra spa, supermarkety, banki, salony fryzjerskie, piekarnie etc. Nieprzestrzeganie tego przepisu grozi mandatem w wysokości 150 euro”. To zresztą nieaktualne, bo mandat może wynieść nawet 300 euro. Choć podobno cudzoziemcom nie są wymierzone aż tak wysokie kary.

Na wycieczce

Podczas transferu atmosfera dyscypliny, obecna na lotnisku, najwyraźniej udziela się większości urlopowiczów: maseczki na początku ściągają nieliczni. Decyzja o pozostaniu przy FFP2 jest jednak słuszna, bo pół godziny później część podróżujących dochodzi do wniosku, że można opuścić gardę, czyli maskę, pod brodę. Lub poniechać jej całkowicie.

Masek w Grecji nie trzeba nosić na otwartej przestrzeni – chyba że w miejscach zatłoczonych, jak starówka ➔

→ stolicy wyspy, średniowiecznego Rodos. Trzeba zaś nosić we wszystkich zamkniętych pomieszczeniach, sklepach, urzędach, restauracjach. I we wszystkich rodzajach publicznego transportu.

A jednak podczas wycieczki fakultatywnej (jedziemy przez pół wyspy, niemal dwie godziny) o maski ani nikt nie dba, ani nikt o zasłanianiu nosa i ust nie przypomina. Może dlatego, że również polski rezydent maski nie zakłada, choć i kierowca autokaru, i grecka przewodniczka ten obowiązek spełniają.

Pytam doświadczonych pilotów i byłych już rezydentów biur podróży, skąd tyle wyrozumiałości. Przecież na mapach ECDC obszar Rodos już znajduje się w strefie pomarańczowej, zagrożonej obustroniami.

– Nikt nie chce psuć ludziom wakacji, przypominać o pandemii. Biura podróży bardziej niż tego, że klienci się pozarazają, boją się łatki pandemicznych oszłomów – mówi Ewa, która na greckich wyspach spędziła niejeden sezon. – Nie zdziwiłabym się, gdyby polecenie przymykania oczu przyszło z góry. Do czasu, gdy coś się wydarzy.

W hotelach i dyskotekach

Nie mija doba od zwiedzania Rodos nocą, a ECDC uznaje południowe wyspy Morza Egejskiego, w tym Wyspę Słońca, za obszar czerwony (szczególnie wysokiego ryzyka), dokąd podróże są odradzane. Kilka dni wcześniej na czerwono oznaczono Kretę, bijącą rekordy popularności wśród polskich turystów, teraz dołączyły

do niej, prócz Rodos, również Santorini i Mykonos.

Mykonos już wcześniej za obszar szczególnie zagrożony uznały władze Grecji – w przeciwieństwie do wielu innych kierunków sensem wyjazdów na tę wyspę są niekończące się nocne imprezy i dyskoteki, co sprawia, że o szerzenie się infekcji jest szczególnie łatwo. Dlatego już w połowie lipca na Mykonos wprowadzono rozwiązania uniemożliwiające uczestnictwo w nich. Ulubiona wyspa zamożnych imprezowiczów opustoszała. Godzina policyjna (zakaz poruszania się od pierwszej w nocy do szóstej rano) i zakaz puszczania muzyki w barach i restauracjach podziałały jak miotła.

Rodzinnym turystów, nastawionych na plażowanie i pluskanie w basenie, nikt raczej wyganiać z wysp nie będzie, ale coraz mniej prawdopodobne jest, że tych, którzy przylecieli, zastąpią kolejni. Zaniepokojeni właściciele hoteli już liczą straty, bo na sierpień – szczyt sezonu urlopowego – w wielu hotelach nie przybywa nowych rezerwacji, a stare coraz częściej są odwoływane.

Ciąg dalszy nastąpi

Obostrzenia, które Grecja wprowadziła w połowie lipca – m.in. korzystanie z lokali gastronomicznych w zamkniętych pomieszczeniach tylko przez osoby zaszczepione – dla rozwoju sytuacji epidemicznej na razie nie mają znaczenia. Poza największymi miastami i najmodniejszymi kurortami tawerny i restauracje działają w sezonie niemal w stu procen-

tach na przestrzeni otwartej, co najwyżej zadaszonej. Grekom natomiast zabrakło najwyraźniej konsekwencji, z którą z wirusem, ale też z wizją katastrofy dla turystyki, walczy Portugalia.

Prof. Marcin Czech, prezes Polskiego Towarzystwa Farmakoeconomicznego, dzieląc się wakacyjnymi wspomnieniami podczas webinarium Stowarzyszenia Higieny Lecznictwa, nie mógł się nachwalić żelaznej dyscypliny, z jaką pracownicy portugalskiego hotelu, w którym odpoczywał, podchodzili do covidowych regulacji. – Gdy podniosłem się z krzesła, natychmiast poproszono mnie o założenie maski – mówił.

W greckich hotelach jest to nie do pomyślenia. Ten pandemiczny luz wychwalają ci, którzy z ojczyzny Hipokratesa do Polski zdążyli wrócić w lipcu, zanim słupki zakażeń znów zaczęły rosnąć. „To jest Grecja, wiadomo!” – można przeczytać na grupach wakacyjnych. Grecja – czyli pełna (do)wolność. Tu, owszem, mogą zwrócić uwagę w ateńskim metrze czy w lodziarni na rodyjskiej starówce, gdzie obsługa stanowczo nakazuje najpierw założyć maskę, zanim przyjmie zamówienie. Ale wybijać gością hotelowego z wakacyjnego luzu?

Greckie *sig-a-siga* (życie bez pośpiechu) trwa w najlepsze, gdy 30 lipca amerykańska agencja rządowa CDC informuje, że wariant Delta, jak wynika z badań, jest tak samo zakaźny jak ospa wietrzna (czyli bardzo), a zaszczepieni mogą go przenosić tak samo skutecznie jak niezaszczepieni.

© MAŁGORZATA SOLECKA

TYGODNIK POWSZECHNY

Zostań

PATRONEM PODKASTU POWSZECHNEGO

od 5 zł miesięcznie!

Zapraszam!

Michał Kuźmiński

Wspieraj nas na: [Patronite.pl/PodkastTygodnikaPowszechnego](https://patronite.pl/PodkastTygodnikaPowszechnego)
Ciesz się nagrodami i słuchaj podkastów tworzonych z myślą o Tobie!

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PATRONITE

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / FOT. GRAZYNA MAKARA

Pokolenie 2001

TEKST I ZDJĘCIA: PAWEŁ PIENIĄŻEK Z KABULU

W ciągu dwóch dekad, gdy w Afganistanie stacjonowały zachodnie wojska, wyrosła tam nowa generacja. Dziś z obawą patrzy w przyszłość. Oto głosy kilkorga z jej przedstawicieli.

AMIN NAWID, student trzeciego roku informatyki na państwowym uniwersytecie w Kabulu, pochodzi z prowincji Bamjan w środkowej części kraju:

Przez całe moje życie trwa wojna. Choć większość tego życia spędziłem w Bamjanie, gdzie sytuacja jest spokojna. W tym czasie nie słyszałem ani jednego wystrzału czy wybuchu. Po przyjeździe do Kabulu szybko się to zmieniło. Np. w zeszłym roku siedziałem na zajęciach, gdy doszło do ataku na mój uniwersytet. Usłyszeliśmy odgłos strzelaniny, więc szybko się zebraliśmy i opuściliśmy kampus. Miałem szczęście, że atakowali go od północy, a ja byłem w południowej części. Wówczas zginęło 35 osób.

Zamachy w okolicy uniwersytetu są elementem codzienności. Przykładowo dwie godziny temu niedaleko wybuchła bomba podłożona pod samochodem. Już mnie to tak nie przeraża, bo dzieje się zbyt często. To nie znaczy jednak, że o tym nie myślę. Gdy wybucha bomba, boję się o moich przyjaciół. Martwię się, czy nic się im nie stało i są bezpieczni. Od razu obdzwaniam wszystkich, którzy mogli być w tym czasie w pobliżu miejsca eksplozji.

O mnie martwią się rodzice, szczególnie mama. Dzwonią do mnie z Bamjanu przynajmniej raz dziennie. Im gorsza jest sytuacja, tym częściej.

Do Kabulu przyjechałem ze względu na studia. W stolicy jest wyższy poziom edukacji, a także więcej szans, by znaleźć pracę. Choć dalej jest to trudne. Wciąż nie mogę żadnej znaleźć, już nawet nie w zawodzie, ale jakiegokolwiek. To rzeczywistość większości z nas – jesteśmy gotowi na każdą pracę.

Część moich przyjaciół wyjechała do Europy. Też o tym myślałem. Nie mam jednak pieniędzy. Podróż kosztuje jakieś sześć tysięcy dolarów. A poza tym

wciąż nie jestem pewien, czybym się na to zdecydował.

Z jednej strony, gdybym opuścił Afganistan, to na pewno moje życie byłoby dużo lepsze. Jeśli żyjesz gdzieś, gdzie panuje pokój, to inwestujesz w swoje umiejętności, wiedzę i dbasz o to, aby tobie i twoim bliskim układało się pomyślnie. A tutaj myślisz tylko o tym, jak zdobyć kawałek chleba, żeby czymś zapchać żołądek. To właśnie z biedy wynika większość problemów Afganistanu. Z drugiej strony nie chcę wyjeżdżać, bo to moja oj-



AMIN NAWID:

Pokój jest najważniejszy.

Pewnie jak zostanie osiągnięty, będę już po studiach. Informatyka daje wiele możliwości i ciągle potrzebuje nowych pracowników.

czyzna, są tu ludzie mi bliscy. Nie chcę ich opuszczać.

Nie wiem, czy byłoby lepiej, gdyby do amerykańskiej interwencji nie doszło, ale wydaje mi się, że oni nie byli uczciwi wobec nas. Gdy w 2001 r. George W. Bush rozkazał amerykańskim wojskom zaatakować Afganistan i pozbyć się talibów, to dokonali tego w ciągu kilku miesięcy. Szybko jednak sytuacja zaczęła wymykać się spod kontroli. Myślę, że nie zależało im na tym, żeby zapanował pokój. Amerykanie mają wystarczająco dużo siły, by pokonać talibów, i dość pieniędzy, by stworzyć potężną afgańską armię. Myślę, że nie chcieli tego i wciąż nie chcą. Cały ten czas byli tu tylko ze względu na własne interesy.

Liczę, że talibowie i rząd jakoś się porozumieją, a sytuacja się unormuje. Pokój jest najważniejszy. Pewnie jak zostanie osiągnięty, będę już po studiach. Informatyka daje wiele możliwości, ten sektor jest bardzo chłonny i ciągle potrzebuje nowych pracowników. To był główny powód, dla którego zdecydowałem się studiować ten kierunek. Ponadto lubię nowe technologie. Jeśli nie uda się w zawodzie, będę próbował swoich sił w biznesie.

Najbardziej chciałbym wrócić do Bamjanu, bo jest tam pięknie, spokojnie i stamtąd pochodzę. Ale nie wiem, czy będę w stanie znaleźć tam pracę.

■■■
ALISINA SULTANI, sprzedawca owoców i warzyw, urodził się w Kabulu i tutaj mieszka:

W trakcie wojny domowej wybuchła bomba pułapka. Mój tata stał w pobliżu i stracił nogę. Z czasem nabawił się poważnej choroby nerek. Musieliśmy wyjechać do Pakistanu, żeby go tam operowali i leczyli. Choć ma się dużo lepiej, to nie może ciężko pracować.

Jestem najstarszy z piątki rodzeństwa, więc muszę utrzymywać rodzinę. Pracuję od ósmego roku życia. Zanim wyjechaliśmy do Pakistanu, mieliśmy sklep spożywczy, pomagałem w tym sklepie. W Pakistanie, jak wielu Afgańczyków, tkaliśmy dywany. To praca bardzo szkodliwa dla płuc. Wróciliśmy stamtąd do Kabulu cztery lata temu, bo tata poczuł się lepiej, a my strasznie tęskniliśmy za domem. Bez biedy i wojny Kabul byłby najlepszym miejscem na świecie.

→ Przez ten wyjazd do Pakistanu miałem przerwę w nauce i teraz, gdy zastępuje mnie ktoś z młodszego rodzeństwa, chodzę do ostatniej, dwunastej klasy. Chciałbym pójść na uniwersytet, ale wątpię, by mi się to udało. Nauka wymaga czasu, a ja muszę pracować.



ALISINA SULTANI:

Bez biedy i wojny Kabul byłby najlepszym miejscem na świecie. Teraz, gdybym miał taką możliwość, wyjechałbym stąd. Gdziekolwiek. Wielu moich przyjaciół tak zrobiło.

Zaczynam pracę o siódmej rano, a kończę o osiemnastej lub dziewiętnastej. W ciągu dnia robię godzinną przerwę na obiad. Nie mam dni wolnych.

Jeśli mam już czas wolny, lubię grać w piłkę nożną z przyjaciółmi. Częściej jednak wybieram gry wideo. Mam je na moim telefonie. Dzięki komunikatorom w telefonie rozmawiam też z przyjaciółmi, których nie mogę zobaczyć na żywo, bo wyjechali z kraju. Są w Turcji, Szwecji i Stanach Zjednoczonych. Większość Afgańczyków opuszcza kraj przede wszystkim z powodu biedy, a wojna jest na drugim miejscu. Jeśli miałbym moż-

liwość, też bym stąd wyjechał. Gdziekolwiek.

Gram, bo to mnie relaksuje. Nie myślę wtedy, że w każdej chwili może dojść do zamachu, a w kraju nieustannie trwają wojna i akty przemocy. W wolnym czasie nie chcę zastanawiać się, dlaczego jest tak źle i czemu ciągle ktoś ginie.

Co z tego, że gram w strzelanki? Przemoc w grze nie ma związku z tą w rzeczywistości. Na tę rzeczywistość nie mogę patrzeć. Szczególnie po tym, jak w zeszłym roku doszło do ataku na centrum edukacyjne i zginęło ponad 30 osób. Byłem wtedy w pobliżu, wraz z przyjacielem jedliśmy hamburgery na ulicy. Nagle usłyszałem przeraźliwy huk. Upuściłem burgera, odwróciłem się i zobaczyłem leżących ludzi – niektórzy byli ranni, a inni zabici. Zupełnie nie wiedziałem, co się dzieje ani gdzie jestem. Schroniliśmy się za jednym z budynków.

Nie mogę powiedzieć, że dobrze spędziłem swoje pierwsze 20 lat życia. Cały czas towarzyszyła mi bieda, to było ciężkie życie. Nie miałem kiedy się nim cieszyć.

Myślę, że obecność Stanów Zjednoczonych nie wpływa na losy Afgańczyków ani na naszą sytuację. Widziałem amerykańskich żołnierzy raz w życiu i nie mam żadnego zdania na ich temat. To afgańscy przywódcy powinni zacząć wreszcie coś robić, zamiast ciągle ze sobą walczyć.

Wierzę, że Bóg nam pomoże i będziemy żyć lepiej.

■ ■ ■

ATIKULLAH TAWHIDI, pracownik działu komunikacji afgańskiej organizacji pozarządowej, student trzeciego roku politologii na prywatnym uniwersytecie, urodził się w Kabulu i tu mieszka:

Gdy wychodzę z domu, liczę, że wrócę wieczorem. To wszystko w rękach Boga, czy tak się stanie. Dlatego nie mam żadnych obaw co do bezpieczeństwa, bo jak dochodzi do eksplozji, to nic ode mnie nie zależy.

Bez problemu łączę naukę z pracą. Studia nie są bardzo trudne. W pracy odpowiadam za promocję naszych programów. Nasza organizacja zajmuje się praktykami dobrego rządzenia. Obecnie jesteśmy głównie zaangażowani w działania związane z procesem pokojowym między rządem a talibami. Przeprowadzamy

ankiety i pytamy Afgańczyków o to, jakie są ich oczekiwania wobec procesu pokojowego. Następnie opracowania wysyłamy obu stronom, aby wiedziały, co myśli społeczeństwo. Nasza organizacja jest afgańska, ale wspierana ze środków zagranicznych.

Z naszych badań jasno wynika, że większość ludzi nie chce, żeby osiągnięcia z ostatnich 20 lat poszły na marne. Jakie to osiągnięcia? Takie jak prawa człowieka, prawa kobiet czy dostęp do edukacji.

Dla mnie symbolem tych zmian jest to, że możemy się uczyć w klasach mieszanych. Wydaje mi się to czymś zupełnie naturalnym. Kobiety dostały nie tylko możliwość edukacji, ale są też aktywne w przestrzeni publicznej. Uważam, że powinny mieć takie same prawa jak mężczyźni.



ATIKULLAH TAWHIDI:

Większość ludzi nie chce, by osiągnięcia ostatnich 20 lat – prawa człowieka, prawa kobiet, edukacja – poszły na marne. Bez Amerykanów one nie byłyby możliwe.

To wszystko wiąże się z obecnością wojsk Stanów Zjednoczonych w Afganistanie. Także trwająca do dzisiaj modernizacja, rozpoczęta po upadku reżimu

talibów [rządzili w Kabulu w latach 1996–2001 – red.], jest tego elementem. Bez wsparcia Amerykanów nie byłoby to możliwe na taką skalę.

Moje obawy wiążą się z niepewną przyszłością. To znaczy z tym, co wydarzy się po procesie pokojowym. Czy talibowie przejmą władzę, czy staną się jej częścią? Przede wszystkim jednak, czy uda się zaprowadzić prawdziwy i trwały pokój, a przy tym utrzymać wspomniane osiągnięcia?

Tego nie wiem, jestem przekonany jednak, że nadciąga koniec wojny w Afganistanie. Pytanie tylko, jak szybko się to stanie. Jeśli wytrzymaliśmy 40 lat konfliktu, to spokojnie możemy jeszcze poczekać choćby kolejne 10 lat. Musimy być cierpliwi, bo nie mamy innego wyjścia.

Nie mam zamiaru wyjeżdżać. Mój kraj potrzebuje takich ludzi jak ja. Chciałbym być użyteczny dla mojej ojczyzny i dla społeczeństwa, być szanowanym i samemu szanować innych. Najbardziej to chciałbym zrobić karierę w dyplomacji.

Sytuacja musiałaby przybrać naprawdę zły obrót, żebym zdecydował się na wyjazd. A nie sądzę, by do tego doszło.

W wolnym czasie chodzę na siłownię, spędzam czas z rodziną lub przyjaciółmi, a także czytam, najchętniej powieści. Moja ulubiona to „Zbrodnia i kara” Dostojewskiego.

Czuję się szczęśliwy i jestem zadowolony ze swojego życia.

■ ■ ■

SAHAR SAJAS, studentka drugiego roku dziennikarstwa na prywatnym uniwersytecie, pochodzi z prowincji Badachschan w północno-wschodniej części kraju:

Mój ojciec był mudzahedinem [uczestnikiem wojny z Sowietami w latach 80.; część jej weteranów wzięła potem udział w wojnie domowej – red.], ze względu na konflikt z talibami i zagrożenie musieliśmy wyjechać do Kabulu. Miałam wtedy sześć lat. Wówczas nie widziałam żadnych zagrożeń, bo nie zdawałam sobie z nich sprawy. Dopiero z czasem zaczęły do mnie docierać i wtedy pojawił się też strach.

Nie czuję się bezpiecznie, gdy chodzę po ulicy. Jadąc samochodem też nie. Jak jest duży korek, a ich w Kabulu jest



SAHAR SAJAS:

Mam wiele marzeń,
ale to, czy będę mogła je
zrealizować, zależy od sytuacji
w kraju. Chciałabym
zostać dziennikarką.
Wiem, że to dość
niebezpieczna praca.

mnóstwo, to od razu ogarniają mnie złe przeczucia, że zaraz coś wybuchnie. Zresztą nawet w domu nie czuję się zupełnie bezpiecznie, bo ktoś może na nas napaść albo na budynek może spaść rakietą. Gdy idę na uniwersytet, czuję się, jakbym wchodziła do bazy wojskowej, bo jest tam tylu uzbrojonych strażników. W Kabulu coś złego może wydarzyć się w każdej chwili. Nie ma wyjątków, każdy dzień jest niebezpieczny.

W zeszłym roku została zabita moja najbliższa przyjaciółka Altenaj. Podłożono ładunek pod samochód jej ojca, znanego afgańskiego pisarza. Jego nie było w samochodzie. Zginęły cztery osoby, w tym Altenaj i jej mama, która była mi tak bliska, że zwracałam się do niej „mamo”. Z Altenaj chodziliśmy razem do szkoły, wszystko robiliśmy razem. Byłam przekonana, że wszystko, co złe i dobre w życiu, będziemy dzielić razem. I że jeśli ona umrze, to ja razem z nią. Miałam mnóstwo marzeń, których już nie zrealizuje. Po jej śmierci byłam w strasznie

złym stanie. Do dzisiaj z trudem o tym mówię.

Praktycznie przez całe życie nie mogłam sama opuszczać domu. Zawsze towarzyszyli mi rodzice albo starsi bracia. Bali się o mnie. Dopiero trzy lata temu pozwolili mi pójść samej z koleżanką na zajęcia przygotowujące nas do egzaminu na koniec szkoły. To było takie wspaniałe uczucie! Nareszcie poczułam wolność. Mogłyśmy choćby tak po prostu wejść do sklepu i nikogo o to nie prosić. Nic wtedy nie kupiłam, ale taka możliwość była niesamowita.

Od tego czasu chodzę sama, ale gdy pogarsza się sytuacja, to mama nie zawsze pozwala mi wyjść z domu.

W naszym kraju nie ma politycznej stabilności, bo przywódcy są skupieni na walkach między sobą, zamiast się zjednoczyć przeciwko talibom. Jeśli to się nie zmieni, będzie tylko gorzej. Dopóki jesteśmy słabi, łatwo poddawać nam się wpływom państw obcych. Może Stany Zjednoczone i inne kraje też się do tego przyczyniły, że jesteśmy w takiej sytuacji, ale w pierwszej kolejności to my ponosimy za nią odpowiedzialność.

Bardzo bym chciała, żeby u nas było bezpieczniej, bo bez tego nie da się rozwijać indywidualnie ani budować kraju – gospodarka ledwie zipie, a reformy leżą odłogiem. Dopóki stojąc w korku myślisz, czy nie zginiesz, to trudno być optymistką. Niestety nie mam wielkiej nadziei, że to się wkrótce zmieni.

W wolnym czasie lubię słuchać muzyki, głównie tureckiej i afgańskiej. Poza tym lubię rysować i czytać książki, najbardziej powieści, ale niektóre naukowe też mnie wciągają. Teraz akurat zaczęłam „Jej oczy” irańskiego pisarza Bozorga Alawiego.

Mam wiele marzeń, ale to, czy będę mogła je zrealizować, zależy od sytuacji w kraju. Chciałabym zostać dziennikarką. To jeden z moich wymarzonych zawodów, bo w Afganistanie jest mnóstwo spraw politycznych i społecznych do opisanego. Wiem, że to dość niebezpieczna praca, ale lubię ryzyko.

Chciałabym jeździć i zwiedzać. W pierwszej kolejności nie obce kraje, tylko prowincje Afganistanu. Ze względu na wojnę nigdy nie miałam okazji w całości zobaczyć mojego rodzinnego Badachschanu.

© PAWEŁ PIENIAŻEK
Współpraca ALISHER SHAHIR

Tu mówi Moskwa

MARCIN ŻYŁA

O tym, że Londyn to pralnia brudnych pieniędzy Kremla, wiadomo od lat. Teraz dochodzą obawy, że stanie się również ośrodkiem rosyjskich wpływów.

TAKIEGO STARCIA JESZCZE NIE BYŁO: kremlowski koncern i trzech miliardów kontra brytyjska dziennikarka. 28 lipca przed Wysokim Trybunałem, najważniejszym sądem cywilnym Anglii i Walii, rozpoczęły się przesłuchania w sprawie, którą naftowy gigant Rosnieft, a także Roman Abramowicz (właściciel m.in. klubu Chelsea Londyn) oraz Michaił Fridman i Piotr Awen (obaj kontrolujący największy bank komercyjny Rosji) wytoczyli Catherine Belton, byłej korespondentce dziennika „Financial Times” w Moskwie. A ostatnio – autorce bestsellera „Putin’s People” („Ludzie Putina”), opatrzonego podtytułem: „Jak KGB podbiło Rosję, a potem wzięło się za Zachód”.

Przedstawieni w książce jako przekupni, oligarchowie oskarżają Catherine Belton i jej wydawnictwo o zniesławienie. Proces jest też ostatnią odsłoną długiego sporu o rolę rosyjskich pieniędzy i wpływ Kremla na brytyjską rzeczywistość. Sporu, który nabral barw po brexitie.

Jak to się pierze

Wyobraźmy sobie, że jesteśmy urzędnikami, którzy w skorumpowanym państwie decydują o prawach do wydobywania gazu ziemnego. Zarejestrowanej przez nas anonimowo na Brytyjskich Wyspach Dziewiczych spółce sprzedajemy – za ułamek ich wartości – licencje na takie odwierty. Następnie – już po cenach rynkowych – oferujemy je zachodnim koncernom.

Nasz zysk to „brudne pieniądze”, które trzeba „wyprać”. Możemy nimi ciągle obracać, licząc na to, że w ten sposób ukryjemy ich nielegalne pochodzenie. Ale jest też pewniejszy sposób – nieruchomości. Da się w nich ulokować dużo pieniędzy, rzadko wywołując podejrzliwość skarbowek, a z czasem ich wartość tylko wzrasta. Właśnie w ten sposób od początku lat 90. XX w. uwłaszczala się nowa rosyj-

ska nomenklatura. A Wielka Brytania, ze swoim systemem rajów podatkowych w terytoriach zamorskich oraz silną pozycją sektora finansowego, świetnie nadawała się do takich inwestycji.

Ceny domów w reprezentacyjnej londyńskiej dzielnicy Kensington wzrosły w tym czasie ośmiokrotnie. Tylko na podstawie oficjalnych danych organizacja pozarządowa Transparency International doliczyła się 160 „podejrzanych” nieruchomości kupionych przez Rosjan (większość z nich stoi w odległości do pięciu kilometrów od Pałacu Buckingham). Według brytyjskiego urzędu statystycznego wartość rosyjskich inwestycji w tym kraju sięga już 30 mld funtów (równowartość ok. 160 mld zł) – ale ponad dwukrotnie więcej pieniędzy trafiło na Wyspy przez raje podatkowe.

Nowa norma

Pół biedy, jeśli prane są brudne pieniądze. Gorzej, gdy idą za tym zagrożenia dla bezpieczeństwa kraju.

Dokładnie na rok przed rozpoczęciem przesłuchań w sprawie Catherine Belton komisja ds. wywiadu i bezpieczeństwa brytyjskiego parlamentu opublikowała raport o wpływie Kremla na tutejszą politykę. Czytamy w nim, że ludzie powiązani z Władimirem Putinem skutecznie integrują się z londyńską elitą finansowo-towarzystwą: „Pieniądze zainwestowano w mecenat i budowanie wpływu w szerokich sferach establishmentu. Firmy PR, organizacje charytatywne, środowiska polityczne i akademickie oraz instytucje kulturalne były świadomymi beneficjentami rosyjskich pieniędzy. (...) Rosyjskie wpływy w Wielkiej Brytanii są »nową normą«”. Już nawet niektórzy członkowie Izby Lordów mają prowadzić interesy z koncernami z blizniznami do Kremla.

Parlamentarna komisja zarzuca wywiadowi, że po otruciu Aleksandra Litwinienki w 2006 r., kiedy intencje Kremla



stały się widoczne i jasne, nie zareagował właściwie do sytuacji (Litwinienko, oficer KGB i FSB, opuścił Rosję i żyjąc na emigracji na Wyspach krytykował Putina; zginął otruty izotopem polonu 210). Dopiero aneksja Krymu w 2014 r., a zwłaszcza próba zabicia w 2018 r. bronią chemiczną byłego oficera GRU Siergieja Skripala i jego córki Julii (mieszkających w angielskim Salisbury) obudziły czujność służb.

Wciąż jednak – inaczej niż w USA, gdzie mimo obstrukcji uprawianej przez administrację Donalda Trumpa doprowadzono do końca śledztwo w sprawie wpływu Kremla na wynik wyborów prezydenckich w 2016 r. – nie zbadano potencjalnej roli rosyjskich tajnych służb podczas kampanii na rzecz brexitu. Do dziś nie powstał też rejestr właścicieli nieruchomości, którzy nabyli je w imieniu zagranicznych firm.

City w kontrze

Szefowa brytyjskiej National Crime Agency (odpowiedniczki polskiego Centralnego Biura Śledczego) przyznała niedawno, że jest zaniepokojona, bo wielu Rosjan żyjących na Wyspach „to ludzie zamożni, którzy mają dostęp do najlepszych prawników”. NCA musi właśnie



Wiktoriańskie kamienice w dzielnicy Kensington w Londynie.

wypłacić 1,5 mln funtów (ok. 8 mln zł) wnukowi byłego prezydenta Kazachstanu Nursułtana Nazarbajewa i innym oligarchom z obszaru postsowieckiego. Zmusił ją do tego sąd najwyższy, który uchylił nadzwyczajne uprawnienia agencji do „zamrażania” podejranych funduszy bez wyroków sądowych.

Wielu brytyjskich autorów piszących o Rosji – a to właśnie na Wyspach ukazywały się ostatnio najciekawsze książki o Kremlu i jego służbach – obawia się, że proces Catherine Belton to niebezpieczny precedens i zagrożenie dla wolności słowa. Bo choć Wielka Brytania nie lekceważy Putina – w ujawnionych wiosną założeniach nowej strategii obronnej Rosja została *de facto* uznana za państwo wrogie, a zalecaną postawę wobec niego zamknięto w zimnowojennej frazie „odstraszanie i obrona” – sprawy nie ułatwia niezależność sektora finansowego.

Londyńskie City jest formalnie „miejscem w mieście”, ale nieoficjalnie – państwem w państwie. Po przeanalizowaniu 50 notowanych tu na giełdzie rosyjskich spółek Samantha de Bendor – specjalistka ds. Rosji w think tanku Conflict Studies Research Centre – tylko w przypadku pięciu z nich nie znalazła nic po-

dejznanego. Pozostałe miały powiązania z rosyjskimi resortami siłowymi, sektorem energetycznym lub grupą oligarchów, którzy do władzy i wpływów dochodzili wraz z Putinem jeszcze w Petersburgu w latach 90. XX w.

Pieniądze w City nigdy nie będą „czyste”. Same tylko państwa Zatoki Perskiej – również będące na bakier z prawami człowieka – zainwestowały nad Tamizą kilkakrotnie więcej niż Rosjanie, a „przygaranie” pieniędzy dyktatorów ma długą tradycję na całym Zachodzie. Jednak ekspertów zajmujących się bezpieczeństwem martwi, że to właśnie w przypadku pieniędzy z Rosji w Londynie najlepiej sprawdza się stare powiedzenie: „Nie lubimy korupcji, ale lubimy pieniądze”.

Tymczasem napięcie narasta

Po tym, gdy w czerwcu Białoruś zmusiła do lądowania w Mińsku samolot linii Ryanair z opozycjonistą Ramanem Pratasiewiczem na pokładzie, prezydent Estonii Kersti Kaljulaid zaapelowała do Londynu o przyjrzenie się rosyjskim majątkom na Wyspach. Na razie bez efektu. Europejskie instytucje kontrolne, dość skutecznie monitorujące przepływ zagranicznego kapitału w państwach Unii,

po brexicie nie mają już kompetencji, by zajmować się Wielką Brytanią.

Tymczasem napięcie na linii Londyn–Moskwa nie maleje. Myśliciele RAF-u regularnie napotykają rosyjskie maszyny, które prowokacyjnie zbliżają się do Wysp znad Morza Północnego. Szef brytyjskiej dyplomacji Dominic Raab potwierdził, że Rosjanie „niemal na pewno” próbowali ingerencji w wynik wyborów parlamentarnych w 2019 r., używając do tego celu nielegalnie zdobytych dokumentów z brytyjsko-amerykańskich rozmów handlowych. Narodowe Centrum Bezpieczeństwa Cyfrowego uznało z 95-procentową pewnością, że rosyjscy hakerzy, którzy próbowali ukraść dane z serwerów firm pracujących nad szczepionką przeciw COVID-19, byli powiązani z rosyjskimi tajnymi służbami.

Mimo to, jakby nigdy nic, telewizja RT (dawniej Russia Today) – tuba propagandowa Kremla – regularnie reklamuje się na londyńskich autobusach. A za sprawą dwóch emitowanych niedawno w BBC seriali – „The Salisbury Poisonings” i „McMafia” – rosyjskie wpływy na Wyspach stały się już częścią opowieści popkultury.

Jak na Sumatrze

Proces wytoczony dziennikarce przez rosyjskich miliarderów zmieni niewiele. Dopiero przed dwoma laty Wielka Brytania zreformowała system tzw. złotych wiz, które pozwalały na zamieszkanie tutaj każdemu, kto zainwestował milion funtów. Wprowadzono go w latach 90. XX w., aby skusić bogatych mieszkańców przechodzącego wówczas pod administrację chińską Hongkongu, ale w ostatnich latach wykorzystywali go głównie bogaci Chińczycy i Rosjanie. Gdy obecny premier Boris Johnson był jeszcze burmistrzem Londynu, nie krył, że bogaczom łatwo się w jego mieście ukryć – dla miliarderów, mówił, to miasto „jest tym, czym dla orangutanów dżungla Sumatry”.

Kłopot w tym, że to samo dotyczy szpiegów. © P



MARCIN ŻYŁA będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie” Radia TOK FM, w środę 4 sierpnia, o godz. 16.00
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

WYBUCHOWY POTENCJAŁ

MARTA HAWRYSZKO, UKRAIŃSKA HISTORYCZKA:

Jeden z moich przełożonych poradził mi, abym poczekała, aż wszyscy członkowie podziemia nacjonalistycznego wymrą, i dopiero wtedy pisała krytycznie o OUN i UPA.



ANNA PIĘCIAK

Spośród licznych mogił, w których na zachodniej Ukrainie leżą ofiary Holokaustu, niewiele jest oznaczonych. Na zdjęciu: miejsce pamięci w Lesie Bronickim koło Drohobycza. Według różnych źródeł spoczywa tu od kilkuset do kilku tysięcy Żydów, zabitych w latach 1941-43 przez Niemców i funkcjonariuszy Ukraińskiej Policji Pomocniczej. Miejsce to odwiedzają czasem bliscy ofiar z Izraela. Lipiec 2018 r.

WOJCIECH KONOŃCZUK: Trudno jest być badaczką ciemnych kart ukraińskiej historii?

MARTA HAWRYSZKO: Łatwo nie jest. Badania, które rzucają światło na niezbyt podęcznikową wizję historii, są odrzucane, wywołują konflikty, a często i sprzeciw ze strony różnych środowisk. Pod adresem historyków, którzy takie badania podejmują, często sypią się oskarżenia o współpracę ze służbami specjalnymi różnych państw albo choćby o „nieświadome szkodenie wizerunkowi Ukrainy na arenie międzynarodowej”. Często zarzuca się im także „brak patriotyzmu”. Niektóre z osób zajmujących się stosunkami ukraińsko-żydowskimi stykają się w swoich kręgach akademickich z przejawami antysemityzmu. Czasami wręcz z otwartymi groźbami. Co jakiś czas dotyka to również mnie.

Są jednak ukraińscy badacze zajmujący się tymi trudnymi tematami.

Pojawia się coraz więcej młodych historyków, którzy próbują patrzeć krytycznie na dzieje Ukrainy, w tym na różne „bolesne” tematy. Dotyczy to także kwestii współpracy Ukraińców z Niemcami w czasie II wojny światowej. Zwykle jest tak, że ci badacze współpracują z zachodnimi środowiskami akademickimi, mają dostęp do większej ilości źródeł i współczesnej literatury naukowej. Swoje tezy poddają pod dyskusję na różnych seminariach międzynarodowych. Daje im to niezbędne instrumentarium metodologiczne i teoretyczne, którego brakuje na Ukrainie.

Niedawno Wołodymyr Wjatrowycz – były już prezes Ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej, a obecnie poseł do parlamentu, uważany za głównego kreatora obecnej ukraińskiej polityki historycznej – napisał pochwalnie o komendancie UPA Romanie Szuchewyczu, z okazji jego urodzin. Nie zająknął się słowem, że jest on współodpowiedzialny za rzeź wołyńsko-galicyjską. Jedyne, co tu dziwi, to brak jakichkolwiek komentarzy negatywnych ze strony ukraińskich odbiorców.

Większość społeczeństwa ukraińskiego, w pierwszym rzędzie kręgi naukowe, od dawna postrzegają Wjatrowycza jako polityka, a nie historyka. Wszystkie jego wystąpienia publiczne i teksty, także

te w sieciach społecznościowych, trzeba traktować politycznie, uwzględniając ideologię i program jego partii politycznej. Ugrupowanie to, Europejska Solidarność [jego przewodniczącym jest były prezydent Petro Poroszenko – red.], przynajmniej częściowo propaguje wartości nacjonalistyczno-konserwatywne. Przykładem choćby hasło „Armia, język, wiara” [to hasło kampanii Poroszenki w wyborach prezydenckich w 2019 r. – red.].

Ugrupowanie to, a przynajmniej jego część, cechuje również tzw. ukraińskie spojrzenie na historię, które opiera się na narracji nacjonalistycznej. Elementem tego jest również wychwalanie wszystkich, którzy poświęcili swoje życie w walce o ukraińską państwowość, nawet jeśli brali też udział w zbrodniach wojennych. Dlatego opinia Wjatrowycza o Szuchewyczu jest w pełni zrozumiała. Komentowanie jego licznych postów na Facebooku to zwyczajna strata czasu. Także dlatego, że naraża to na ataki ze strony armii sympatyków Wjatrowycza, z których niemal nikt nie jest badaczem, a których w pełni zadowala jego nacjonalistyczny przekaz.

Chyba jednak nie chodzi tylko o jego fanów w sieciach społecznościowych. Można odnieść wrażenie, że gdy idzie o tematy historyczne, większość ukraińskich mediów postuluje się dziś narracją Wjatrowycza.

To, co czytamy, rzeczywistość można uznawać za napisane w kluczu nacjonalistycznym. Nie jest to w sumie dziwne, gdyż w ukraińskim społeczeństwie, jak zresztą także w wielu innych, jest popyt na heroiczną historię, na „niepokornych”, na siłę ducha, na wytrwałość „naszych”, którym przeciwstawia się złych „innych”. Częścią tego dyskursu jest narracja ofiary, która zaciemnia własną odpowiedzialność za zbrodnie, ewentualnie usprawiedliwia je własnymi ofiarami oraz represjami skierowanymi przeciw Ukraińcom.

Zajmuje się Pani głównie tematem Holokaustu na zachodniej Ukrainie. W lipcu tego roku minęła 80. rocznica pogromów antyżydowskich, które miały miejsce również na tym terenie. Czy był to temat w mediach ukraińskich?

Tylko nieliczne media nie pominęły tej smutnej rocznicy. Na popularnym portalu LB.ua ukazał się wywiad z lwow-

skim historykiem Andrijem Usaczem na temat pogromu we Lwowie, co zapoczątkowało serię wywiadów z innymi badaczami na temat masowej przemocy latem 1941 r., w tym pogromów. Na lwowskim portalu Zaxid.net pojawiło się kilka publikacji o pogromach oraz o pamięci o nich, w tym także mój tekst o kobietach biorących udział w antyżydowskiej przemocy w Galicji Wschodniej. Te publikacje jasno wskazują na udział miejscowych Ukraińców i Ukrainek w pogromach, a także dowodzą dzisiejszej (nie)pamięci o tym.

Jednak większość mediów, w tym nawet takie jak ukraińska redakcja Radia Svoboda, znacznie więcej uwagi poświęciła 80. rocznicy ogłoszenia aktu odnowienia państwa ukraińskiego z 30 czerwca 1941 r., a także masowym zbrodniom popełnionym przez NKWD na dziesiątkach tysięcy więźniów na terenie zachodniej Ukrainy. O pogromach mówi się bardzo pobieżnie, wręcz lakonicznie, bez wyjaśnienia kontekstu i następstw. I oczywiście bez wspomnienia o roli w nich różnych sił politycznych, w tym Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów.

Zaxid.net to portal szanowany, ale niezbyt popularny. Wychodzi na to, że ogromna większość ukraińskich mediów rocznicy pogromów nie zauważyła.

Niestety tak. Rzetelny opis tego tematu powinien zawierać informacje o roli miejscowej ludności ukraińskiej, szczególnie w tych miejscowościach, gdzie Sowieci już nie było, a Niemcy i ich sojusznicy jeszcze się nie pojawili. To przykładowo Harysów, Niezwiska, Łuka, Woronów, Żabokruki, Uniż, Rakowiec, Petrów w regionie iwanofrankińskim oraz Ułaszkwice i Zabłotówka na Tarnopolszczyźnie. Agresję miejscowych Ukraińców przeciwko Żydom w tych miejscach trudno wytłumaczyć nazistowską propagandą czy podburzeniem do pogromów przez Niemców, jak to było w licznych innych miejscowościach. Dlatego wielu woli ten temat po prostu omijać, ze względu na jego „wybuchowy” potencjał.

Czy dotyczy to również jednego z największych pogromów, czyli lwowskiego?

Pogrom we Lwowie jest jednym z najlepiej udokumentowanych pogromów na zachodniej Ukrainie latem 1941 r. ➔



Pogrom Żydów we Lwowie, przełom czerwca i lipca 1941 r. Na zdjęciu widoczny jest prawdopodobnie członek utworzonej wtedy ukraińskiej milicji, która uczestniczyła w pogromie (członkowie milicji nosili opaski w barwach narodowych).

się na krytykę, na odrzucenie i na presję, w tym ze strony środowiska akademickiego. Kolejną przyczyną jest bardziej prozaiczna – ukraińscy badacze w większości nie mają dostępu do żydowskich relacji, głównie tych z Fundacji Shoah założonej przez Spielberga czy z Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie. Nie mówiąc już o dokumentach niemieckich. Bez tych źródeł trudno jest badać pogromy. Ukraińskich relacji o tych wydarzeniach jest niewiele, a te istniejące pomniejszają rolę miejscowej ludności w pogromach.

Dlaczego zatem na Ukrainie tak trudno jest pisać krytyczną historię?

Jest wiele przyczyn, w tym oczekiwania społeczne. W środowiskach akademickich można usłyszeć o „odpowiedzialności obywatelskiej” historyka, co ma jakoby polegać na tworzeniu pozytywnych mitów narodowych, które jednoczyłyby społeczeństwo. Pamiętam, jak podczas prezentacji mojej książki „Kobiety historii czasu wojny” – było to we Lwowie, w 2018 r. – jedna z uczestniczek dyskusji, wykładawczyni uczelni wyższej, wyraziła swoje rozczarowanie moimi opiniami. Usłyszałam, że oczekiwała ode mnie historii o „bohaterskich dziejach” kobiet w OUN i UPA, a tymczasem ja mówiłam o dyskryminacji, o przemocy seksualnej w szeregach ukraińskiego podziemia nacjonalistycznego oraz o współudziale kobiet w zbrodniach przeciw ludności cywilnej. Podobną krytykę słyszę zresztą regularnie.

Agresja rosyjska przeciw Ukrainie, trwająca od ponad siedmiu lat, też zapewne nie sprzyja rozliczeniom.

Tak, trudność z pisanem krytycznej historii wynika również z faktu, że trwa wojna. Militaryzacja społeczeństwa, które cały czas przebywa w stanie trwogi i traumy, sprawia, że wielu ludzi zwraca się ku narodowym mitom. Niezadko można usłyszeć, że „prawdziwą historię” trzeba zostawić na potem, na czas pokoju.

→ Zachowało się wiele wspomnień, przede wszystkim żydowskich, a także fotografie i materiały filmowe. Wydarzeniu temu poświęcono też dziesiątki naukowych publikacji, żeby wspomnieć tylko te autorstwa kanadyjskiego historyka Johna-Paula Himki. Daje nam to wiedzę o tym, gdzie można zlokalizować epicentrum przemocy w przestrzeni miasta.

Jakie zajmuje to dziś miejsce w historycznej pamięci miasta?

Do tej pory we Lwowie nie ma choćby tablicy pamiątkowej, która przypominałaby o tamtych strasznych wydarzeniach mieszkańcom, ale też turystom. Nie ma o nich informacji także na wystawie w muzeum Więzienie na Łąckiego, poświęconej masowej zbrodni NKWD na więźniach [nie mogąc ich wywieźć przed wkroczeniem Niemców, pod koniec czerwca NKWD wymordowało więźniów politycznych w kilku lwowskich aresztach; liczbę ofiar szacuje się nawet na 7 tys. osób, z czego prawdopodobnie ponad połowę stanowili Ukraińcy, 20-25 proc. Polacy, a kilkanaście procent Żydzi – red.].

Nie wspomina się na wystawie, że po odkryciu tej zbrodni doszło do zniewa-

żania, znęcania się i do morderstw Żydów, także na terytorium tego więzienia. Ta wybiórcza narracja wzmacnia atomizację pamięci z podziałem na „ból nasz” i „ból cudzy”. Cierpienia ludności żydowskiej Lwowa w czasie pogromu niestety trafiają do tej drugiej kategorii. O udziale miejscowej ludności w pogromie chce się zapomnieć.

Ponad 15 lat temu ukraińska badaczka Sofija Graczowa napisała w kijowskim czasopiśmie „Krytyka” ważny artykuł o Ukraińcach wobec pogromów. Wydawało się, że dojdzie do takiej dyskusji, jak w Polsce po książce Jana Tomasza Grossa o pogromie w Jedwabnem. Jednak dyskusja szybko się skończyła.

Sofija Graczowa, bardzo utalentowana badaczka, na przykładzie Złoczowa celnie pokazała problem, jaki mają Ukraińcy z pamięcią o pogromach. Jej tekst rzeczywiście zapoczątkował ważną dyskusję z udziałem badaczy ukraińskich i zachodnich. Fakt, że szybko wygasła, miał kilka przyczyn. Najważniejszą jest brak odwagi intelektualnej na Ukrainie. Mówienie o pogromach oznacza narażanie

Od dwóch lat Ukraińskim Instytutem Pamięci Narodowej kieruje Anton Drobowycz. Jak to wpłynęło na politykę historyczną?

Drobowycz nie wywołuje takiej krytyki jak jego poprzednik, bo UIPN pod jego kierownictwem nie prowadzi żadnych „rewolucji”. Dekomunizacja, która była przedmiotem ostrych dyskusji, właściwie została zakończona. UIPN próbuje lawirować między narracją nacjonalistyczną a inkluzywną, czego przejawem są różne konferencje o wyraźnym zabarwieniu politycznym.

Przykładem choćby niedawna konferencja w Tarnopolu, którą zorganizowano w odpowiedzi na protest Polski w związku z nadaniem imienia Szuchewicza miejscowemu stadionowi. Sam Drobowycz uchodzi za liberała, jest zwolennikiem inkluzywnej pamięci narodowej, w której jest miejsce nie tylko dla Ukraińców, ale i Tatarów Krymskich, Polaków, Żydów i innych narodów. Mocno wybrzmiała jego publiczna krytyka tegorocznego „marszu wyszywanek” w Kijowie na cześć 14. Dywizji Waffen SS Galizien [złożonej z ukraińskich ochotników – red.].

Jak są postrzegane Pani badania ciemnych kart historii w instytucie naukowym we Lwowie, gdzie Pani pracuje?

Delikatnie mówiąc, temat moich badań nie wywołuje entuzjazmu. Głównie dlatego, że piszę krytycznie o OUN i UPA. Jeden z moich przełożonych poradził mi, abym poczekała, aż wszyscy członkowie podziemia nacjonalistycznego umrą, i dopiero wtedy pisała krytycznie o OUN i UPA. Inni nazywają mnie „agentką Kremla” i „Ukraińką bez świadomości”. Jeden, którego spotkałam kiedyś w archiwum, zapytał, czy wiem, jak rozprawiano się z „takimi jak ja” w okresie wojny... W pierwszych latach moich badań zastraszanie było na tyle trudne dla mnie, że musiałam chodzić do terapeuty i brać antydepresanty. Gdy tylko musiałam iść do instytutu, dostawałam ataku paniki.

Początkowo pracowała Pani również w Centrum Badań Ruchu Wyzwoleńczego, założonym przez Wjatrowycza.

Siedziba Centrum mieściła się w moim instytucie, były między nimi ścisłe kontakty i w pewnym momencie zaczęłam



JOEL MASON-GAINES / MATERIAŁY PRASOWE USHMM

MARTA HAWRYSZKO
(ur. 1984)
jest ukraińską historyczką związaną z Wydziałem Historii Współczesnej w Instytucie Badań Ukraińskich im. Krypjakewycza

we Lwowie (to część Ukraińskiej Akademii Nauk). Pracuje też w Wiedeńskim Instytucie Wiesenthala Badań nad Holokaustem. W przeszłości stypendystka m.in. US Holocaust Memorial Museum w Waszyngtonie i Yad Vashem w Jerozolimie. Zajmuje się głównie tematem Holokaustu na zachodniej Ukrainie. W 2018 r. w wydawnictwie Klub Simejnoho Dozwilla z Charkowa ukazała się jej książka „Pokonywanie ciszy. Kobiectwo historii czasu wojny”. Obecnie mieszka w Wiedniu.

brać udział w różnych ich projektach. Przyznam, że miałam wtedy romantyczną wizję OUN, co wynikało także z mojego dorastania na galicyjskiej wsi pod Lwowem oraz z pamięci rodzinnej, w tym o udziale moich krewnych w podziemiu OUN-owskim, a potem sowieckich represjach, jakie ich spotkały. Sporą rolę w formowaniu pozytywnego wizerunku ukraińskich nacjonalistów miały też moje studia na Wydziale Historycznym Lwowskiego Uniwersytetu im. Iwana Franki. To miejsce nie sprzyjało tworzeniu krytycznej wizji OUN i UPA. Współpracując z Centrum, kończyłam doktorat; jego tematem było postrzeganie hitlerowskich Niemiec przez społeczeństwo Galicji przed rokiem 1939. Wtedy jeszcze OUN nie była w orbicie moich zainteresowań i mało o niej wiedziałam.

Kiedy zajęła się Pani tematem OUN i UPA?

Gdy poświęciłam się badaniom nad obecnością kobiet w obu tych organiza-

cjach. Wtedy zaczęłam zgłębiać źródła historyczne, co wywołało moje zaskoczenie czy wręcz szok. Im więcej czytałam dokumentów, tym bleśszy stawał się bohaterstwa obraz ukraińskich nacjonalistów. Było to w coraz większym konflikcie z wizją historii propagowaną przez Centrum i moje odejście było nieuchronne.

Jednym z Pani obszarów badawczych jest przemoc seksualna podczas Holokaustu. Trudny temat.

Badając temat codzienności kobiet w OUN i UPA, w sposób naturalny pojawiła się kwestia przemocy seksualnej. Zagłębiałam się w literaturę naukową i z czasem zrozumiałam, jak ważne zajmuje ona miejsce w historii konfliktów wojennych i przemocy etnicznej. Przecież te zjawiska nie zniknęły, bo wojny wciąż trwają, a wraz z nimi trwa przemoc seksualna. Dlatego ważne jest zbadanie różnych przypadków, aby wypracować mechanizm prewencji na przyszłość. Historia Holokaustu na Ukrainie jest tu pomocna, bo pokazuje, że systemowa przemoc na masową skalę umożliwia też przemoc indywidualną, także seksualną, często o charakterze ludobójczym. W okresie wojny sprawcami tej przemocy stają się również „sąsiedzi”. Piszę teraz książkę o przemocy seksualnej jako niemal zupełnie nieznannej codzienności Żydów w czasie Szoa.

Co wynika z dotychczasowych ustaleń?

Ważnym aspektem moich badań jest pokazanie roli miejscowych, którzy odpowiadają za przemoc seksualną. Dotychczas większość prac analizowała rolę Niemców w przemocy o tym charakterze. Tymczasem mamy wiele wspomnień ocalałych z Holokaustu, a także powojenne sprawy sądowe, które pokazują, że kolaboranci i ukraińscy policjanci również byli za to odpowiedzialni. W czasie masowych egzekucji, prowadzonych wspólnie z Niemcami, urządzali sobie „zabawy”, podczas których wykorzystywali seksualnie Żydówki, aby potem je zamordować. Zdarzało się, że po odkryciu ukrywających się Żydówek dochodziło do gwałtów. Niektóre z nich potem pisały o swoich krzywdzicielach jako o „banderowcach”, co jest w pełni możliwe, uwzględniając to, że część członków UPA polowała na Żydów w lasach.

© Rozmawiał WOJCIECH KONOŃCZUK

HANNA

Krall: Teofila



W NOCIE BIOGRAFICZNEJ JEST GŁÓWNIĘ żoną i matką. Żoną krytyka i szpiega (tak piszą o nim), matką profesora matematyki.

Piszą też, że ilustrowała moją książkę.

Nieprawda. Podpisałam jej obrazki, to wszystko.

Rozmawialiśmy codziennie przez dwa tygodnie. Długo, bo prędko się męczyła.

Siedziała w fotelu, umalowana, z perłami na szyi i uprzejmym uśmiechem. Kiedy się zamyślała, patrzyła przed siebie, jakby widziała coś za moimi plecami.

Odwracałam głowę.

Widziałam ścianę.

Mówiłam: – Opowiedz coś.

– Co chcesz, żebym opowiadała? – pytała i odwracała wzrok od ściany z pewnym wysiłkiem.

– Co namalowałaś na obrazkach. W tym worku co jest? Mówiłaś, że wiesz, bo worek się przy tobie rozerwał.

A tutaj? Mówiłaś, że stoicie, przy końcu, i trzymacie się za ręce. To gdzie stoicie?

A tutaj?

Od czasu do czasu wchodził do pokoju jej mąż. Przynosił kawę, przez chwilę rozmawialiśmy. Nie o szpiegowaniu, o to go nie pytałam. Szpiegdy nie mówią prawdy, nawet po latach, to po co pytać. Poza tym – bo ja wiem, czy obchodził mnie Londyn sprzed dziesiątków lat. Bo podobno wtedy szpiegował, jak był konsulem, zaraz po wojnie.

Wolałam o książkach.

– Zgodzi się pani ze mną... zaczynał i wygłaszał krótki, błyskotliwy monolog. O Prouście, że to książki o strachu. Albo o Kafce – że też o strachu.

– Zgodzi się pani ze mną, że byli Żydami...

– Jak Żyd, to o strachu? – pytałam.

– Nie. Jak Żyd, to przecucie.

Sprawdzał, czy Teofila nie mówi za dużo. Nie powinna mówić. Najlepiej, żeby w ogóle nie mówiła. Chyba że o bohaterkach oper. Tak, opery jak najbardziej. (Jak malowała, to zapominała o głodzie. Razem się zaczęło – malowanie i głód, ale i o głodzie nie powinna mówić).

No to opery, heroiny operowe.

Mozart, Don Juan, Anna. Albo Elwira, nie ma podpisu. Anna raczej. Czarna spódnica, czarna bluzka i róża, czerwony akcent.

Izolda, ta od Tristana, Wagner. Szara suknia, płaszcz – ni to bordo, ni brąz.

Tańcząca Carmen, czarne koronki, klęcząca Madame Butterfly, czarne kimono.

O czerni było najłatwiej i była tania, mieszała ją z bielą i miała szarość. Raz zdobyła coś żółto-złotego i podarowała Aidzie.

Kochała te heroiny, zwłaszcza jak były nieszczęśliwe i umierały, tragicznie na ogół. To mąż je zabijał, to kochanek. To same z rozpaczły się zabijały. Piękna śmierć, bezpiecznie wyśpiewana w operowej baśni.

Kazano jej nosić na prawym ramieniu opaskę z gwiazdą.

Dowiedziała się, że nie wolno jej kłaniać się Niemcom. Nie miała zamiaru im się kłaniać, ale teraz szef Dystryktu Warszawskiego zabronił jej tego oficjalnie, specjalnym okólnikiem.

Wolno jej było się modlić – w Paschę przez cztery dni, w Nowy Rok przez dwa, w Jom Kipur przez jeden dzień.

Na żółty kupon dostała pół kilo kwaszonej kapusty i dziesięć deko buraków. Na kupon numer 34 – szarą sól, dwieście pięćdziesiąt gramów.

Powinna była oddać narty łącznie z wiązaniami, kijki i buty narciarskie.

Dzięki orzeczeniu rabinatu wolno jej było używać sacharyny w kryształkach, rozpuszczonych w wodzie i precedzonych.

Na żółty kupon mogła wykupić jedno jajko ze stemplem w owalu.

Za pięć złotych mogła kupić aż trzy książki – z przepisem domowego wyrobu mydeł, ze środkami przeciw odmrożeniom, ze sposobami spotęgowania woli i z wyjaśnieniem tajemnic życia i śmierci.

Ze stu gram resztek chleba, pół litra wody i czterech tabletek sacharyny mogła sobie zrobić zupę.

Była zgodną, ustepliwą osobą i spokojnie przyjęła do wiadomości świat, który ją otoczył. W przeciwieństwie do przyszłego męża. Przyszły mąż pisał recenzje z koncertów orkiestry symfonicznej. Pisał – jakby żadnej wojny, żadnego getta w ogóle nie było.

Pan Rafał Broches – pisał – intonację w Symfonii Beethovena miał czystą, ale grał połową smyczka. Pan Broches miał wyraźnie ograniczoną swobodę prawej ręki!

Pan Dawid Zajdel (poranek symfoniczny w Sali Feminy) zagrał koncert Piotra Czajkowskiego. Niestety, techniczne opanowanie koncertu pozostawiało wiele do życzenia.

Co do Piątej Symfonii, to przekraczała możliwości dyrygenta, pana Izraela Hammermana...

Surowym krytykiem był jej przyszły mąż. O czym po latach będzie mówił ze sporym zażenowaniem.

Sekretarka Adama Czerniakowa, prezesa Gminy, zobaczyła heroiny operowe i pokazała je prezesowi. Spodobały mu się, i on marzył o operze. Przyznał jej skromne stypendium na naukę rysunków.

Uczył ją malarz, Otto Axer. Kazał jej rysować wazy, lampy i stół w perspektywie. Nie chwalił jej, nie ganił, czasami skorygował coś, spacerował po pokoju i gwizdał walce Chopina.

Na ostatniej lekcji przestał na chwilę gwizdać, schylił się nad jej rysunkiem i spytał, czy chce zostać artystką. Jeśli tak, to powinna obserwować świat.

Spodobała jej się ta rada.

Zaobserwowała kobietę w kraciastej chuście – takie chusty robił jej ojciec, Paweł Langnas, w swojej fabryce Langnas, Goldblum, Zajączkowski. Trzymała na ręku małe dziecko, starsze dzieci szły obok. Kobieta ciągnęła wózek. Był na nim spory tobołek, chyba z pościelą, ronderek i krzesło.

Wróciła do domu. Zrobiła szkic ołówkiem, potem wodnymi farbami i zaczęła malować – kobietę, dzieci i wózek.

Zobaczyła ciężarówkę, z której wyskoczyli dwaj Niemcy. Cofnęła się do bramy. Widziała, jak jeden Niemiec chwycił za ramię brodatego starca, drugi zaczął gonić chłopca z workiem.

Wróciła do domu, zaczęła szkicować ciężarówkę.

Zobaczyła kobietę z dzieckiem jak szkielecik.

Zobaczyła Niemców, którzy kazali dwóm starym Żydom tańczyć na ulicy.

Zobaczyła chłopca. Przerzucił przez mur spory worek, pod murem czekał żydowski policjant. Wyrwał worek, wysypała się kasza.

Zobaczyła na Zamenhofa długą kolejkę... Nie, nie zobaczyła. Stała w kolejce. Oboje stali, ona i jej przyszły mąż. SS-man trzymał pejc i pokazywał kierunek – na lewo i na prawo. Ludzie z lewej strony wchodzili na ciężarówkę, ludzie z prawej mogli odejść. Pejcz pokazał im prawą stronę. Wrócili do domu, sięgnęła po pędzelek.

Obrazki wysłała na aryjską stronę.

Przechowywała je obca kobieta. Mieszkała na Żelaznej.

Zwróciła je po wojnie. Nie chciała pieniędzy, nie podała nazwiska.

A może podała...

Gdzie stali? – spytał jej syn.

Nie wiedziałam dokładnie, ostatnie sylwetki były niewyraźne.

Proszę mamę spytać... poradziłam, chociaż wiedziałam, że nie można jej pytać już o nic.

Podobno trzymali się za ręce, przypomniał syn.

Umarła dwa lata przed swoim mężem. Ktoś spytał, na co umarła.

Powiedział: – Na Niemcy.

©

Bohaterką tekstu jest Teofila Reich-Ranicka.

Marcela, przyszłego męża, poznała w dniu, w którym powiesił się jej ojciec.

Wzięli ślub w dniu, w którym zaczęły się transporty do Treblinki.

Przez całe życie leczyła się w szpitalach psychiatrycznych.

TP Historia: WIŚLNA 12

Opowieść o „Tygodniku Powszechnym”, czyli wszystkie światy pod jednym adresem

Ponad 75 lat na ul. Wiślnej to 75 lat historii polskiej kultury, polskiego Kościoła, polskiej inteligencji i polskiego dziennikarstwa.

W wydaniu:

- prawdziwa historia „Tygodnika” i jego zespołu
- wiele niepublikowanych dotąd zdjęć i nowe teksty
- piszą i rysują m.in.
ks. Adam Boniecki, Kalina Błazejowska, Olga Drenda, Anna Goc, Stefan Kisielewski, Ryszard Koziołek, Michał Kuźmiński, Stanisław Lem, Bartosz Minkiewicz, Sławomir Mrozek, Michał Okoński, Paweł Sołtys, Ewa Szumańska, Leopold Tyrmand, Marcin Wicha.



weź, czytaj!

Wydanie dostępne jako ebook na powszech.net/wislna12

TYGODNIK
POWSZECHNY



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

POŁĄCZENIA WEWNĘTRZNE

Słyszenie głosów nieobecnych osób nie musi być objawem schizofrenii ani innej choroby psychicznej.

Często odpowiada za nie subtelna zmiana w funkcjonowaniu kilku obszarów mózgu.

KATARZYNA DZIADOWICZ

LUDZIE DOŚWIADCZAJĄCY HALUCYNACJI słuchowych mogą słyszeć różne głosy – np. zmarłej żony lub zupełnie obcej osoby. Niektórym wydaje się, że ten dźwięk dochodzi spoza nich, inni lokują go raczej we własnej głowie. Żeby na potrzeby badań uznać jakąś osobę za doświadczającą słuchowych halucynacji werbalnych, te szczegóły nie mają większego znaczenia. Ważne jest po prostu to, by ktoś słyszał głosy osób, gdy nie są one w rzeczywistości obecne, i aby słyszane głosy były odrębne od własnych myśli, miały wyraźną jakość percepcyjną.

Wszystko w normie

O tym, jak z grubsza przebiega proces odbierania słownych komunikatów dźwiękowych, większość z nas z pewnością słyszała w szkole. Przypomnijmy: fale dźwiękowe wygenerowane przez cudzy aparat mowy są zbierane przez małżowinę uszną i wpadają do kanału słuchowego, gdzie wprawiają błonę bębenkową w drgania. Następnie przenoszą się po małych kościach – młoteczku, kowadełku i strzemiączku – do kolejnych struktur. Wreszcie docierają do ślimaka, w którego komórkach włoskowatych znajdują się rzęski przekształcające wibracje na impulsy elektryczne. Te impulsy pobudzają receptory połączone z nerwami, a nerwy przesyłają całą informację do mózgu. Tam, jeśli wszystko idzie zgodnie z planem,

napływające sygnały rozbiegają się w różne strony, w zależności od tego, jakie obszary są potrzebne do ich prawidłowego przetworzenia i interpretacji.

Może się wydawać, że zjawisko halucynacji głosowych nie ma żadnego związku z mechanizmami percepcji prawdziwych dźwięków. Najprostszym wyjaśnieniem występowania halucynacji byłoby obwinięcie psychiki danej osoby – skoro jej doznania zmysłowe ją zwodzą, powodując pobudzenie niezwiązane z bodźcami docierającymi z zewnątrz, to zakładamy, że „coś z nią jest nie tak”; że nie mieści się w tym, co uznajemy za psychologiczną normę. Jednakże „norma” może się okazać znacznie szerszym pojęciem, niż się spodziewaliśmy, a „psychika” znajdować się w znacznie silniejszym związku z biologicznym podłożem, niż chcielibyśmy przyznać.

Halucynacje słuchowe najczęściej kojarzone są ze schizofrenią, czyli zaburzeniem psychicznym, które wiąże się z różnymi zakłóceniami myślenia, reakcjami emocjonalnymi nieadekwatnymi do doświadczeń, problemami z rozumieniem pojęć abstrakcyjnych czy ubóstwem mowy i pogorszeniem pamięci. Chociaż trudno znaleźć grupę objawów typowych dla wszystkich pacjentów z taką diagnozą, to u części z nich faktycznie występują omamy – zarówno wzrokowe, jak i słuchowe. W przypadku schizofrenii kon-



ALEX MAJOLI / MAGNUM PHOTOS / FORUM



figuracje różnych objawów prowadzą jednak do pogorszenia zdolności funkcjonowania w codziennym życiu, a zdiagnozowani stanowią około 1 proc. społeczeństwa.

Osób doświadczających halucynacji słuchowych jest znacznie więcej. Część z nich to pacjenci z innymi zaburzeniami psychicznymi czy neurologicznymi, ale dużą grupę stanowią też osoby nieszukające pomocy specjalistów. To może dziwić. Z jednej strony wydaje się przecież, że ich zmysły zawodzą, podpowiadając im istnienie czegoś, co nie ma fizycznego odpowiednika w realnym świecie. Ale z drugiej – to jednak za mało, by rzucić ich nietypowe doświadczenia na karb choroby, co często stanowi zadowalające wyjaśnienie w przypadku osób z problemami w codziennym funkcjonowaniu.

Badania pozwalające poznać to zjawisko prowadzono głównie z udziałem osób ze zdiagnozowaną schizofrenią, ale okazuje się, że zarówno w ich przypadku, jak i u pozostałych ludzi halucynacje głosowe mogą powstawać w wyniku nietypowego funkcjonowania niektórych obszarów mózgu, co prowadzi do subtelnych zmian w procesie percepcji mowy.

Spróbuj się połaskotać

Hipotezy dotyczące mechanizmów powstawania halucynacji słuchowych nawiązują głównie do nieprawidłowości w procesie monitorowania własnych działań, w tym myśli. Jedną z najczęściej przytaczanych w tym kontekście teorii odwołuje się do zaburzenia działania mechanizmu analogicznego do tego, który sprawia, że zasadniczo nie jesteśmy w stanie sami się połaskotać. Co ciekawe, bywają do tego zdolne właśnie osoby „słyszące głosy”.

Kiedy decydujemy się na wykonanie pewnych działań, w mózgu aktywują się obszary kory ruchowej, które wysyłają sygnały do mięśni – co w końcu wprawi nasze kończyny w ruch. Wiele badań sugeruje, że w tym samym czasie do innych obszarów mózgu przesyłana jest kopia sygnałów z kory ruchowej, która pozwala przewidzieć, jaką stymulację otrzymają nasze zmysły w wyniku naszych działań. To tłumaczyłoby, dlaczego nasze próby połaskotania samych siebie skazane są na porażkę – co prawda możemy stymulować receptory czuciowe skóry w ten sam sposób, jak robiłaby to inna osoba, ale odbierane przez zmysły doznania nie są dla naszego mózgu niczym nowym. Zanim cokolwiek odczuliśmy, mózg miał już komplet informacji o tym, czego możemy się spodziewać – a przewidywalne bodźce „nie łaskoczą”.

Wystarczy jednak niewielka ingerencja, by oszukać mózg tak, by pobudzenie w wyniku łaskotania samych siebie było doświadczane intensywniej. Można np. opóźnić czas pomiędzy naszym ruchem a stymulacją.

→

*Za sceną nigeryjskiego klubu New Afrika Shrine.
Lagos, 2013 r.*

→ Sarah-Jayne Blakemore i współpracownicy skonstruowali robota z ramieniem zakończonym pianką, którego ruch zależał od ruchów wykonywanych przez badanego lewą ręką. Za każdym razem pianka miała dotykać prawej dłoni, ale nie zawsze działało się to od razu – robotyczne ramię przekształcało działającą na nie siłę, czasem opóźniając przekaz ruchów lewej dłoni na stymulację prawej. Siła tej stymulacji się nie zmieniała, ale jak wykazali badacze, im większy był odstęp pomiędzy działaniem a zetknięciem się pianki ze skórą, tym intensywniejsze w opinii badanych stawały się doznania. Raport z tych badań został opublikowany w 1999 r. w czasopiśmie „Journal of Cognitive Neuroscience”.

Na rzecz wspomnianej teorii może świadczyć też fakt, że aby osłabić pobudzenie, konieczne jest zaangażowanie własnych intencji. Kiedy łaskotano badanego piórkiem umieszczonym w jego dłoni, ale trzymanej i kierowanej przez badacza, to badany oceniał odczucia jako bardziej intensywne niż wtedy, gdy próbował połaskotać się zupełnie sam. Jednak i w tym „pośrednim” przypadku odczucie było mniej wyraziste niż wtedy, gdy delikatne muśnięcia były wykonywane ręką badacza (czyli zupełnie nieprzewidywalne). Mózg osoby łaskotanej własną ręką kierowaną przez badacza otrzymywał informację o tym, jak porusza się ręka, ale już nie o samych planach jej ruchu, przez co reakcja była przewidywalna w ograniczonym stopniu.

Na podobnej zasadzie działa także zmysł wzroku. Np. poruszanie oczami pozwala nam rozejrzeć się wokół, ale nie wywołuje wrażenia żadnego ruchu otoczenia (jak to dzieje się wówczas, gdy poruszamy kamerą w telefonie), bo mózg poprawnie interpretuje część wrażeń

jako spowodowane własnymi działaniami.

Takie kopie wykonywanych czynności mogłyby być przydatne także podczas przetwarzania bodźców z modalności słuchowej, by mózg łatwiej odróżniał dźwięki wygenerowane przez nas samych od tych pochodzących z otoczenia i niezależnych od nas.

O tym, że takie zjawisko faktycznie występuje, zdają się świadczyć m.in. badania, które wskazują, że gdy ludzie słuchają własnego głosu (a małpy swoich własnych wokalizacji), to aktywują się nieco inne obszary mózgu niż wtedy, gdy słuchamy cudzego głosu.

Ponadto osoby doświadczające halucynacji słuchowych odbierają wygenerowane przez siebie bodźce jako wyraźniejsze niż osoby niedoświadczające omamów – jakby szwankował u nich mechanizm ich tłumienia. W czasie trwania halucynacji słuchowych aktywne są m.in. obszary mózgu odpowiedzialne za percepcję dźwięków i generowanie mowy, co wydaje się wyraźnie wskazywać na ich pochodzenie.

Badacze zaczęli się więc zastanawiać, czy te myśli, które normalnie „słyszymy” w głowie, ten nasz wewnętrzny narrator, także mają swój szlak neuronalny, który niejako uprzedza mózg, że te konkretne wrażenia pochodzą właśnie od nas. Co by się stało, gdyby „mechanizm uprzedzenia” zawiodł? Zdaniem wielu badaczy dzieje się tak właśnie u osób doświadczających halucynacji słuchowych.

Najlepiej świadczy o tym fakt, że za pomocą prostego schematu eksperymentalnego mało złożone halucynacje można wywołać także u osób, które nie miały wcześniej takich doświadczeń.

W eksperymencie Alberta Powersa i współpracowników badanych po-

dzono przed komputerem i poproszono, by nacisnęli przycisk, kiedy usłyszą odpowiedni dźwięk. Bodźce często prezentowano jednocześnie, by badani zaczęli je automatycznie ze sobą kojarzyć. Po pewnym czasie brak pojawienia się dźwięku nie robił badanym wielkiej różnicy – po prezentacji obrazka i tak go słyszeli. Nie wszyscy byli równie podatni na ten efekt – spośród osób, u których nie stwierdzono żadnych zaburzeń psychicznych, bardziej podatni na wywoływany efekt byli ci, którzy raportowali, że doświadczają halucynacji na co dzień.

Dobre duchy, złe duchy

Wystąpienie tego rodzaju halucynacji łatwo byłoby zbyć wzruszeniem ramion. Ale chociaż zdarza się, że omamy słuchowe przybierają tak mało złożoną formę i występują sporadycznie, to jest też spora grupa osób niewykazujących objawów wystarczających do stwierdzenia żadnej choroby psychicznej i nieszukających pomocy, u których halucynacje słuchowe pod wieloma względami przypominają halucynacje osób ze zdiagnozowaną schizofrenią. Chociaż omamy u zdrowych osób występują przeciętnie rzadziej i trwają znacznie krócej, to jednak często przybierają formę wyraźnych słyszalnych wypowiedzi. U niektórych występują tylko w okresach dużego stresu lub w wyniku deprywacji snu, ale u innych pojawiają się przez lata.

Badania wskazują, że halucynacji słuchowych, które mają komponent werbalny, doświadcza nawet od 7 do 17 proc. społeczeństwa, a halucynacji słuchowych o mniej złożonym charakterze może nawet parę razy więcej. Szacowanie występowania takich doświadczeń jest problematyczne ze względu na ich subiektywny charakter – to dana osoba musi określić, czy głosy w jej głowie mają „jakość słyszalności”, czy są jednak tylko specyficzny rodzajem myśli.

W wielu przypadkach ta odmienność wydaje się zachodzić ponad wszelką wątpliwość – np. gdy badani wyróżniają kilka obecnych w ich głowie głosów, albo twierdzą, że głos należy do konkretnej, obcej osoby. Dodatkowy chaos w interpretacji badań może wprowadzać to, że w różnych badaniach stosowane są różne pytania diagnostyczne, co może przekładać się na różne konkluzje. Udało się jednak ustalić, że ryzyko pojawienia się werbalnych halucynacji słuchowych zna-

Katarzynie Sroczyńskiej

wyrazy współodczuwania, współbycia, współtrwania w modlitwie
w trudnym czasie po odejściu

Taty

z miłością

SIOSTRY, PRZYJACIÓŁKI, KOLEŻANKI, ZNAJOME

cząco wzrasta wraz z doznaniem traumy na wcześniejszych etapach życia. Częściej występują też u kobiet oraz w grupie osób, które doświadczyły straty bliskiej osoby. Zaobserwowano też różnice w zależności od pochodzenia kulturowego – wyższe wskaźniki w porównaniu z przedstawicielami kręgu kultur zachodnich odnotowano w przypadku respondentów z Brazylii, Rosji czy Karaibów.

Głosy często występują w roli komentatorów lub znajdujących się gdzieś nieopodal dyskutantów. Opisują to, co robi ich słuchacz, albo wydają mu rozkazy. Wiele osób twierdzi, że słyszane treści odnoszą się do traumatycznych doświadczeń lub lęków, choć nie zawsze wprost. Moglibyśmy się spodziewać, że czynnikiem różnicującym grupę osób lepiej i słabiej funkcjonujących będzie określenie źródła pochodzenia dźwięków, bo jeśli badani wskażą na jakąś irracjonalną genezę słyszanych głosów, to łatwiej będzie ich odpowiednio zdiagnozować. Ale badania nie potwierdzają takich intuicji – wręcz więcej osób zdrowych doświadczających halucynacji niż pacjentów psychiatrycznych twierdzi, że głosy pochodzą z jakiegoś zewnętrznego źródła, najczęściej duchowego.

Np. w jednym badaniu połowa osób doświadczących halucynacji głosowych za ich źródło uznała „życzliwe duchy”. Byli wśród nich pacjenci psychiatryczni, ale część z nich pozostawała przy pozornie prostszym, choć w kontekście halucynacji niezbyt logicznym, wyjaśnieniu, jakoby dźwięki generowali inni ludzie. To może mało trafna odpowiedź, ale na pewno nie całkowicie szalona.

Różnic w doświadczeniach osób kierujących się do lekarzy i osób żyjących z głosami w zgodzie należy więc szukać gdzie indziej. Jeden aspekt bardzo wyraźnie odróżnia te dwie grupy: zabarwienie emocjonalne głosów. Okazuje się, że wśród osób bez diagnozy znacząca większość opisuje swoje doświadczenia jako pozytywne, pojawienie się głosów nie wywołuje w nich niepokoju ani lęku. Bywa, że głosy są wręcz afirmujące względem odbiorcy, dodają otuchy i zapewniają wsparcie. Inaczej jest u osób cierpiących na schizofrenię – słyszenie głosów wiąże się dla nich z dużym stresem, wywołuje w nich poczucie zagrożenia, głosy często są agresywne, obraźliwe lub nieprzyjemne. Tym samym znacząco przyczyniają się do obniżenia samopo-

Głosy często występują
w roli komentatorów
lub znajdujących się gdzieś
nieopodal dyskutantów.

**Opisują to, co robi ich
słuchacz, albo wydają
mu rozkazy.**

czucia jednostki i spadku jej ogólnego funkcjonowania.

To, co jest niebezpieczeństwem dla jednej grupy, stanowi nadzieję dla drugiej: charakter głosów z czasem może ulec zmianie. Pacjentom z diagnozą schizofrenii odpowiednia forma terapii może pozwolić na zmianę stosunku do nich i sprawić, że będą bardziej znośne. Tymczasem u około 20 proc. zdrowych osób słyszących głosy mogą rozwinąć się pełne objawy choroby psychicznej, a głosy mogą stać się np. szkodliwymi dla jej bezpieczeństwa rozkazami.

Słyszemy się później

Podczas rytuału uzdrawiania odprawianego w kulturze Inuitów „szaman zostaje opętany przez ducha zwierzęcia” – jak opisywała to blisko pół wieku temu Jane Murphy, niedawno zmarła badaczka. Rytuał rozpoczyna się śpiewem i bębnieniem, po jakimś czasie szaman upada na ziemię, później wstaje „wyglądając okropnie, jak pies, bardzo strasznie”, czołga się po ziemi i warczy, a potem podejmuje się aktów uzdrawiania, jak wysysanie choroby z ciała i wydychanie jej w powietrze. Szamani nie są oczywiście uznawani za szalonych – są obdarzani szacunkiem, ich umiejętności są cenne dla społeczności. Ale to nie znaczy, że wszyscy doznający halucynacji mają kontakt z rzeczywistością niedostępną zwykłym ludziom. Jak zauważył Murphy, Inuici posiadali określenia na osoby szalone czy, jak powiedzielibyśmy dzisiaj, wykazujące objawy chorób psychicznych. Szamani nie byli tak określani, bo po prostu nie postradali zmysłów. Dowód? W odróżnieniu od innych potrafili kontrolować nadejście głosów, wizji czy wystąpienie nietypowych zachowań i wykorzystywali je do określonych funkcji społecznych.

Obserwacje prowadzone współcześnie potwierdzają, że Inuici mieli rację. Jeśli nie co do skuteczności leczenia ciała próbą wysysania z niego choroby, to przynajmniej co do wpływu kontroli nad głosami na ogólny poziom funkcjonowania jednostki. W grupie osób słyszących głosy większość zdolnych do ingerowania w to doświadczenie stanowią ludzie zdrowi, którzy nie zgłaszają się po pomoc do specjalistów. Przeważnie nawet oni nie mogą rozstać się z głosami na stałe, ale są w stanie do pewnego stopnia decydować o tym, kiedy będą je słyszeć. Nie ma jednego sposobu, by „wynegocjować” z głosami własne warunki. Niektórzy są w stanie sprawić, że głosy „zamilkną”, po prostu skupiając swoją uwagę na czymś innym, ale badania sugerują, że próby ignorowania komunikatów mogą czasem nasilać ich obecność. Skuteczniejsze okazuje się czasem zwracanie się do głosów bezpośrednio, jasno zaznaczając, że to nie pora i miejsce. I choć mogłoby się wydawać, że to osoby ze zdiagnozowanym zaburzeniem będą częściej wchodzić z głosami w interakcje, jest inaczej – być może to lęk przed głosami i ich negatywny ton sprawia, że pacjenci chcą się po prostu od nich odciąć, udawać, że ich nie słyszą, zamiast podejmować z nimi pertraktacje. Należy też zwrócić uwagę, że ze względu na brak kontroli nad głosami angażowanie się w ich obserwację może pogłębić problem izolowania się od rzeczywistości.

Umiejętność kontrolowania halucynacji nie pojawia się automatycznie nawet u osób akceptujących ich obecność. Słyszący głosy stopniowo uczą się, w jaki sposób mogą wpływać na ich wystąpienie i które strategie są najbardziej skuteczne. Tymczasem zaburzenia psychiczne często wiążą się z osłabieniem poczucia sprawczości, a tym samym z bezradnością w odniesieniu do głosów. Poznawcze strategie radzenia sobie z natrętnymi głosami mogą być wsparciem dla farmakoterapii i ograniczyć ich negatywny wpływ na funkcjonowanie jednostki.

Wiele osób zmagających się ze schizofrenią wskazuje, że zrozumienie, skąd pochodzą głosy, i dostrzeżenie wywołujących je czynników w połączeniu z budowaniem wiary w to, że są w stanie te głosy kontrolować, pozwoliło im, przynajmniej do pewnego stopnia, odzyskać kontrolę nad halucynacjami.

© KATARZYNA DZIADOWICZ

DZIKA MUZYKA

KRZYSZTOF TREBUNIA-TUTKA:

Starsi nie chwalili młodszych, bo jak się dziecko pochwali, to można je zepsuć. Ale kiedyś tacie się wyrwało, że te moje nuty gra mu się prawie tak dobrze, jak tradycyjne. Koledzy ojca myśleli, że je z jakiejś starej skrzyni wygrzebałem.

WOJCIECH BONOWICZ: „Górole, górole, góralsko muzyka, cały świat obeńdzies, ni ma takiej nika”. Naprawdę nie ma?

KRZYSZTOF TREBUNIA-TUTKA: Dla nas, górali podhalańskich, to naprawdę jest najpiękniejsza muzyka na świecie.

To akurat rozumiałe.

Bo Tatry i Podhale są centrum naszego świata. Natomiast otwiera się pole do dyskusji, czy ten świat jest skończenie doskonały, także ten muzyczny. Czy trzeba w nim kultywować wszystko tak, jak jest, czy można coś od siebie dołożyć, zmienić, poprawić.

Najpierw chciałbym się dowiedzieć, co jest rdzeniem tej podhalańskości.

Mówimy o muzyce pogranicza, styku kultur: karpackiej, pasterskiej, i małopolskiej, rolniczej. To, co najciekawsze, zawsze rodzi się na takich pograniczach. Element karpacki często wydaje się silniejszy. Czuć więc z muzyką całych Karpat – słowacką, węgierską, rumuńską, nawet bałkańską. Za to muzyka polskich nizin, z którą górale też mieli kontakt i przynosili stamtąd „w uszach” np. mazowieckie melodie, jest pomijana. A to też było wielkie źródło inspiracji, bo pięknie „zgóralszczone” mazurki z czasem zamieniły się w nasze nuty krzesane. Dzięki tym wszystkim wpływom powstało coś niepowtarzalnego.

Są pewne oryginalne cechy tej muzyki. Kiedy przygotowywałem podręcz-

nik „Muzyka Skalnego Podhala” dla Polskiego Wydawnictwa Muzycznego, pierwszy tom zatytułowałem „Garść teorii”. Tam opisałem to, co wydało mi się najistotniejsze, najbardziej charakterystyczne, używając takiego języka, który byłby zrozumiały również dla muzyków wykształconych klasycznie. Na przykład – akcent inicjalny. Tak jak w gwarze góral zawsze akcentuje na pierwszą sylabę, tak samo jest też w każdym zdaniu muzycznym: gra się „na raz”. Co nie oznacza, że na tym się kończy, bo są również akcenty pośrednie, które się wiążą z dopasowaniem tej muzyki do tańca. Trzeba pamiętać, że dawniej prawie cała nasza muzyka skrzypcowa służyła do tańca. Dopiero połączenie jednego i drugiego daje pełnię wyobrażenia o tym, czym ta muzyka jest.

A inne cechy?

Oryginalna jest przede wszystkim skala góralska. Można oczywiście powiedzieć, że to skala karpacka czy wołoska, ale sam byłem zaskoczony, kiedy odkryłem, że jest więcej skal używanych w muzyce Podhala, pokrewnych skalom starożytnej Grecji. Wykraczają one poza system ukształtowany od czasów klasycyzmu, czyli: durowe – wesołe, molowe – smutne. Skala góralska jest skalą naturalną, którą można uzyskać na najprostszych instrumentach, takich jak fujara bezotworowa: ma podwyższony czwarty stopień, obniżony siódmy, ale są to dźwięki nietemperowane. Problem w tym, że taką skalę można wprowadzić

zagrać na skrzypcach, ale na pianinie już nie. Kiedy więc z końcem XIX wieku próbowano przekładać muzykę góralską na fortepian, na muzykę salonową, gubiło się coś istotnego.

Im głębiej wchodziłem w tę problematykę, tym więcej pokrewieństw odkrywałem. Już nie jedna skala, tylko kilka... Jako muzykanci tradycyjni gramy trochę na wycucie, sami często nie wiedząc, dlaczego właśnie tak. Dlatego odważyłem się zrobić ten podręcznik, zapisać pewien kanon. W kolejnych tomach jest zapis zarówno palcowy, jak i nutowy. W ten sposób, można powiedzieć, zdradziłem tajemnice muzyki góralskiej wszystkim, którzy chcieliby ją bliżej poznać. Nawet mnie już ktoś nazwał Ficowskim Podhala.

→

KRZYSZTOF TREBUNIA-TUTKA

(ur. 1970 r. w Zakopanem) jest muzykiem, architektem, pedagogiem. Założyciel i lider rodzinnego zespołu Trebunie-Tutki, nagradzany głównymi nagrodami na ogólnopolskich i międzynarodowych konkursach muzyki tradycyjnej. Współpracuje m.in. z Twinkle Brothers z Jamajki, African Head Charge, Quintet Urmuli z Gruzji i Andrew Cronshawem z Londynu. Autor wydanego właśnie podręcznika do nauki muzyki góralskiej „Muzyka Skalnego Podhala” (PWM 2021).



→ Żeby Cię tylko nie spotkał los Papuszy.

Tak, przypuszczam, że nie wszystkim góralom się to spodoba. Wielu uważa, że ten skarb powinniśmy zachować dla siebie. Na taki zarzut mam odpowiedź: tym bardziej warto utrwalić spuściznę przodków, zebrać wiedzę od starszych mistrzów, co robiłem przez trzydzieści lat.

Oryginalność góralskiej muzyki pomogły mi odkryć spotkania, jakie mieliśmy jako zespół Trebunie-Tutki. Począwszy od projektu z Jamajczykami, przez współpracę z muzykami jazzowymi, rockowymi, klasycznymi, także orkiestrami symfonicznymi, aż po muzyków etnicznych z różnych stron świata. Dzięki nim miałem szansę przekonać się, na ile ta nasza muzyka jest naprawdę „nasza”, co musimy zachować, a co możemy zmienić, wzbogacić. Jestem trochę między młotem a kowadłem, bo działam na dwóch różnych płaszczyznach: z jednej strony uczę kolejne pokolenia kanonu góralskiej muzyki skrzypcowej, z drugiej – chętnie uczestniczę w eksperymentach, w spotkaniach, które, moim zdaniem, nie przynoszą szkody tej muzyce, wręcz przeciwnie. No ale nie wszyscy na Podhalu tak to widzą.

Jak się ten kanon ukształtował?

Muzyka tradycyjna ma tę wyższość nad współcześnie graną muzyką rozrywkową, że jest w niej zapisana cała historia regionu, począwszy od pierwszych osadników, którzy przybyli z Małopolski i osiedlili się w widłach rzek Białego i Czarnego Dunajca. Potem było osadnictwo niemieckie, choć akurat ono nie pozostawiło śladów w muzyce. A później osadnictwo wołoskie. Wołosi osadzani byli w różnych miejscach polskich Karpat i w końcu dotarli również na Podhale. Niewykluczone, że to królowie polscy mieli taki pomysł, że do istniejących wsi górskich dokładali kilka rodzin wołoskich, żeby wzmocnić tę gospodarkę pasterską, którą dziś z górami kojarzymy.

I jak to wpłynęło na muzykę?

Wołosi jako pasterze byli samowystarczalni. Cały ubiór produkowano na miejscu – było sukno, skóry, len też był uprawiany, dobrze się tutaj udawało. A jednocześnie warunki życia były bardzo surowe, niewspółmiernie trudniejsze niż w innych częściach Rzeczypospolitej. I to określiło charakter całej

Pomiędzy falami deszczów,
nawałnic i śnieżyc,
kiedy wychodziło słońce,
przychodził moment
uniesienia, który człowiek
musiał jakoś wyrazić.

**Te zawołania pasterskie,
okrzyki, gwizdanie
potem przeszły w śpiew.**

kultury, także muzyki. Wielu nie wytrzymałoby takiego życia. Jak w tej znanej śpiewce: „To nase Podhole / piykne ino za to: / ze trzysta dni zimy, / rešte samo lato”. A oni mieli fantazję, która pozwoliła im przetrwać, i wrażliwość na piękno, które się od czasu do czasu przed nimi odkrywało. Pomiędzy falami deszczów, nawałnic i śnieżyc, kiedy wychodziło słońce, przychodził też moment uniesienia, który człowiek musiał jakoś wyrazić. Na początku to były zawołania pasterskie, okrzyki, gwizdanie, „wyskanie” – czyli nawoływanie – dziewcząt. A potem przeszło w śpiew. Dlatego zresztą do dziś w górach śpiewa się głośno: mężczyźni bardzo wysokim głosem, kobiety stosunkowo nisko, ale też mocno. Chodzi o to, żeby kobiety i mężczyźni mogli w pewnym momencie zaśpiewać razem.

Do tego dochodzi cała aura, która ich otaczała: szum potoku, lasu, gwałtowne burze, szum wiatru. To wszystko w naszej muzyce słyszeć. A przy tym ta nieustanna zmienność powodowała, że jest w niej także pewna gwałtowność, zwięźłość, emocje muszą się wyrazić w bardzo krótkich formach. Czasem porównuję te nasze formy do kamieni w Białce, które przez lata tak się ładnie wytoczyły i uformowały. Dlatego zresztą tak wielkim wyzwaniem jest napisanie nowej nuty góralskiej – nowej melodii na wzór starych.

**Bo „nuta” to w góralskiej gwarze
cały temat muzyczny.**

A nazwy poszczególnych tematów często pochodzą od nazwisk ludzi, którzy albo stworzyli, albo upodobałi sobie dane melodie. Dlatego jest nuta sabałowa,

nuta duchowa (od Andrzeja Knapczyka-Ducha z Cichego), ale też nuty słynnych przewodników, np. Klimka Bachledy czy Wojtka Roja. Opowiadano, że jak muzyka zagrała jego ulubioną nutę, Roj rzucał torbę przewodnicką, zdejmował cuchę i zaczynał tańczyć.

Dużo jest tych nut?

Bardzo dużo. Są nuty typowo do tańca: ozwodne – śpiewane na początku, kiedy to tancerz wychodzi i poddaje temat prymście, potem krzesane – które charakteryzuje żywe tempo i ostro pulsujący rytm, wreszcie drobne – bardziej skomplikowane, dlatego dziś coraz częściej ustępujące miejsca krzesanym, i zielone – grane na zakończenie.

Czemu zielone?

Od śpiewki „Zielona lipka cy jawor...”. Osobno są nuty do tańca zbójnickiego. I jeszcze weselne: marsze powitalne, nuty obrzędowe (np. do cepowin, czyli oczepin), polki. W XX wieku pojawiły się nuty janosikowe, czyli grupa melodii balladowych z tekstami o zbójnikach. A także zaadaptowano na skrzypce pastorałki, które wcześniej wykonywane były *a cappella*. W podręczniku postanowiłem pokazać wszystkie te grupy, bo kanon muzyki góralskiej jest szerszy, niż się na ogół wydaje.

Przy każdej melodii podaję, skąd ona pochodzi i kto najbardziej lubił ją grać. Są konkretne wykonania, do których się odnosi, w tym warianty zebrane od różnych muzykantów. Nie tylko z przekazu rodzinnego – od mojego ojca, Władysława Trebuni-Tutki, czy od stryjów – ale też od innych mistrzów. Wbrew pozorom muzyka góralska daje ogromne pole do indywidualnej interpretacji, wyrażenia własnej osobowości. Każdy z wielkich prymistów grał inaczej. Poznałem takich, którzy byli spokojni, flegmatyczni, grali pięknie lirycznie, nie nerwowo, ale jednak stylowo. A byli tacy, którzy po zagranie kilku melodii niszczyli cały smyczek.

Tak mocno atakowali instrument?

Uważali, że tak trzeba. Że to nie jest muzyka dla flegmatyków, tylko tańcząca, i musi być grana gwałtownie, „z drygiem”.

Największym grzechem w muzyce góralskiej jest pomylenie melodii, czyli zagranie połowy jednej nuty, a potem po-

łowy innej. To się dziś zdarza nagminnie, bo często muzycyści nie śpiewają, więc nie czują danego motywu, nie wiedzą, gdzie się zaczyna, a gdzie kończy.

A sabałowe nuty czym się charakteryzują?

Jan Krzeptowski-Sabała był najsłynniejszym muzykiem góralskim uwiecznionym w literaturze, ulubieńcem Chałubińskiego, Witkiewicza. Jego nuty to są po prostu stare nuty ozwodne. Sabała zazwyczaj grywał sam, na złoćbokach, czyli gęślach, które miały struny ukrecone z jelit albo jedwabne. Możemy się domyślać, że taki instrument grał cicho, szorstko. Zresztą tak to opisywano: że piękno jego gry nie miało nic wspólnego z wyobrażeniem o pięknie klasycznej muzyki. A jednak jego osobowość i jego interpretacja zostały zapamiętane, i to nie tylko przez ludzi przybyłych z zewnątrz, ale przez samych górali. To dlatego tym najstarszym nutom ozwodnym nadali jego imię.

Masz swoją ulubioną nutę?

Pierwszej melodii nauczył mnie Jan Jędról z Poronina. Przyszedł kiedyś do ojca, czekał parę godzin, nudziło mu się, to mnie wziął i nauczył śpiewać. I jako czterolatek chodziłem i śpiewałem: „Hej, nie póde do góry, / bo na dole grają, / hej, bo mi sie na dole / dziywki podobają”.

Jak już dorosłem, marzyło mi się, żeby wymyślić jakąś swoją nutę. I tak wymyśliłem pierwszą nutkę, utwór „Ni ma casu na miłość”, potem kolejne – wszystkie na wzór tych tradycyjnych. Dziś mam wiele takich swoich nut. Nie włączyłem ich do podręcznika, ale może kiedyś ukaze się suplement z „nowymi nutami”.

Ojciec rzadko mnie chwalił – ani mojego grania, ani śpiewania, w ogóle nie zauważał sukcesów ani dobrych wyników w nauce. Tak zresztą było przyjęte, że starsi nie chwalili młodszych, zwłaszcza w rodzinie to było źle widziane. Uważano, że jak się dziecko pochwali, to można je zepsuć. Ale kiedyś tacie się wyrwało, że te moje nuty to mu się gra prawie tak dobrze, jak tradycyjne. To była dla mnie ogromna pochwała! Koledzy ojca z początku myśleli, że ja je w jakiejś starej skrzyni wygrzebałem.

Cytujesz w podręczniku opinię Karola Szymanowskiego, że muzykę góralską albo się kocha, albo się

Zachowanie górali
bywa irytujące:
głośne mówienie wielu osób
naraz, przekrzykiwanie się,
trudność z utrzymaniem
porządku w dyskusji.

**Ale ta emocja
to po prostu łapanie chwili.**
I to słyszać także w muzyce.

Jej nie znosi. Jak myślisz, dlaczego budzi ona tak skrajne reakcje?

Dla ludzi, którzy słyszą ją po raz pierwszy, najbardziej irytująca jest jej archaiczność: transowość, surowość, dzikość. A ci, którzy ją dobrze poznają, cenią ją właśnie za te cechy. Nie wszystkim podoba się głośny, przesilony śpiew, ta krzykliwość wzięta z pasterskich okrzyków. Tyle że to właśnie jest cała prawda o góralach – poziom emocji jest tu taki, jak na południu Europy. Niby słońca mamy mniej, a w genach, w naturze jest coś takiego, że po prostu lubimy mówić i śmiać się głośno. Zachowanie górali bywa przez to irytujące: głośne mówienie wielu osób naraz, przekrzykiwanie się, trudność z utrzymaniem porządku w dyskusji. Trzeba rozumieć, że ta emocja to po prostu łapanie chwili. I to słyszać także w muzyce.

Teraz też muszą łapać chwilę?

Oczywiście, tryb życia się zmienia, dlatego i oni coraz mniej rozumieją wartość tej dzikości, tej krótkiej formy. Młodsze pokolenia wręcz domagają się, żeby zaśpiewać więcej zwrotek, żeby wszystko było opowiedziane dłużej, bardziej dosłownie. A nie jak w śpiewce, która w czterech wersach musiała wyrazić całą skomplikowaną emocję. Podobnie w warstwie muzycznej. Ucho dzisiejszego słuchacza nastawione jest na muzykę temperowaną, uładzoną, ujętą w system dur-moll. Więc jak gramy w skali góralskiej, niektórych to denerwuje, bo wydaje im się, że tam w dwóch miejscach skali jest fałsz.

Przyczyną niechęci może być też to, jak się tę muzykę najczęściej

prezentuje. Z jednej strony masz kontekst restauracyjno-biesiadny, kiedy gra się klientom „do kotleta”, a z drugiej – kontekst kościelno-państwowy. Nieraz zdarzało mi się słyszeć: „No jeszcze tu tylko górali brakowało”.

Jeżeli elementy tradycji wykorzystuje się w sposób oderwany od całej kultury, to ryzykuje się, że powstanie jakaś sztuczność. I ta sztuczność jest czasami tak wyrażna, że razi nawet nas samych, górali, nie tylko obserwatorów z zewnątrz. Jak się muzykę wziętą sprzed szalasu przeniesie do kościoła, to ona może irytować. Dziś już na ogół wiadomo, że w kościele musimy grać inaczej, znaleźć odpowiednie formy wyrazu, i tak większość muzykantów robi. Jak jest pogrzeb, to sięga się po nuty balladowe, liryczne, a także te sabałowe, ale grane bardzo wolno, które są zharmonizowane tak, jak dawne pieśni kościelne.

Niewątpliwie najbardziej irytujące jest wykorzystywanie folkloru do celów politycznych. Pamiętamy czasy komuny, kiedy wszędzie na siłę puszczano folklor i to jeszcze w formie przetworzonej, stylizowanej na potrzeby wielkich zespołów, jak Mazowsze czy Śląsk. Dla tradycyjnych muzykantów to było ogromne zniekształcenie, wypaczenie tradycji. I w sumie nie tylko nie przyczyniło się do promocji tradycyjnej muzyki, ale wyrządziło jej wiele szkód. Powiązanie z polityką zawsze będzie dla folkloru zgubne.

W dodatku przez ostatnie sto kilkadziesiąt lat nie było takiego komplementu, którego by góral nie usłyszał. Począwszy od wspomnianego Szymanowskiego, który pisał, że górale to artyści par excellence.

Może się rzeczywiście w głowie przewrócić. I zdarzało się, że te pochwały powodowały nasze uspienie: nie musimy nic wiedzieć, nie musimy się kształcić, rozwijać swoich umiejętności, bo my to po prostu mamy. Jesteśmy herosami z gór, którzy rodzą się ze skrzypcami w rękach i nartami na nogach, a ceprowi mamy w pogardzie. Dziś to jest jeszcze bardziej niebezpieczne. Jak masz pieniądze, to w ciągu parunastu minut możesz sobie kupić w sklepie ubranie góralskie – które jest bardzo drogie, więc też jest honor je nosić, bo ma się na sobie ładnych parę tysięcy. Ale często nie idzie za tym →

→ prawdziwe zainteresowanie tradycją, posłuchanie swoich dziadków, historii ich zwykle trudnego życia. Bardzo dziś brakuje kogoś takiego jak ksiądz profesor Józef Tischner, który sięgał po góralskie śpiewki i opowieści, żeby szukać w nich kwestii wzniosłych i wielkich, a równocześnie z humorem przekłuiwał ten balon pychy, która bardzo góralom zagraża.

Długo trwa wyszkolenie dobrego góralskiego muzykanta?

Średnio zdolny uczeń potrzebuje trzech, czterech lat, żeby opanować kanon repertuaru podhalańskiego w stopniu podstawowym. Największym sukcesem jest oczywiście doprowadzenie go po tych czterech latach do samodzielności – kiedy sam już wie, jak się dalej uczyć, z czego korzystać. Bardzo się cieszę, kiedy trafiają do mnie dzieci między dziewięcym a dwunastym rokiem życia. To jest najlepszy wiek. Ale zdarzają się też nastolatki, którzy bardzo chcą grać w karczmach, więc przyjdą na jedno, drugie zajęcie, skopią sobie zapis palcowy i potem już się nie pojawiają. Spotykam kiedyś takiego ucznia i pytam, dlaczego przestał przychodzić na zajęcia. A on na to: „Mom telo granio w karcmak, ze juz ni mom casu sie ucyc”.

A jak uczono dawniej?

Dawniej nikt się nie przejmował nauczaniem dzieci, a nawet je do grania niezachęcano. Dzieci miały pomagać na gazdówce, paść gąski, potem jagniątką, potem krowy, drzewa przynieść, narać. Kiedy najsłynniejsza góralska prymistka Bronisława Dziadoń-Konieczna, zwana „Dziadońką”, chciała się jako mała dziewczynka nauczyć grać, to jej ojciec powiedział: „Położ te gynśle, bo zepsujes”. Jak była już troszkę większa, to usłyszała z kolei: „Położ te gynśle, bo one cie zepsujom”. A urodziła się w rodzinie muzycznej, gdzie ojciec i wszyscy bracia grali. Stanisław Chotarski, który po wojnie był instruktorem w zespole w Kościelisku, uczył w ten sposób, że grał jakąś nutę, a potem mówił: „No powtórz. Jak mos usy, to słuchoj!”. Nie pokazywał, którym palcem gdzie nacisnąć, nie tłumaczył, tylko – „mos usy, to słuchoj”. To był jego „program autorski”. Jak pierwszy raz usłyszał granie mojego ojca, a ojciec był wtedy nastolatkiem, to na tyle się mu spodobało, że powiedział: „No, zagroj teraz ty, Władek, zagroj, jako ty tam

umiesz”. To już było wielkie wyróżnienie – że starszy prymista przy jakiejś publicznej okazji pozwala w swojej obecności zagrać młodszemu.

Ile osób gra dziś góralską muzykę?

Gdy w 1997 r. do Zakopanego przyjechał papież, stworzono listę ośmiuset muzyków góralskich, z których wybrano potem sto pięćdziesiąt osób. Dziś na takiej liście znalazłoby się pewnie dobrze ponad tysiąc nazwisk.

Turystyka powoduje, że wielu z nich może te swoje umiejętności prezentować na co dzień. I to jest pozytywne zjawisko. Ważne, aby wylapać najzdolniejszych i zachęcić ich do kształcenia się nie tylko w muzyce tradycyjnej, ale również klasycznej, jedno drugiemu nie przeszkadza. Zresztą na akademiach zaczęły się już pojawiać wydziały muzyki etnicznej. Dobrze jeśli młody muzykant czy muzykantka opanuje jedno i drugie. Moja córka Ania zaczynała od muzyki góralskiej, ale też kształciła się klasycznie, a dzisiaj jest na Akademii Muzycznej w Katowicach. Jest znakomitą prymistką góralską, ma wykształcenie muzyczne i dzięki temu pomagała mi w korekcie zapisu nutowego do podręcznika.

A czy nie-górale mogą osiągnąć biegieść podobną do tej, jaką mają muzykanci pochodzący z Podhala?

Urodzenie się góralem o niczym dzisiaj nie przesądza. W góralskich domach jest na co dzień tak mało tradycji – śpiewu, osłuchania z muzyką i imprez rodzinnych w tradycyjnym stylu – że młodzież czerpie wzory z rozmaitych współczesnych przetworzeń, nieraz karykaturalnych. I potem bardzo trudno jest zmienić te złe maniery, bo mają je już w uszach. Dobry skrzypek, wykształcony klasycznie, bez problemu zagra góralską muzykę z nut, ale żeby ją wykonywał stylowo, musi poznać przynajmniej zarys teorii, a przede wszystkim musi się z tą muzyką osłuchiwać. Najlepiej na żywo, ale nie zawsze jest taka możliwość. Dlatego Polskie Wydawnictwo Muzyczne na swoich stronach internetowych umieściło otwarte dla wszystkich nagranie całego tego repertuaru, który jest w podręczniku. To jest poziom, powiedzmy, średniozaawansowany. Potem można sięgnąć do nagrań archiwalnych i dalej się rozwijać. Ale oczywiście nic nie zastąpi żywej relacji mistrz-uczeń. Tu akurat muzykanci

góralscy mają łatwiej, bo tych mistrzów mają na miejscu.

I jest jeszcze coś takiego jak muzykancki etos.

Albo muzykancki *savoir-vivre*. Jak chcesz być muzykantom uznanym przez górali za swojego – muzykantom, a nie tylko takim knajpianym grajkiem – to musisz nie tylko umieć zagrać i zaśpiewać, ale też odpowiednio się nosić: wiedzieć, jak usiąść, jak stanąć, pilnować, żeby wszystko na tobie było zapięte jak w mundurze wojskowym. Kiedy jako młody muzykant o czymś zapominałem, to starsi od razu mnie strofowali: „Musis se tu przysyc, bo ci jedna nitka odstaje”. „Opasek mos niedopięty, jak tońcys, to ci za bardzo goni”. Mój chrzestny ojciec streścił mi to tak: dobrzy muzykanci mają być piyknie ubrani, piyknie wyglądać, piyknie się prezentować, czyli mieć odpowiednią postawę, nie pić, nie kurzyć, piyknie grać, piyknie śpiewać – i nie robić przerw.

A nasze czasy jaką byś śpiewką skomentował?

Napisałem kiedyś taką pieśń, dedykowaną doktorowi Chałubińskiemu – „Apokalipsa zakopiańska”. Kiedyś wykonywał ją mój ojciec, co dodawało jej powagi: „Selnijaki naród chodzi po Krupówkach, / panowie bez portek, za to panie w portak. / Mineni sie chłopcy dobrzy, polowace, / ino drobny descyk po turniak siece. / Same biznesmeny, dudki sie im kocom. / Nie chodźcie, Doktorze, tam juz ni ma po co”. Oczywiście, zawsze starsze pokolenie narzeka na to, co jest dziś. Ja bym nie chciał narzekać, ale wiele rzeczy mnie boli: i to gonienie za dudkami, i ta polityka wmieszana w folklor i powołująca się na tradycję.

Ale jest też inna śpiewka: „Kiebyście mi grali, / nigdy nie przestali, / to jo by se tończył, / nigdy byk nie skończył”. To jest coś takiego, że jak się rzeczywiście tę muzykę kocha, jak się umie i chce do niej tańczyć, to ona wchodzi człowiekowi w krew. Byłem niedawno na rodzinnej uroczystości, jubilatka miała dziewięćdziesiąt lat. Graliśmy przeróżne rzeczy, jakieś romanse, więzienne piosenki, inne głupoty. I w pewnym momencie zagrałem nutę góralską, taką rytmiczną. Patrzę, a ciotce nogi same zaczynają chodzić. „E, to by sie tończyło”, mówi. I to jest istota sprawy.

© Rozmawiał WOJCIECH BONOWICZ



Ali Smith, Cambridge, październik 2012 r.

DAVID SANDISON / EYEVINE / EAST NEWS

Pory bez granic

MACIEJ JAKUBOWIAK

Gdyby cykl powieści Ali Smith był tygodnikiem opinii, to doniesienia z kraju i ze świata zajmowałyby cztery solidne strony, ale sekcja kultury pewnie dwadzieścia.

TERMINY – NIEWYKLUCZONE, ŻE BEZ nich nie udałoby się nic. Zawsze byłby czas, żeby dopiero zabrać się do roboty, a gdyby przypadkiem coś udało się już zrobić, to przecież nie zabrakłoby płam do podmalowania, przecinków do uzupełnienia, i tak w nieskończoność. Choć ten skądinąd użyteczny pomysł, żeby wyznaczyć (w najlepszym wypadku: sobie) widzialny horyzont pracy, ma też swój dojmujący wymiar, o którym lepiej chyba pamiętają Anglicy, kiedy mówią *deadline*. Może w tym korporacyjno-freelancerskim slangu tkwi prawda bardziej zasadnicza: że działamy dopiero wtedy, gdy nie daję o sobie zapomnieć śmierć.

Robocze okładki

Ali Smith twierdzi, że lubi o tym pamiętać, tzn. pamiętać o *deadline*'ach. Podobno na pomysł napisania cyklu „Pory roku” wpadła w 2014 r., kiedy oddała, mocno spóźniona, rękopis powieści „How to Be Both” („Jak być obojgiem”). Pomimo prawie rocznej obsuwy wydawca postanowił dotrzymać własnych terminów i opublikował książkę w sześć tygodni, ekspresowo. Smith – najwyraźniej wcale nieskruszona – zapytała, czy nie dałoby się tego powtórzyć. Najlepiej cztery razy. Pomysł był taki, żeby kolejne powieści ukazywały się w porach roku, których dotyczą, w możliwie najkrót-

szym okresie od ukończenia maszynopisu.

Wydawca by pewnie na to nie poszedł, gdyby Ali Smith była mniej sprawdzoną firmą. Urodzona latem 1962 r. w szkockim Inverness, córka elektryka, początkowo związała się z akademią. W 1985 r. rozpoczęła studia doktoranckie z literatury na Cambridge, ale nie ukończyła ich, bo wciągnęło ją pisanie sztuk scenicznych na festiwal teatralny Fringe w Edynburgu. Debiutowała w 1995 r. zbiorem opowiadań „Free Love and Other Stories” („Wolna miłość i inne historie”), który zdobył kilka nagród, i od tego czasu dostarczała książki regularnie co dwa lata, czasem częściej. (W Polsce dwie z nich, „Hotel świat” i „Przypadkową”, wydała w 2007 r. Muza).

Może „How to Be Both” stanowiło wyłom w tym regularnym rytmie, za to przyniosło autorce miejsce na shortliście Bookera, kilka innych nominacji i dwie nagrody. Niektórzy się podśmiewali, kiedy w 2016 r. irlandzki pisarz Sebastian Barry nazwał Smith szkocką jeszcze-nie-laureatką Nagrody Nobla (*Scotland's Nobel laureate-in-waiting*). Za to dwa lata później w plebiscycie „Times Literary Supplement” została uznana za najlepszą współczesną powieściopisarkę Wielkiej Brytanii i Irlandii.

To dopiero miało nadejść. Najpierw w grudniu 2015 r. przedstawiciel wydawnictwa zawiózł autorce robocze wydruki czterech okładek, które zaprojektowano z wyprzedzeniem, żeby oszczędzić czas – widniały na nich cztery obrazy Davida Hockneya przedstawiające ten sam odcinek drogi w hrabstwie Yorkshire podczas czterech pór roku. Książki były właściwie gotowe, pozostawało je napisać. Harmonogram był napięty, ale – to już wiadomo – udało się. „Jesień” ukazała się jesienią 2016 r., „Zima” – zimą 2017 r., „Wiosna” – na wiosnę 2019 r., „Lato” – w sierpniu 2020 r. Po polsku udało się te cztery pory roku zmieścić w dwunastu miesiącach, a ostatni tom w przekładzie Jerzego Kozłowskiego właśnie się ukazał.

W tym wydawniczym eksperymencie nie chodziło tylko o popis pisarskich i redakcyjnych umiejętności. Smith twierdziła, że w ten sposób powieść, po angielsku nazywana *novel*, miałaby odzyskać to, co powinno ją definiować: nowość, ➔

→ aktualność, intymny związek ze współczesnością. Tylko czym właściwie jest ta cała współczesność? To później, najpierw może powiemy sobie po prostu, o czym to jest.

Kwartet

W „Jesieni” młoda wykładowczyni historii sztuki wraca do domu swojego dzieciństwa na wieś o tym, że sąsiad, z którym przyjaźniła się jako dziewczynka, trafił do ośrodka opieki i zapadł w śpiączkę. W „Zimie” syn przyjeżdża na święta do swojej zgorzkniałej matki, przed którą wstydy się przyznać, że ma kłopoty w związku, więc zatrudnia przypadkiem napotkaną kobietę, żeby ta udawała jego dziewczynę. „Wiosna” to historia obdarzonej fantastyczną mocą zjednywania sobie ludzi dziewczynki, która porywa za sobą kolejne osoby – młoda pracownice ośrodka detencyjnego oraz starzejącego się reżysera filmowego – w podróż na miejsce historycznej bitwy między Szkotami i Anglikami. Wreszcie w „Lecie” nastoletnie rodzeństwo wraz z matką oraz przypadkiem napotkaną parą wybiera się na niedaleką wycieczkę, podczas której spotyka się z bohaterami „Jesieni”.

Byłaby to więc opowieść o rodzinach w podróży: o matkach i córkach, które nie potrafią się dogadać; o braciach i siostrach, którzy szczerze się nienawidzą, więc tym bardziej kochają. Ale to nie wszystko. W polskiej nazwie cyklu to umyka, ale jego oryginalny tytuł – „Seasonal Quartet” („Kwartet pór roku”) – sugeruje, że te cztery powieści są skomponowane jak utwór muzyczny, z warstwami i motywami, które przeplatają się, kolejno wychodzą na pierwszy plan i schodzą w cień. Fabularne relacje między bohaterami – również poukładane w refreny, symetrie i nieoczekiwane zestawienia – to tylko jedna z tych warstw.

Feed

Inną melodię grają czasy, w jakich bohaterom przyszło żyć. Smith twierdzi,

że kiedy w 2015 r. umawiała się na cykl powieści blisko związanych z czasem ich powstania, podejrzewała, że stworzy pastoralne historie o „bogactwie pór roku”. Rzeczywistość miała jednak swój pomysł na to, co powinno się znaleźć w tych książkach: brexit, Donald Trump, Boris Johnson, kryzys migracyjny („Nie nazywaj tego kryzysem migracyjnym – zaprotestowała Paddy. – Powtarzałam ci milion razy. To są ludzie” – to w „Wiosnie”), katastrofa klimatyczna, pożar Grenfell Tower.

Kiedy do napisania zostało już tylko „Lato”, wybuchła pandemia. Ali Smith usiłowała nadążyć. Gdy oddała maszynopis „Lata” – a machina wydawnicza ruszyła – w pośpiechu dopisywała fragmenty o zamordowaniu George’a Floyda. Pewnie gdyby nie *deadline*, dopisywałyby tak bez końca. Wszystkie te wydarzenia odbijają się na losach postaci, ale przede wszystkim docierają do powieści w takiej formie, w jakiej docierają do większości z nas – jako newsy.

Ich rytm – raczej irytujące *staccato* – tworzy jedną z wyraźniejszych warstw całego cyklu. Ale Smith poświęca również sporo miejsca temu, w jaki sposób funkcjonują media, szczególnie te nowsze, słabiej jeszcze rozpoznane. „Wiosna” rozpoczyna się pastiszem strategii komunikacyjnych, które wypadałoby nazwać trollerskimi („Chcemy dezorientacji. Chcemy powtórzeń. Chcemy powtórzeń. Chcemy żeby ludzie w władzy mówili że prawda nie jest prawdą”), zmiksowanym z wycinkami z sieciowej mowy nienawiści. I choć z początku nie jest jasne, kto tu właściwie jest nadawcą, to raczej nie ulega wątpliwości, że sama autorka nie przepada za mediami społecznościowymi. Nie pozwala sobie jednak na ich naiwne pryncypialne odrzucenie. Przeciwnie, Smith świetnie rozumie rządzące nimi mechanizmy, a z każdą kolejną powieścią coraz bardziej serio stawia pytania o relacje między rzeczywistością i mediami. I przede wszystkim wynajduje całkiem przekonujące sposoby na to, by w tekście zmieścić treści ze świecących ekranów.

W ogóle sporo tu refleksji nad komunikacją, zmieniają się punkty widzenia, z których obserwujemy akcję, a do tego powieści nieustannie każą nam się zastanawiać, kto właściwie mówi, jakie ma sprawy do załatwienia i co może wiedzieć o świecie. W tym sensie „Pory roku” to też wielkie ćwiczenie z komunikacyjnej po-

dejrzliwości. I to dlatego od prostych ocen ważniejsze jest tu pytanie o to, jak mogą ze sobą współgrać – i dlaczego zwykle to nie wychodzi – różne sposoby komunikowania. I w jaki sposób newsy – które „są teraz jak stado owiec spadających w przyspieszonym tempie z urwiska” – mogą się odnaleźć w powieści. Nawet takiej, którą wydaje się naprawdę szybko.

Bajka o drucie kolczastym

Ostentacyjny kontrapunkt dla tych polityczno-medialnych wtętwów tworzą w „Porach roku” literatura i sztuka. To one budują szkielet nie tylko poszczególnych tomów, ale i całej kompozycji. Każda z powieści w jakiś sposób zahacza o jedną ze sztuk Szekspira, w każdej prze-wijają się Charlie Chaplin, niemal każda rozpoczyna się zdaniem parafrazującym Charlesa Dickensa (inaczej jest w „Lecie”, ale tam wprost mówi się o „Oliverze Twiście”). W każdym z tomów jedną z pobocznych bohaterek – a raczej tematem czy punktem odniesienia – staje się artystka: Pauline Boty, Barbara Hepworth, Tacita Dean, Lorenza Mazzetti.

Gdyby cykl Ali Smith był tygodnikiem opinii, to doniesienia z kraju i ze świata zajmowałyby cztery solidne strony, ale sekcja kultury pewnie dwadzieścia. W ten sposób pisarka zdaje się sugerować, że bez głębszego oddechu kultury nie potrafilibyśmy w odpowiedni sposób postrzegać współczesności. Bo ani medialny strumień informacji, ani zdrowy rozsądek nie pozwalają wyjść poza to, co dane wprost i pozornie niezmiennie. Właśnie dlatego potrzebujemy bajek, baśni, literatury, opowieści, po prostu: wyobraźni. I snów, których pełno jest w tych powieściach.

To żadne pięknoduchostwo ani poszukiwanie ulgi od przytłaczającej współczesności. Szekspir, Dickens i Katherine Mansfield są tu rebeliantami pomagającymi w dziurawieniu obozowych ogrodzeń, które splatają się z pozostałymi wątkami „Pór roku”. I zacieśniają swój uścisk coraz mocniej: w „Jesieni” po prostu robią wyrwę w przestrzeni publicznej, w „Wiosnie” zamykają imigrantów, a w „Lecie”, za sprawą pandemii, zaczynają odgradzać pojedyncze ciała. Tak też – i to od pierwszego tomu – Smith traktuje brexit: jako katastrofę dotyczącą wyobrażeń o granicy. To nie tylko jakaś decyzja dotycząca polityki międzynarodowej kraju, ale przede wszystkim symboliczny wy-



**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia

Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika
Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM

Krynica Zdrój – 102,1 FM

Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM

Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM

Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl

bór określający stosunek do tych, którzy przychodzą skądinąd.

Czas

W powieści, która w założeniu ściśle wiąże się z arbitralnie wyznaczonymi okresami, problem granicy automatycznie zaczyna dotyczyć czasu. Tak wracamy do pytania porzuconego chwilę wcześniej – czym właściwie jest współczesność? Ali Smith specjalnie się nie pacykuje: współczesność jest wszystkim. Tym, co z przeszłości, nawet odległej, przetrwało w pamięci i wrażliwości żyjących ludzi. Tym, co pozostawili po sobie ludzie dawno zmarli. I tym, co wciąż można w przeszłości odkryć.

Z tego powodu narracja tych powieści kompulsywnie skacze między czasami. W tym bardzo aktualnym piśmiectwie jest więc miejsce na historie aktywistek sprzed ćwierćwiecza, na wspomnienia sprzed II wojny światowej i na opowieści o pisarce i pisarzu, którzy spotkali się na początku minionego wieku w szwajcarskim pensjonacie. Bo też książki – przypomina Smith ustami jednej ze swoich bohatererek – „mogą zawierać w sobie wiele czasów jednocześnie”. W tym również ten czas, kiedy czyta się je z oczywistym opóźnieniem w innym kraju i w innym języku, gdy tłumacz pozostawia w tekście ślad swojej własnej współczesności, przekładając „*TRAITOR TRAITER*” jako „*ZDRAJCZO ZDRADZIECKA MORDO*”.

Ostatecznie Smith, tak przejęta ideą aktualności, kompletnie ją przenicowuje. To właśnie w tym miejscu „nowość” powieści spotyka się z tytułową cyklicznością pór roku: czas biegnący sprintem naprzód nagle wpada w koło obrotowe innego poczucia przemijalności. Historyczność zderza się z ahistorycznością, a nieokiełznana potrzeba komunikowania – z milczeniem świata roślinnego (podobny eksperyment, choć literacko zupełnie odmienny, przeprowadziła niedawno Julia Fiedorczuk w „Pod słońcem”).

Jednak jak wszystkie warstwy tej kompozycji, tak i dwa rytmy czasu w końcu się ze sobą splatają. Bo też jak inaczej można by pisać o porach roku, kiedy – za sprawą najpoważniejszej z katastrof, które wciąż w trybie swojej opowieści Smith – na ma już pór roku? Może dlatego Smith cykliczności dopatruje się też w historii, i kiedy pisze o współczesnych obozach dla imigrantów prowadzonych w Wielkiej Brytanii (debata

Współczesność jest wszystkim.

Tym, co z przeszłości
przetrwało w pamięci
i wrażliwości żyjących ludzi.
Tym, co pozostawili po sobie
ludzie dawno zmarli.
I tym, co wciąż można
w przeszłości odkryć.

o nich zyskała w 2018 r. nazwę „skandalu Windrush”), od razu uruchamia skojarzenia z obozami internowania dla obywateli niemieckich (gdzie Żydzi spotykali się ze zwolennikami Hitlera) podczas II wojny światowej, i nawet z kolonizacją Szkocji przez Anglików. Historia ma swoje pory, ale pory roku nie są już tym, czym były dawniej.

Są sposoby

Tym złym, który przewija się przez wszystkie tomy i odpowiada za groźne ogrodzenia, jest bezosobowa firma SA4A. Długo myślałem, że to tylko wymyślona nazwa. Ale czy to przypadek, że znalazły się w niej inicjały autorki i liczba tomów jej cyklu? Czy Ali Smith nie chce nam w ten sposób powiedzieć czegoś o sobie? I o naszej – a nie jakichś tamtych – skłonności do grodzenia przestrzeni, czasu i języka?

Jednak na przekór temu – więc może i na przekór sobie samej – Smith tworzy

literaturę, która usiłuje być tak otwarta, jak to tylko możliwe. Jeśli „Pory roku” są powieściami epoki brexitu, to nie dlatego, że zaledwie rejestrują jego konsekwencje. One usiłują im się przeciwstawić. Smith pisze tak, jakby żadnych granic nie było. Szczególnie granic gatunkowych, więc do swoich powieści wciąż wciąga dokumenty, listy, SMS-y, tweety, nagłówki medialne, narracje miesza ze zmartwieniem z esejami i wypisami ze słownika etymologicznego, tu wrzuci kawałek zmyślonej powieści, tam spór o istnienie Boga, i każe swoim czytelnikom co rusz zaglądać do encyklopedii. Widać w tym ślady eksperymentów z granicami tekstu literackiego – pomysły Eliota, Joyce’a, Woolf, Musila – ale Smith wyznacza im współczesne zadanie: przeciwstawiania się zamykaniu granic.

W tym odruchu przypomina jeszcze innego pisarza, W.G. Sebald. Jeśli jednak Sebald był rozczarowanym melancholikiem, to Smith najwyraźniej nie traci wiary, że literatura coś może zdziałać. Podobnie więc jak matka w „Jesieni” bombarduje ogrodzenia „ludzkimi historiami i przedmiotami z mniej bezwzględnych, bardziej miłosiernych czasów”. I pisze tak, jak dziewczynka w „Wiośnie”, która nic sobie nie robi z granic, po prostu przechodzi przez bramy i płoty, żeby zjednoczyć sobie ludzi. „Są sposoby – zdradza jeszcze jedna z jej bohatererek – żeby przetrwać te czasy, i jednym z nich (...) jest kształt, jaki przybiera opowiadanie”.

© MACIEJ JAKUBOWIAK

Ali Smith **WIOSNA; ZIMA; JESIEŃ; LATO;**
w przekładzie Jerzego Kozłowskiego,
W.A.B., Warszawa 2020, 2021.

POZEGNANIE

Ze smutkiem żegnam

Ś.†P.

Profesora
Stanisława Rodzińskiego

Człowieka szlachetnego, artystę wielkiego talentu
i głębokiej wiary, Przyjaciela

w imieniu Rodziny
BARBARA PIERONEK



Marek Piasecki w pracowni w Krakowie, lata 1954–1967

Dosłownie wszystko

MACIEJ TOPOLSKI

Nie planował kadrów, raczej zdawał się na swoją wrażliwość i na jakiś przymus zbierania obrazów, za którymi oko łatwo nie podąży, doceniających to, co ukryte, nieoczywiste, porzucone.

PONAD 30 LAT. TYLE CZASU POTRZEBOWALI kuratorzy i krytycy – a wraz z nimi muzea, galerie i instytucje kultury – żeby przypomnieć sobie o istnieniu Marka Piaseckiego, zgodnie uznawanego dzisiaj za jednego z najbardziej oryginalnych polskich artystów drugiej połowy XX wieku. Przyczyn, dla których przez tak długi czas milczano na temat twórczości urodzonego w 1935 r. w Warszawie autora instalacji, rzeźb, heliografii, jak również fotoreportera współpracującego z „Tygodnikiem Powszechnym”, nie sposób sprecyzować.

Milczeniu mogła sprzyjać polityczna rzeczywistość, w której nie było prze-

strzeni na obrazy, obiekty, rzeźby czy fotografie skupione na tym, co marginalne i niedookreślone. Możliwe, że przyczynił się do tego sam Piasecki, który w 1967 r. – kiedy otrzymał zaproszenie na wystawę indywidualną w Pałacu Sztuki w Lund – wyemigrował z Polski do Szwecji, gdzie prawie do końca życia pozostał poza rodzimym obiegiem.

W 2004 r. – a więc niedługo przed śmiercią Marka Piaseckiego – Galeria Starmach w Krakowie zorganizowała wystawę retrospektywną, pierwszą po 37 latach prezentację jego artystycznej działalności, dając tym samym początek renesansowi twórczości Piaseckiego i spra-

wiając, że kolejne fotografie zaczęły trafiać do zagranicznych zbiorów (m.in. do nowojorskiego Museum of Modern Art). Na fali tego zainteresowania, za sprawą Fundacji Archeologia Fotografii, ukazała się książka „Do wnętrza. Fotografie z lat 1954–1967” przedstawiająca część archiwum Marka Piaseckiego.

Konstellacje i intensywności

To zdjęcie zostało wykonane w 1959 r. w Kalwarii Zebrzydowskiej. Kobiety w spódnicach, w chustach na głowach. Mężczyźni w garniturach, w rozpiętych pod szyją koszulach. Nad ich głowami, na ścianie, pod którą stoją, widać napis „Wbijanie gwoździ surowo wzbronione”. Patrząc na sfotografowanych ludzi ma się wrażenie, że uczestniczą w czymś, czego my – oglądający to zdjęcie ponad sześćdziesiąt lat później – nie widzimy. Albo możemy zobaczyć jedynie ślady wydarzenia, pozostałości. Śmieci rozrzucone na trawie, spojrzenia skierowane poza kadr, ciała znudzone, pokorne.

W książce „Do wnętrza”, przygotowanej przez Martę Przybyło i Agnieszkę Rayss, znajduje się kilka innych fotografii wykonanych przez Piaseckiego w Kal-

*Skrzyżowanie ul. Królewskiej
i Nowowiejskiej w Krakowie,
lata 1960–1964*

*Kalwaria Zebrzydowska, 1959 r.
Opublikowane w „Tygodniku Powszechnym”
w nr. 7/1966*

*Podwórko pod nieustalonym adresem,
lata 1954–1966. Opublikowane
w „Tygodniku Powszechnym”
w nr. 11/1966*

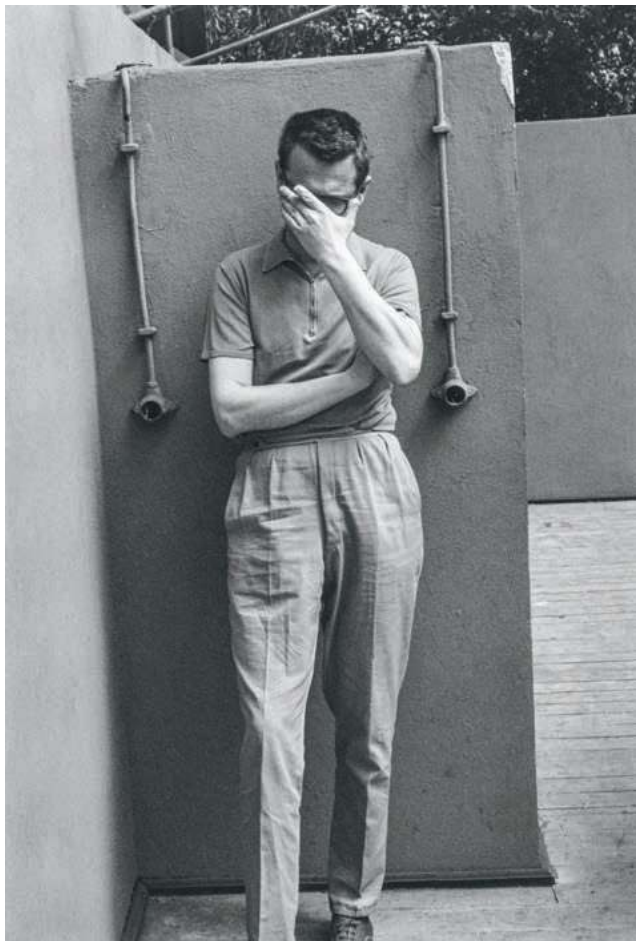
warii Zebrzydowskiej, miejscu tak istotnym dla kształtowania się polskiego katolicyzmu. Żadne ze zdjęć nie pokazuje jednak wydarzeń religijnych, dostojników kościelnych, świątyni czy symboli. Widzimy natomiast tłum w deszczu, pod parasolami, w płaszczach z kapturami. Chłopców wspinających się po dachach (chcą mieć lepszy widok), tła fotograficzne (widziane od tyłu), kobiety układające wieńce (przysłonięte przez postać z zabandażowanym kciukiem).

Z jednej strony fotografie Marka Piaseckiego tworzą więc – jak proponuje Paweł Mościcki – konstelacje, czyli nieciągłe zbiory pozbawione wyznaczonych granic, ustanawiające mniej lub bardziej przypadkowe zespoły sensów. Sensów zawartych w gestach, spojrzeniach, pozach, miejscach, które zostały sfotografowane, czy sposobach kadrowania – i połączeniach, które między sobą tworzą. To sprawia, jak dodaje antropolog i artysta wizualny Tomasz Szerszeń, że są to zdjęcia „niezwykle gęste, intensywne”. Z drugiej strony pozwalają wejść w kontakt ze sposobem odczuwania świata, z taką wrażliwością, która nie hierarchizuje osób, gestów, spojrzeń, pól czy miejsc – wszystko wydaje się dzięki nim warte uchwycenia, zatrzymania, zobaczenia. Wszystko to również ukazane jest z perspektywy, która sprawia, że obrazy „powojennej rzeczywistości małych miasteczek i zrujnowanych jeszcze miast” zaczynają pełnić funkcję uniwersalnej metafory.

Na innym zdjęciu Marka Piaseckiego, tym wykonanym w Krakowie na ulicy Królewskiej (wtedy 18 Stycznia) przy skrzyżowaniu z Nowowiejską, pośrodku tłumy stoi kobieta z zamkniętymi oczami. Jest zatopiona w myślach, w wewnętrznej ciszy. Tuż za jej plecami stoi matka z synem – mają niemal identyczne twarze o miękkich rysach – zostali uchwyceni w trakcie rozmowy.



Zdzisław
Beksiński,
lata
1958–1960



⇒ Można by powiedzieć, że Piasecki „miał oko”, potrafił w sposób nienachalny odnaleźć w codziennej sytuacji dwa rozległe, przeciwstawne światy: ciszy i zgiełku, samotności i zbiorowiska, marzenia i codzienności, historyczności i bezczasu. I bezbłędnie je uchwycić.

Jak stwierdza przywołany już Mościcki, na tej fotografii zamyślenie młodej kobiety „wydaje się (...) zarazem próbą ucieczki, wewnętrznej emigracji, i dowodem nieuchronnego niepowodzenia takich zamiarów. Wszak stoi ona w idealnym rzędzie z resztą zbiorowości – jakby tworzyła razem z nim, pomimo wyobrażonych ucieczek, jednolity i zwarty mur przechodniów”.

Fakt, że archiwalne fotografie Marka Piaseckiego – choć w większości wykonane ponad pół wieku temu, w diametralnie innej rzeczywistości społecznej, politycznej i wizualnej – oddziałują na współczesnego widza i kierują go w stronę nieoczywistych wyjaśnień, powiązań, znaczeń, tylko potwierdza rangę i żywotność twórczości tego artysty.

Archiwum totalne

Tylko przy nielicznych fotografiach, które zostały zamieszczone w książce „Do wnętrza”, znajdują się konkretne informacje o dacie czy miejscu ich wykonania. Bardzo często są to szerokie ramy czasowe, jak w przypadku tej niezwyklej fotografii przedstawiającej ubraną w kraciastą spódnicę i bluzkę w paski młodą kobietę, zagubioną na odrapanym, brudnym i zardzewiałym podwórku, uchwyconą w latach 1954-66. Ta nieistotna na pierwszy rzut oka – i bardzo ogólna – informacja wiele mówi o tym, jak Marek Piasecki pracował, o archiwum, które pozostawił, oraz o pracy wykonanej przez pracowników Fundacji Archeologia Fotografii, której rodzina artysty przekazała sześć plastikowych pudełek z negatywami.

Na negatywach, jak pisze Agnieszka Rayss, jest dosłownie wszystko, od zdjęć z wakacji przez „portrety, autoportrety, portrety żony” aż po zdjęcia uliczne, zdjęcia dachów, murów, zacieków na ścianach. „Kształt tego archiwum nie niesie

informacji o podziale na część ważniejszą lub mniej ważną, zarobkową i artystyczną. (...) Poszukując konkretnego tematu, trzeba wyłuskiwać poszczególne klatki z nieprzeliczonych ujęć i tematów. Nie wiemy, czy tak się stało przez przypadek, czy przed likwidacją krakowskiej pracowni Marka Piaseckiego archiwum miało jakiś logiczny układ. Otwierając je dzisiaj, mamy wrażenie obcowania z archiwum totalnym, zaprzeczającym prostym podziałom”.

Marek Piasecki, jak stwierdza Marta Przybyło, „fotografował bez przerwy, niemal kompulsywnie” – nie planował kadrów, raczej zdawał się na swoją wrażliwość i na jakiś przymus zbierania obrazów, za którymi oko łatwo nie podąży, doceniających to, co ukryte, nieoczywiste, porzucone.

Marta i Michał Smoczyński, członkowie rodziny opiekujący się jego archiwum w podkrakowskich Goszycach, stwierdzili, że Piasecki był – podobnie jak jego żona, Joanna Turowicz-Piasecka – zbieraczem: „Zbierał wszystko. Bibeloty, koty, albumy o kotach, albumy o sztuce, książki, rupiecie. Niedaleko miejsca, gdzie mieszkali w Szwecji, znajdował się targ staroci, Joanna lubiła tam chodzić i kupować np. pudło zawierające nie wiadomo co. To było jak ruletka: czasem coś się trafiło, inny razem nic. Marek tworzył zresztą instalacje z rzeczy z rynku wtórnego i to przyzwyczajenie zbierackie mu zostało. Jego mieszkanie – z którego nie wychodził w ostatnich latach życia, leżąc w łóżku, w pokoju z zasłoniętymi oknami i czytając książki na każdy temat – wypełnione było rzeczami po brzegi”.

Kuratelę nad archiwum objęła żona Marka Piaseckiego i nie tylko przyczyniła się do powstania wystawy w krakowskiej Galerii Starmach w 2004 r., a następnie w 2008 r. w warszawskiej Zachęcie, ale i pomagała pracownikom Fundacji Archeologii Fotografii w pracy nad zdjęciami, czy to dookreślając czas i miejsce ich wykonania, czy rozpoznając przedstawione osoby (nie trudno jest zidentyfikować na fotografii Władysława Hasiora i Zdzisława Beksińskiego, ale rozpoznać dziewczynkę z psem na podwórku przy ulicy Świętokrzyskiej 18a w Warszawie to nie lada wyzwanie). Praca wykonana przez Fundację, która polegała nie tylko na opisaniu zdjęć, ale również zadbanie o odpowiednie warunki do

ich przechowywania, jak również udostępnieniu 4369 skanów na stronie internetowej (fotomuzeum.faf.org.pl), jest imponująca.

Liczba zdjęć zawartych w archiwum Marka Piaseckiego pokazuje jednocześnie, że wybór, jakiego dokonały redaktorki publikacji „Do wnętrza. Fotografie z lat 1954–1967”, nie był łatwy. Książka ma za zadanie zwrócić uwagę na działalność fotoreporterską urodzonego w Warszawie, należącego do Drugiej Grupy Krakowskiej artysty, kojarzonego głównie jako autor heliografii i twórca pracujący z obiektami (istotną rolę w jego praktyce pełniły lalki odnajdywane na pchlich targach i śmietnikach).

Fotografie reportażowe Piaseckiego ukazywały się w licznych czasopismach, m.in. „Fotografii”, „Polsce” czy „Więzi”, ale to współpraca z „Tygodnikiem Powszechnym”, rozpoczęta w 1958 r. z inicjatywy Jacka Woźniakowskiego, miała dla niego istotne znaczenie, tak ze względów finansowych, jak i wizualnych – to właśnie wtedy redakcja krakowskiego czasopisma, do tej pory głównie skoncentrowana na słowie, zaczęła częściej publikować zdjęcia. Piasecki pełnił w „Tygodniku”, jak to określa Agnieszka Rayss, funkcję „ilustratora używającego fotografii, dostarczającego refleksyjnych zdjęć luźno związanych z tematyką artykułu”.

Tak było w przypadku opisanego wcześniej zdjęcia z Kalwarii Zebrzydowskiej, które ukazało się 13 lutego 1966 r., czyli w czasie obchodów Milenium Chrztu Polski, przy tekście Woźniakowskiego, który w kontekście Soboru watykańskiego II zadawał pytanie: „I cóż dalej szary katoliku?” (fotografię Piaseckiego ukazującą wierznych stojących pod napisem „Wbijanie gwoździ surowo wzbronione” rozpatrywano zatem nie tylko w kontekście historycznym, ale i teologicznym).

Warto wspomnieć, że mniej więcej w tym samym czasie na łamach „Tygodnika” Miron Białoszewski opublikował swoje tłumaczenie „Dies irae”, a ks. Adam Boniecki rozpoczął nową rubrykę zatytułowaną „Rozmowy niedokończone”.

Nowy początek

„Do wnętrza” to publikacja szczególna z kilku powodów. Przedstawia istotną, choć nieznaną lub znaną jedynie szczerze część twórczości Marka Piaseckiego, oferując zarazem dokładnie przeemyślany wybór z ogromnego archiwum

fotografii. Pojawia się w momencie, w którym decydują się dalsze losy jego spuścizny – zmarła w styczniu 2021 r. Joanna Turowicz-Piasecka, jak podkreśla wielu rozmówców, nie tylko opiekowała się dziedzictwem swojego męża, ale i je cenzurowała, m.in. zezwalając wyłącznie na publikowanie fotografii już znanych. Inną kwestią pozostaje fakt, że książka przygotowana przez Martę Przybyło i Agnieszkę Rayss ukazuje fotografie z okresu szczególnej intensywności twórczej Piaseckiego, którą przerywa lub zmienia jego wyjazd do Lund.

W Lund, jak informuje mnie w korespondencji Terho Paulsson, przyjaciel Marka Piaseckiego, otrzymał on posadę w Instytucie Historii Sztuki u profesora Oscara Reutersvårda. „Do jego zadań należało przygotowanie obiektów do wykładów oraz dokumentacji fotograficznej. Poza tym Reutersvård odwiedzał mieszkanie-pracownię Piaseckiego ze studentami, żeby pokazać im, jak wygląda praktyka artysty pracującego z obiektami (mieszkał on na strychu przy Clemenstorget na piątym piętrze, formalnie wynajmował dwa duże pokoje jako pracownię, ale miał dostęp do innych pomieszczeń na strychu). Profesor zlecał mu również przygotowanie dokumentacji fotograficznej poza uniwersytetem, wykonał między innymi zdjęcia miasta Eslöv, położonego około 20 km od Lund”.

W 1990 r. jego pracownia jednak spłonęła, co, jak komentuje Tomasz Szerszeń,

oznaczało dla Piaseckiego „praktyczne pożegnanie z tworzeniem, a przede wszystkim – z czarno-białą fotografią”. Co ciekawe, Paulsson i Szerszeń mówią odmienne rzeczy: pierwszy, że Marek Piasecki wykonywał w Szwecji wyłącznie zdjęcia czarno-białe (kolor był „zupełnie sprzeczny z jego światem”), drugi – że jego ostatnie fotografie są kolorowe: „wykonane amatorskimi aparatami, wywołane w pobliskim zakładzie fotograficznym (...). Zdjęcia te są często nieostre, źle skadrowane: tak jakby miał kłopoty ze wzrokiem, cierpiał na jakiś rodzaj zaburzenia widzenia”.

Książka „Do wnętrza. Fotografie z lat 1954–1967” stanowi kolejne przedsięwzięcie Fundacji Archeologii Fotografii, które – za sprawą prac archiwalnych – nadaje nowe życie twórcom zapomnianym, przemilczanym czy niechcianym (ostatnio np. Julii Pirotte, polskiej fotografce żydowskiego pochodzenia). Zachęcając do stawiania nowych pytań dotyczących biografii artystów, odkrywając nieznane lub zbadane pobieżnie rejony twórczości. To nowe życie w przypadku spuścizny Marka Piaseckiego jest bardziej skomplikowane, na pewno pełniejsze i wciąż jeszcze zagadkowe. © MACIEJ TOPOLSKI

Autor dziękuje za – istotne dla ostatecznego kształtu tekstu – rozmowy Marcie Przybyło, Agnieszce Rayss oraz Magdalenie Smoczyńskiej.

Podwórko na tyłach budynku przy ul. Świętokrzyskiej 18a w Warszawie, lata 1954–1967





Eric Bana jako Aaron Falk w filmie „Susza”

Spalona ziemia

ANITA PIOTROWSKA

Film Connolly’ego bliski jest formule nowoczesnego kryminału, gdzie równie ważne jak zagadka „kto zabił” stają się wewnętrzne zmagania tego, kto próbuje ją rozwiązać.

CHYBA ŻADNA KINEMATOGRAFIA NIE jest tak silnie wrośnięta w rodzi-my pejzaż. Uchodzi on za nieodłącznego bohatera wielu australijskich filmów, a busz jako miejsce tajemnicze, nie do końca przez człowieka oswojone, stał się na ekranie źródłem zarówno fascynacji, jak niepokoju. Natura bywa przez tamtejszych filmowców idealizowana i równocześnie demonizowana, by przywołać klasykę: „Piknik pod Wiszącą Skałą” (1975) Petera Weira czy „Moją wspaniałą karierę” (1979) Gillian Armstrong.

Kiedy jednak trafia do nas z antypodów współczesny film pod tytułem

„Susza”, mitologizacja musi przegrać z rzeczywistością. I nie tylko dlatego, że w dużej mierze mamy do czynienia z pejzażem już ujarzmionym. Przede wszystkim wracają boleśnie znajome kadry sprzed ledwie półtora roku, kiedy to charakterystyczny australijski krajobraz, z całym dobrodziejstwem żywego inwentarza, trawiony był przez apokaliptyczny ogień.

W filmie Roberta Connolly’ego mordercza i długotrwała posucha, jakiej doświadcza miasteczko Kiewarra, nie jest jeszcze zwiastunem ekologicznej katastrofy (zdjęcia kręcono tuż przed nią).

Jeśli powoduje pustynnienie, to raczej w portfelach i duszach jego mieszkańców. A wyłławiając uczucia lub niszcząc zbiorową pamięć, susza zaczyna powoli odsłaniać to, co pierwotne i dotychczas tłumione.

Historia zaczerpnięta z poczytnej książki Jane Harper pod tym samym tytułem, wydanej także w Polsce, brzmi zrazu niczym ze sztamowego kryminału. Oto w rodzinne strony przyjeżdża po dwudziestu latach Aaron Falk – w tej roli australijski aktor Eric Bana, znany m.in. z „Helikoptera w ogniu” (2001) czy „Monachium” (2005). Przybywa co prawda na pogrzeb najbliższego przyjaciela z dzieciństwa, ale skoro w grę wchodzi rozszerzone samobójstwo, Aaron postanawia przyjrzeć się bliżej całej sprawie – jako agent federalny i jeden z nielicznych, którzy wątpią, że Luke mógł zabić żonę, synka i siebie.

Tyle klasyki gatunku. Bo w „Suszy” dużo ważniejsze zdaje się przeświecenie traumy, tej zbiorowej i tej indywidualnej. Zdruzgotani są zwłaszcza rodzice Luke’a, tutejszy policjant oraz dzieciaki w szkole. Żaloba, wyrzuty sumienia (czy można

było zapobiec zbrodni?) i daremne wypatrywanie deszczu tworzą w lokalnej społeczności mieszkankę iście wybuchową.

Jak się łatwo domyślić, ucieczka Aarona z miasteczka również miała podłoże traumatyczne. W retrospekcjach powraca jego nastoletnia przeszłość, kiedy to on, Luke, Gretchen i ukochana Ellie baraszkowali bez troski w pobliskim jeziorze, zanim doszło do utonięcia dziewczyny, co rzuciło cień podejrzenia właśnie na Aarona. Zawieszony między wczoraj i dziś, bohater zaczyna łączyć oba tragiczne zdarzenia, choć wiadomo, że prywatna obsesja bywa w śledztwie złym doradcą.

Świetnie udaje się Connolly'emu odmalować klimat wiejsko-miejskich peryferii. To miejsce zamieszkałe głównie przez krzepkich farmerów, ale i jeszcze jedno przekłete miasteczko, gdzie wszyscy kłamią albo udają, że nic nie wiedzą i nie widzą. Tymczasem prawie każdy ma tutaj coś za uszami. Na pierwszy rzut oka widzimy w „Suszy” po prostu ciężko pracujących ludzi – szorstkich, oschłych, skazanych na kaprysy natury, która właśnie odpłaca się im za uczynienie jej kiedyś poddaną. Gwałtowni biali mężczyźni w terenówkach i ze strzelbami jedyną rozrywkę znajdującą w lokalnym pubie tudzież w polowaniach na króliki siejące spustoszenie na polach.

Gwoli ścisłości, miejscowe kobiety też polują, jak np. Gretchen (Genevieve O'Reilly), z którą Aaron po latach nawiązuje dyskretny romans. Im dłużej jednak przebywa on w miasteczku, tym bardziej czuje się w nim obcy. Tym mniej komukolwiek ufa i tym większą napotyka wrogość. Zresztą desperacja mieszkańców Kiewarry ma swoje źródło nie tylko w zmianach klimatycznych i wymiernych dla farmera stratach. Podczas gdy wysychają akweny i płoną lasy, zamiera także etos australijskiego ranчера. I tu znów najsilniej przemawia do nas pejzaż: raz po raz kamera Stefana Duscia szerokim gestem panoramuje hektary żółkniętych pól, a nad nimi gigantyczne betonowe silosy. Oto, wraz z uprzemysłowieniem rolnictwa, przemija dotychczasowa postać świata.

Odrutką na ten suchy, splekany obraz mogłyby być chociaż intymne wspomnienia, lecz trudno odzyskać raj utracony, skoro naprawdę nigdy go nie było. Mimo że czas przeszły nawiedza głównego bohatera intensywnie i zmysłowo – w barwach soczystej zieleni i strumieniach wody, której teraz coraz częściej brakuje w kranach – trudno znaleźć w nim ukojenie. Młodość Aarona również naznaczona została założycielskim kłamstwem. W tym sensie film Connolly'ego bliski jest formule nowoczesnego kryminału, gdzie równie ważne jak zagadka „kto zabił” stają się wewnętrzne zmagania tego, kto próbuje ją rozwiązać. W „Suszy” obie te prawdy, obiektywna i subiektywna, coraz bardziej się zazębiają, aż do finałowego *katharsis*, w dodatku podwójnego.

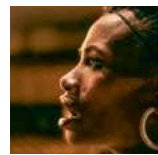
Nie zdradzając zbyt wielu szczegółów, warto jedynie napomknąć, że w filmie ogień i chciwość mają wspólne imię. Twórcy, podążając za autorką powieści, pokazują ów ścisły związek w wymiarze indywidualnym, choć trudno uciec od globalnych metafor. Można z łatwością wyobrazić sobie, jak spalone słońcem południowo-wschodnie przetrzenie kontynentu zamienia się rychło w pustynne nieużytki rodem z „Mad Maksa: Na drodze gniewu” (2015) George'a Millera – innego australijskiego filmu z pejzażem w jednej z głównych ról. Tyle że tam był to krajobraz po bitwie wywołanej i przebranej przez człowieka, a twórcy „Suszy” pomimo wszystko pokładają w nim jakąś nadzieję. Nawet ci, którzy uczynili rzeczy straszne, mają twarze po ludzku cierpiące.

Największą moc ma jednak sam sposób opowiadania – nieśpieszny, niby rozlewny, aczkolwiek ze ściśniętym gardłem, dociskanym jeszcze przez ekspresyjną, chwilami odrealnioną muzykę. Sam język kina stawia zatem nadzieję pod dużym znakiem zapytania. Może i Aaron znajdzie w końcu drogę do siebie, może lokalna społeczność przeżyje wreszcie swoją żałobę – ale czy na dłuższą metę uda się ocalić busz? ©

SUSZA („*The Dry*”) – reż. Robert Connolly. Prod. Australia/USA 2021. Dystryb. M2 Films. W kinach.

WARTO ZOBACZYĆ

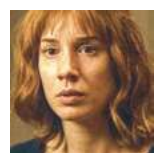
1. Rycząca otchłań



Dokumentalny, reż. Quino Piñero, Etiopia/Wielka Brytania/Hiszpania 2015, FilmBox Arthouse, 8 VIII, 21.00

„Przywiódł mnie tu etiopski jazz, ale kiedy się rozejrzałem, moje uszy otworzyły się” – wspomina reżyser filmu. Przez dwa lata dokumentował tradycje muzyczne Etiopii, uprawiane przez bardzo różne narodowości i kultury. Nagrywał na pustyniach, w górach i lasach, ocalając od zapomnienia poszczególnych utworów, jak i unikalne skale muzyczne czy brzmienia lokalnych instrumentów.

2. Nieświadomi



Serial, reż. Ivan Zachariáš, Czechy 2019, odc. 1-6, HBO GO

Twórca „Pustkowień” przywołuje czasy schyłkowej Czechosłowacji i robi to w doskonałym stylu. Tajemnicze zniknięcie dysydenta, który po latach wrócił z żoną do ojczyzny, uruchamia spiralę zdarzeń z udziałem KGB, miejscowych służb specjalnych i ich ofiar. W sugestywnych zgniózłonych barwach odtworzony został klimat zagrożenia i nieufności.

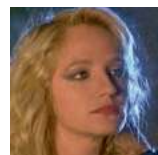
3. Sakawa



Dokumentalny, reż. Ben Asamoah, Belgia/Holandia 2018, mdag.vod

Wyrzuciłeś właśnie swój stary laptop? Jeśli trafi on kiedyś na wysypisko w Ghanie, utylizacji może zostać poddana nie tylko jego obudowa i elektronika – również twoje prywatne, czasem wstydlive dane, przechwycone przez grupy przestępcze. Dokument pokazuje, jak postkolonialna Afryka bierze dzisiaj odwet za wieki eksploatacji tamtejszych zasobów i ludzi.

4. Sjesta



Thriller, reż. Mary Lambert, USA 1987, CDA Premium

To jeden z dziwniejszych i bardziej kontrowersyjnych filmów lat 80.

Ellen Barkin, Julian Sands, Isabella Rossellini i David Byrne biorą udział w zapętlonej, psychodelicznej intrydze, pełnej namiętności i krwi. Tylko co tutaj wydarzyło się naprawdę? Na ścieżce dźwiękowej usłyszeć można Milesa Davisa i Marcusa Millera, czego owocem stała się kultowa płyta „Music from Siesta”.

JAN

Klata: Rozszczepianie



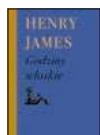
I OTO RZECZYWISTOŚĆ NAM SIĘ ROZSZCZEPIA, społeczeństwo rozszczepione na dwie grupy nienawistnych, Polską szczepionych. Tak jest, jak się Państwu zdaje – w temacie szczepień. Dynamika wyszczepienia maleje, Polacy już nie pałają taką żądzą zawistnego wyszczepiania, jak w starych, dobrych czasach Jandagate. Kolejne fale wirusologów zapowiadają kolejne fale liter greckiego alfabetu – teraz jesteśmy przy Deltcie, bodajże, ale gracko dojedziemy do Omegi i co dalej? Ciężko zrozumieć rzeczywistość – znaczy, tę prawdziwą, oczywiście.

Obydwa szczepy mają swoje totemy i imponderabilia, swoich lekarzy, a przede wszystkim swój internet. Jak jest

„w realu”, okazuje się w szpitalu oraz ewentualnie na cmentarzu, ale i to jest względne, gdyż antyszczepionkowcy szczerze dysponują swoimi cmentarzami, gdzie składane są ofiary szczepionek. Problem niby uniwersalny, ale żyjemy w Polsce, a w Polsce jest Polska. Tutaj mamy do czynienia z pandemią po polsku, od zarania epidemii polskie władze wykorzystywały pandemię do uczynienia Polski bardziej polską – w swoim nader specyficznym wydaniu, oczywiście. Może tego trochę nie pamiętamy w ramach mgiełki post-covidowej, ale w naszym kraju dzięki Prawym i Sprawiedliwym Włodarzom występuje problem nie tyle pandemiczny, co politycznopandemiczny. Łapią, co się nawinie, i nawałają wrogów Swego Wyobrażenia Ojczyzny. Wiem, oczywiście, ale przypominam na przyszłość, jako że jeszcze nie przeszedłem covida, zapisuję, żeby pamiętać, jak przejdę.

Wszyscy znamy mapy „wyszczepienia” ludności naszego kraju, wiemy, z czym się pokrywają. Prezydent obecnie akurat wypoczywa, ale może jak już zejdzie ze skutera wodnego, to pojeździ po elektoracie, przekona swój szczep dudowy? Marzenie ściętej głowy. Niemal trzysta lat temu francuski encyklopedysta zastanawiał się, co wcześniej zniszczy Polskę: „Brzemie niewolnictwa czy nadmiar wolności”. I to jest bardzo dobre pytanie. ©

Lektor: Włochy nadal są przy mnie



■ Henry James
GODZINY WŁOSKIE
Tłumaczyła Anna Arno.
Wydawnictwo Prószyński & Ska,
Warszawa 2021, ss. 448.

MOŻNA TĘ KSIĄŻKĘ POSTAWIĆ obok „Podróży włoskiej” Goethego, „Wędrowek po Włoszech” Gregoroviusa czy „Obrazów Włoch” Muratowa, choć w ogromnym dorobku autora zajmuje miejsce raczej marginalne. Henry James (1843–1916), jeden z najwybitniejszych prozaików swojej epoki, spadkobierca tradycji XIX-wiecznego realizmu i prekursor modernizmu, mistrz analizy psychologicznej i portrecista najbardziej zawitych relacji emocjonalnych, był

pisarzem dwóch kontynentów. Urodzony i wychowany w Nowym Świecie, zafascynowany starą Europą, konfrontację kultur uczynił jednym ze swoich tematów. Zamieszkał na stałe w Anglii, a na rok przed śmiercią przyjął obywatelstwo brytyjskie. Włochy, które stanowią scenę wielu jego utworów, odwiedził po raz pierwszy w roku 1869 i podróżował po nich wielokrotnie. „Godziny włoskie” opublikował cztery dekady później. „To nie jest przewodnik,

książka podróźnicza, krajoznawcza ani reportaż – tłumaczy w posłowie Anna Arno. – Pisane na przestrzeni trzydziestu siedmiu lat włoskie szkice Henry James uporządkował według prywatnej mapy przywiązań i przeżyć”. Wędrujemy od Wenecji przez Rzym i Kampanię po Neapol, odwiedzając też Florencję, Sienę i Rawennę oraz mniejsze miasta Toskanii i Umbrii. James zobaczył jeszcze Rzym papieski, w którym dostojnicy kościoła paradowali w purpurowych pończochach i można było nawet spotkać samego papieża, „tronującego w mroku swojej potężnej karety, z uniesioną dłonią”. W 1870 r. upadło Państwo Kościelne, Rzym stał się stolicą zjednoczonych Włoch; w muzycznych niesporach odprawianych 31 grudnia 1872 r. w kościele Il Gesù

nie uczestniczy już ani zamknięty w Watykanie papież, ani kardynałowie... James, wyrafinowany esteta, najwięcej uwagi poświęca sztuce i pejzażowi, jest jednak świadom nieuchronnej inwazji nowoczesności – bardziej go ona chyba ciekawi, niż gorszy. Wie, że nie można Włoch traktować tylko jako wielkiego muzeum, że to kraj, który tworzy się na nowo, a „domaganie się od jakiegokolwiek narodu, jakby to było nasze niezbywalne prawo, aby był artystyczny, zakrawa na butę”. Stąd delikatne kpiny z Ruskina, który rozdzierał szaty z powodu postępu drożek i omnibusów przed florencką katedrą. A jaka zabawna jest przewrotna pochwała „potwora”, czyli samochodu, na jednej z ostatnich stron książki! Tak więc – podróżujcie z Jamesem, w przestrzeni i w czasie. ©P

PAWEŁ

Bravo:

Uczciwa kawa



DWA EURO PIĘĆDZIESIĄT PRZEPLACIŁ MÓJ dobry kolega za kawę w restauracji w jednym z piękniejszych miasteczek Sycylii. Ściśle: on się zżyma, że przeplacił, podczas gdy ja uważam, że zapoznał się z zaciętą, głęboko zakorzoną tradycją. Miał

więc styczność z tym, co Włochy mają najlepszego – te wszystkie z pozoru absurdałne rytuały i stare zwyczaje związane z życiem ulicznym i biesiadnym. Bo jeśli chodzi o współczesność i kierunki przyszłego rozwoju, to szkoda gadać.

Otóż usiadł był przy stoliku i zamówił kawę. Spodziewał się, że zapłaci jedno euro, bo tyle lub niewiele więcej kosztuje kawa bez względu na jej jakość i kategorię lokalu. Tyle że była to restauracja, a więc miejsce, gdzie za sam fakt, że usiadłeś, płacisz *coperto*, czyli opłatę za nakrycie (niekiedy w połączeniu z *pane*, czyli ryczałtową opłatą za chleb). Ten pradawny zwyczaj zapewne był związany z tym, że do gospody przychodzili na obiad też robotnicy z okolicy, niosąc własny obiad w zawiniątku, oczekując tylko kawałka ławy pod tyłek, stołu pod łokcie i dzbanka wina.

Zapłata za to, że gość zajmuje miejsce, pobrudzi talerz czy łyżkę i jeszcze nakruszy, była czymś zrozumiałym w tej sytuacji i pozostaje takowym nadal. Gdy współczesna gastronomia chodzi w chomacie przepisów sanitarnych, czysty talerz i wyszorowany wychodek to rzeczy jeszcze ważniejsze niż kiedyś. Inny mój kolega skomentował tę jednorazową przysługę (bo każdy turysta musi raz się na to naciąć, a potem już wie) w kategoriach wyzysku, naciągactwa i hegemonii klasy posiadaczy nad ludem. Przypomniało mi się wtedy, że pokolenie wcześniej to właśnie brodaczy młodzieńcy, kontestujący obojętność starszych towarzyszy z partii na zmysłowy aspekt życia codziennego, rozkręcili ruch obrony starych tradycji gastronomii przeciwko globalizacji spod znaku sieciówek. O tamtych czerwonych korzeniach późniejszego slow foodu już tu nieraz pisałem, więc nie ma się co powtarzać. Bawi mnie tylko, że lewicową lub prawicową interpretację zjawisk dzieli mniej niż przystawkę od deseru.

W przygodzie kolegi klasowo podejrzana, czy wręcz politycznie zapalna, jest moim zdaniem zupełnie inna kwota. Nie opłata za nakrycie, ale bazowa cena kawy. Nie ma takiej fizycznej możliwości, żeby płacąc na głównej ulicy dużego miasta jedno euro, dostać napój z dobrego surowca, kupionego bez oszukiwania plantatora, i żeby działało się to w lokalu, który nie oszukuje na podatkach i nie zatrudnia baristów na czarno. Tak przynajmniej argumentują działacze na rzecz obrony praw plantatorów oraz apostołowie ruchu tzw. *specialty coffee*. Pytają mnie, gdy się z nimi prze-komarzam: czy mieścić ci się w głowie, żeby kieliszek wina kosztował zawsze tyle samo, bez względu na jego pochodzenie i klasę?

Placówki kawowej awangardy w naszych dużych miastach są od dawna elementem pejzażu, na południu ta fala z trudem toruje sobie drogę do umysłów mas, traktujących poranny łyk – koniecznie na chybcika – jak liturgię w sensie ścisłym, a nie doświadczenie zmysłowe. Argument, że stała, niska cena jest oszustwem i alibi dla wyzysku, do mnie trafia. Nawet jej podwojenie nie skłoniłoby mnie do porzucenia tej przyjemności. Ale czy koniecznie „dobra” (czytaj: uczciwa) kawa musi być aż tak kwaśna, jak ją robią w lokalach wedle nowej metody?

Wiem, kogo o to zapytam, gdy wrócę z obecnej podróży na południe, podczas której nurzam się w nadal zbyt taniej włoskiej smole. Nieopodal mojego warszawskiego gniazda na Starych Bielanych ruszyła na nowo, po przeprowadzce rzut kamieniem od pierwotnej siedziby, Czytelnia. To przybytek pionierski, szerzył nowokawowy gust właścicieli już parę lat temu, kiedy jedynym napojem, jaki uznawano w relacjach społecznych w mojej dzielnicy, było ciepłe piwo na murku. Stracili w dziwnych okolicznościach najem lokalu – w którym zresztą zaraz się zagnieździła konkurencyjna kafejka – ale nie odpuścili i cisną dalej. Ich napary to nie jest mój ideał kawy, ale bardzo smakuje mi za to wytrwałość. Umiem to docenić, siła i wiara w słuszość są równie ważne dla budowy fundamentów kultury jedzenia i picia. Korzenie wrastają powoli, ale jak już się wgryzą w miejsce, to powstaje tradycja. ©©

Trudno wymyślić lepsze zastosowanie kawy niż jej wypicie, kiedy maszynka wesóło gulgocze wam rano, zanim jeszcze poranny dziennik radiowy zepsuje wam humor. Ale jeśli zostało wam nieco kawy z rana, możecie np. wzmocnić smak ciasta *hot milk sponge cake*, które jest przyjemnym i uniwersalnym kompanem wszelkich drugich śniadań. Miksujemy długo – co najmniej 5 minut – 4 jajka ze 150–170 g cukru, musi powstać puszysta mieszanina. Dodajemy stopniowo, mieszając delikatnie szpatułką, 200 g przesianej białej mąki i 6 g proszku do pieczenia. Przekładamy 1/4 tego ciasta do dużej miski i dolewamy do niego ostrożnie, ciągle mieszając, 150 ml gorącego mleka, w którym uprzednio rozpuściliśmy 100 g masła i połączyliśmy z małą filiżanką mocnej kawy. Potem łączymy to z resztą ciasta. Wlewamy do tortownicy wyłożonej papierem do pieczenia, pieczemy ok. 40 minut w 180 stopniach na dolnej półce piekarnika (na sam koniec można przestawić wyżej). Ciasto jest gotowe, kiedy wbity w nie patyczek wyjdzie suchy.



RITA KLIMENKO / ADOBE STOCK



WAKACJE

*„Dziś trzeba dobierać rośliny, które radzą sobie w warunkach suchego gorącego lata i długiej wilgotnej zimy”.
Na zdjęciu: jeden z ogrodów prezentowanych w Hampton Court, lipiec 2021 r.*

DLA PSZCZÓŁ I JEŻY

Brytyjskie ogrody zmieniają się: więcej w nich warzyw,
mile widziany jest domek dla owadów.
W cenie są kwiaty zahartowane w słońcu i drzewa dające cień.

PATRYCJA BUKALSKA Z LONDYNU

PO DŁUGICH MIESIĄCACH ZAMKNIĘCIA BRYTYJCZYCY CIESZĄ się latem. Nawet nadal wysoka liczba infekcji spowodowanych mutacją Delta wydaje się im nie przeszkadzać. Otwarte są puby i kawiarnie, kina i teatry. Do kalendarza miłośników ogrodnictwa wróciły wspaniałe pokazy, z których słynie Wielka Brytania. W zeszłym roku odwołano je wszystkie. W tym, podczas niepewnej jeszcze wiosny, postanowiono, że najbardziej prestiżowy – RHS Chelsea Flower Show – zostanie przeniesiony z maja na wrzesień. Natomiast na początku lipca, zgodnie z planem, na obrzeżach Londynu odbył się największy z pokazów: RHS Hampton Court Palace Garden Festival.

Odbył się, przyznać to trzeba, przy zachowaniu środków ostrożności. Wszyscy odwiedzający musieli okazać zaświadczenie o szczepieniu lub negatywny wynik testu. Wszyscy wystawcy byli codziennie testowani. Nikomu to jednak nie przeszkadzało. Wielki park znów wypełniły awangardowe projekty ogrodów i stoiska sprzedawców. Znów można było swobodnie rozmawiać o roślinach. Dość powodów, aby popaść w lekką euforię.

Lawica wśród traw

Pokaz w Hampton Court, podobnie jak inne, organizuje Królewskie Towarzystwo Ogrodnicze (Royal Horticultural Society, RHS). Ogrody, planowane przez długie miesiące, a na miejscu budowane przez dwa-trzy tygodnie, projektują zarówno celebryci z branży, jak też debiutanci. Wszystkie oceniane są przez surowe grono sędziów, ale bez względu na wynik sam udział w tym pokazie jest zaszczytem, a często też początkiem kariery.

Na ogrodowych festiwalach, jak Hampton Court czy Chelsea, bywają sławy ze świata filmu, sztuki i arystokracji. Ale jednocześnie jest to święto tysięcy zwykłych ogrodników i miłośników ogrodnictwa. Okazja, by poznać najnowsze trendy i może jakiś pomysł przenieść do własnego ogródka. Szansa, by porozmawiać z ekspertami. No i przy okazji zrobić zakupy.

Wśród stoisk z gadżetami – rękawicami, sekatorami, kapeluszami – uwagę przykuwają turkusowe szklane rybki: osadzone na metalowych prętach wbitych w kępę traw wyglądają jak lawica unosząca się nad taflą trawiastego morza (są też w innych kolorach – zielone, pomarańczowe). Artystka Karen Ongley-Snook, która je stworzyła i sprzedaje, uśmiecha się: – Czyż nie jest tu wspaniale? Po tej długiej przerwie?

Była tu w 2019 r., przed pandemią: – Nie zmarnowałam tego czasu, właściwie to był dla mnie twórczy okres, pracowałam nad kilkoma produktami. Ale obok działo się tyle strasznych rzeczy... Dobrze było być zajętym, nie myśleć o tym wszystkim. Mnie poza pracą pomagały spacerować z psem – mieszkam na wybrzeżu w Sussex, więc miałam gdzie chodzić.

Zioła ze stron ojczytych

Można tu kupić ekstrawaganckie ogrodowe dekoracje – jak lawka w kształcie i rozmiarze leżącego konia zrobiona z drewna wyrzuconego przez morze – ale przede wszystkim kwiaty.

Do stoiska z ziołami co chwila ktoś podchodzi i przerywa właścicielowi podlewanie. Chcę zapytać o różnice między

prezentowanymi rodzajami tymianku, bo jest ich aż kilkanaście. Mężczyzna patrzy na mój identyfikator prasowy i wybuchając śmiechem: – Możemy mówić po polsku!

Jack Sikora przyjechał do Wielkiej Brytanii 50 lat temu jako student metalurgii, potem budował samoloty. A zioła?

– Culinary Herb Company założył mój syn Piotr, ale jest tak zajęty, że nie udało mu się tu dziś przyjechać. Musi pilnować wysyłki zamówień – wyjaśnia Jack. Jak inne firmy sprzedające rośliny i nasiona, od początku pandemii odnotowują większe zainteresowanie. – Żona lubi ogród i ja też. Jak się wyjdzie do ogrodu, można zapomnieć o wszystkim. Tak odpoczywam. A jeszcze ten zapach ziół... To jest to! – mówi Jack.

A potem opowiada już tylko o swoich roślinach. Bo każdy tymianek jest inny i nie każdy nadaje się do kuchni. Może być w smaku musztardowy albo cytrynowy. Jeden rośnie w górę, inny płóży się przy ziemi.

Ale tymianek to jeszcze nic, bo mięty, jak podkreśla Jack, mają w ofercie 40 rodzajów: – Z każdego kontynentu, nawet z Japonii. Najostrejsza w smaku jest ta rosyjska. Co roku wprowadzamy nowe zioła, tym razem jest to kubańskie oregano. Wielka Brytania to dobry rynek, tu jest tyle różnych narodowości, a każda szuka ziół z ojczytych stron.

Podziel się cukinią

W Wielkiej Brytanii pokazy ogrodnicze nie tylko wskazują trendy. Można spojrzeć na nie jak w lustro: odbija się w nim to, co dzieje się w społeczeństwie. W bieżącym roku – po tym, jak na skutek pandemii na Wyspach niesłuchanie wzrosło zapotrzebowanie na ogródki działkowe i w ogóle każdy skrawek ziemi pod uprawę warzyw [pisał o tym w nr 16/2021 – red.] – w Hampton Court nie mogło braknąć także ich. Zaproszono mianowicie stowarzyszenia działkowców, a te zaprezentowały małe ogródki pełne warzyw i domków dla owadów. Pokazały, jak nawadniać grządki, oszczędzając wodę, albo zamienić drewniane palety w donice. Oraz jak wspólne uprawianie ogródka zbliża ludzi i może zmienić ich życie.

Każda z tych grup ma swoją historię. Ta z londyńskiego blokowiska Spurgeon Estate w 2019 r. postanowiła przemienić pobliski ogród, zamknięty na kłódkę, w pełne kwiatów, drzew i warzyw miejsce, gdzie dorośli mogą się spotkać, a dzieci bawić. Mają tam swój Tajemniczy Ogród, a do Hampton Court przywieźli rzadkie warzywa – jak polinezyjskie *taro* czy włoskie *agretti* – bo pochodzą z różnych krajów świata. Inna grupa, Alton Local Food Initiative, uprawia warzywa i oddaje je potrzebującym w okolicy. Jej historia zaczyna się w 2010 r. od nieużytku koło stacji kolejowej.

Takie dowody społecznej wrażliwości i wsparcia nabierają dodatkowego znaczenia w czasie pandemii. Stąd jeden z prezentowanych ogródków działkowych nazwano „Schronienie przed covidem” – przygotowali go członkowie z Sandridge Road w St. Albans, jednego z największych stowarzyszeń działkowców w kraju. Dla nich ogródek był w czasie lockdownu miejscem ucieczki przed stresem, sposobem na wyjście z izolacji, źródłem zdrowej żywności, a dla dzieci szkolną klasą pod gołym niebem.

Domek dla jeża

W tym roku również dzieci znalazły w Hampton Court swoje miejsce. Szkoły biorące udział w konkursie Wild World

→ miały zbudować domki dla owadów i małych zwierzątek, używając materiałów z recyklingu. Niektóre konstrukcje były ekstrawaganckie, jak piętrowy domek w małej czerwonej budce telefonicznej. Jednak ważniejsze, że dzieci dowiedziały się, iż w ogrodach powinno być miejsce również dla dzikiej fauny. A może nawet, że taka jest dziś funkcja naszych ogrodów – wesprzeć owady i zwierzęta, bo na skutek działań człowieka mają one dla siebie coraz mniej przestrzeni.

Przykładem ogrodu w pełnej zgodzie z naturą są chyba ogrody *no dig*, czyli bez przekopywania gleby, niszczenia jej struktury i żyjących w niej stworzeń. W Hampton Court właśnie taki zaprojektowali Charles Dowding (pionier tej metody) i Stephanie Hafferty (ogrodniczka i autorka poradników).

Na jeden z najważniejszych pokazów ogrodniczych w kraju trafiły więc w tym roku wielkie kapusty, cukinie, jarmuż, kalarepy, seler. Obok tych większych zagonów ustawiono skrzynie na kompost zrobione z drewnianych palet – z zewnątrz obrośnięte kwiatami, bo przecież i one mają swoje zadanie w ogrodzie. Stephanie i jej współpracownicy codziennie udzielali porad i prowadzili wykłady, które gromadziły tłumy. Wszystko w tym ogrodzie miało swoje miejsce, nawet pokrzywy przy grządce z ziołami.

– Bo to źródło pożywienia dla motyli – tłumaczyła Stephanie. Także szkodniki okazywały się pożyteczne: – Larwy biedronki jedzą mszyce, więc jeśli nie mamy mszyc, to nie będzie też biedronek. A z kolei biedronki są ważne – zapylają rośliny, ale też same są pożywieniem dla innych owadów, żab i ptaków.

Wszak podstawą takiego ogrodu powinna być bioróżnorodność i równowaga.

Na ratunek kwiatom i warzywom

A może ogród powinien być łąką?

– Nie jest łatwo przekonać do tego ludzi, ale najlepszy sposób to pokazać im, jaka to różnica dla pszczół i innych zapylających owadów – mówi Marc Duveen Conway z fundacji Plantlife propagującej ochronę i rozpowszechnianie dzikich roślin. I tutaj widać zmianę podczas pandemii.

– W ciągu ostatnich 18 miesięcy przybyło nam ponad tysiąc nowych członków – mówi Marc. – A im więcej mamy członków, tym więcej pracy możemy wykonać. Opiekujemy się łąkami w całej Wielkiej Brytanii!

Mimo to Marc jest daleki od optymizmu. – Musimy działać, i to szybko – podkreśla, bo od lat 30. XX w. Wielka Bry-



Jack Sikora przyjechał tu z Polski 50 lat temu jako student, potem budował samoloty. Sprzedaje zioła z całego świata w firmie założonej przez syna.

tania straciła 97 proc. swoich łąk i polnych kwiatów. A jeśli nie ma ukwieconych łąk, to nie ma zapylających owadów.

Choć nadal mnóstwo jest miejsc, gdzie mieszkańców trudno przekonać do wyższości łąki nad krótko przyciężonym (i jałowym) trawnikiem, to coś się w tej sprawie zmienia. Np. w tym roku w niektórych hrabstwach, jak Berkshire, pobocza dróg i ronda nie są koszone; zamieniono je w pasy polnych kwiatów.

Potrzebę szybkiego działania odczuwa też Paolo Arrigo z włoskiej firmy Franchi sprzedającej na Wyspach nassiona. Tyle że jemu chodzi o warzywa, te zagrożone.

– Wiesz, że w ostatnim stuleciu straciliśmy aż 94 proc. odmian? – pyta i tłumaczy, że sprawa jest poważna. Firma Franchi powstała w 1783 r., prowadzi ją od siedmiu pokoleń ta sama rodzina, a Paolo ma wiedzę i opowiada z pasją. Przykładowo o rodzajach cukinii w różnych regionach Włoch, czym się różnią i dlaczego.

– Pochodzenie! – podkreśla z uczuciem. – Warzywo musi mieć pochodzenie! Jak można jeść coś, co nie wiadomo, gdzie i jak wyhodowano? Taki szpinak z supermarketu to nie prawdziwy szpinak, w dodatku zbierany mechanicznie. Co innego szpinak Viroflay! Pierwsza wzmianka o nim pochodzi z 1635 r.!

Niestety, szpinak Viroflay rośnie dziś już tylko u dwóch producentów.

Jest zagrożonym warzywem i został wpisany na Arkę Smaku kompletowaną przez Fundację Slow Food dla Bioróżnorodności.

– Banki nasion są ważne, ale najlepszy sposób, żeby te warzywa ocalić, to po prostu je uprawiać. Siąc, uprawiać, zbierać, jeść – mówi Paolo.

Gdy wybuchła pandemia, ludzie zaczęli bardziej interesować się warzywami: – W ciągu ośmiu godzin wpłynęło do naszej firmy tyle zamówień, ile zwykle wpływa w 45 dni!

Czy ten trend na Wyspach przetrwa? Okaże się za jakiś czas.

– Ale Polacy chyba znają się na warzywach? W każdym razie pomidory w Polsce są świetne! – woła Paolo na pożegnanie.

Wielkie wymieranie

W tym roku jedną z myśli przewodnich odzwierciedlających się w prezentowanych ogrodach była równowaga psychiczna, tak bardzo naruszona przez pandemię, w tym potrzeba kontaktu z innymi, relaksu, wytchnienia. Te ogrody miały być miejscem odpoczynku, czasem wręcz terapeutycznym. Dobrym miejscem dla człowieka.

Felicity O'Rourke postawiła sobie inny cel i dosłownie potraktowała kategorię konkursu, w której startowała: „Global Impact”. Chciała pokazać wpływ dominacji ludzi na środowisko i nimi wstrząsnąć – i to się udało: jej ogród, nazwany dość jednoznacznie „Wymieranie”, to rozerwany kadłub samolotu pasażerskiego wbity w pole pszenicy. Na samolocie napis: „Homo Sapiens”.

Jak tłumaczyła O'Rourke w wywiadach, samolot jest symbolem technologicznego postępu i sukcesu człowieka – sukcesu, który i na niego, i na planetę sprowadza katastrofę, m.in. przez emisję dwutlenku węgla. Pszenica też nie jest przypadkowa, bo przemysłowe rolnictwo ma odpowiadać za niszczenie środowiska i bioróżnorodności. Na polu pszenicy leży więc część samolotu, jeszcze się z niej dymi, wokół walizki, dziecięcy plecak. Całość ogrodzona żółtą taśmą z napisem „Crime scene”.

Ale z jednej strony samolotu, tam gdzie były drzwi, jest jednak zielono: to rośliny, które były na Ziemi, zanim pojawił się człowiek. Te, które przetrwały pięć poprzednich wymierań, a które O'Rourke nazywa „pradawnymi ocalałymi”: miłorząb dwukłapowy, diksonia antarktyczna czy pióropusznik strusi. Mają nam przypominać, że może i dominujemy teraz na planecie, ale my też możemy wyginąć, a one będą trwać.

Ogród przyszłości

Zmiana klimatu jest odczuwana także na Wyspach, np. za sprawą wyższych temperatur latem. Dekada 2010-19 była cieplejsza niż kilkadziesiąt poprzednich lat o 0,9 stopnia Celsjusza, a rok 2019 okazał się jednym z najcieplejszych (np. 25 lipca 2019 r. w Cambridge notowano prawie 39 stopni). Jednocześnie zima była bardziej deszczowa.

Takie zmiany to wyzwanie dla rolników uprawiających warzywa i owoce, a także dla właścicieli zwykłych ogrodów kwiatowych. Brytyjski ogród zmienia się i będzie się musiał zmienić jeszcze bardziej. Jak? Projektant Jamie Butterworth uważa, że ze zmianą nie należy walczyć za pomocą nawadniania czy foliowych tuneli. Raczej trzeba wybrać takie rośliny, które poradzą sobie w warunkach suchego gorącego lata i długiej wilgotnej zimy, a także umiejętnie zarządzać wodą i łapać deszczówkę, gdy można.

W jego „Ogrodzie dla zielonej przyszłości” są więc kwiaty zahartowane w słońcu i drzewa dające cień. Jest strumień, którego poziom zwiększa się lub zmniejsza w zależności od opadów: zimą wypełniałaby go woda, latem odsłonięte byłoby suche dno wysycone kamieniami. Nad jego brzegiem rosną wierzby – tak, jak w naturalnym dzikim zakątku. Gra-



Paolo Arrigo z włoskiej firmy sprzedającej na Wyspach nasiona zachęca do uprawiania tradycyjnych odmian warzyw i podkreśla wagę bioróżnorodności.

nica między tym ogrodem a naturą się zatarła, przecież to ogród angielski.

Ogród, jakiego jeszcze nie było

Gdy po tygodniu festiwal się kończy, prezentowane ogrody znikają. Czasem w całości przenoszone są w inne miejsca, czasem rośliny można kupić. Warzywa z ogrodu *no dig* rozdano.

W tym roku kwiaty z ogrodu autorstwa znanego projektanta Toma Stuarta-Smitha trafią do olbrzymiego, prawie stuhektarowego ogrodu w Wisley prowadzonego przez RHS. W 2007 r. Stuart-Smith zaprojektował tam część ogrodu otaczającą szklarnie (otwierała go Elżbieta II). Teraz uznał, że kwiaty, które wtedy wybrał, powinny być już zastąpione przez odmiany lepiej radzące sobie w suchych warunkach. Właśnie takie rośliny – jak dziewczanna, krwawnik, szalwia czy mikołajki – wypełniały jego prezentację w Hampton Court (podobnie jak Butterworth, chciał pokazać nieuniknioną zmianę ogrodu wywołaną przez klimat). Teraz trafią do Wisley – w ten sposób będzie można zobaczyć, jak wiele zmieniło się w angielskiej pogodzie od 2007 r., i jakie działania wymusza to na ogrodnikach.

Ogród w Wisley przekazano RHS w 1903 r. po śmierci jego właściciela George'a Fergussona Wilsona – wynalazcy, przedsiębiorcy i zapalonego ogrodnika. Wilson hodował w nim „trudne rośliny”, eksperymentując, na jakim podłożu rosną najlepiej. Jak pisał, chciał stworzyć „ogród, jakiego jeszcze nie było”. To mu się udało: był np.

jednym z pierwszych, którzy sadzili lilie poza szklarnią. Uciekał od formalnych linii alei i równych grządek. Jego ogród był niesformy, rośliny wyrastały tam, gdzie padły ich nasiona. Rzeczywiście, takiego wtedy jeszcze nie było.

Coś dla planety

Dziś Wisley jest zbyt duży, by obejść go w jeden dzień. Jest część leśna, są sady, łąki pełne chabrow, warzywne grządki i szklarnie o powierzchni równej dziesięciu kortom tenisowym (wydzielono w nich trzy strefy klimatyczne). Są ogrody, których kamienne mury kryją bananowce i inne egzotyczne rośliny. Są stawy pokryte wodnymi grzybieniami białymi, zwanymi potocznie nenufarami.

Kontynuując eksperymentalną pasję Wilsona, na szczycie wzgórza otworzono w tym roku ogrodnicze centrum naukowe Hilltop. Mieści ono m.in. laboratorium, bibliotekę i herbarium, a w nim 86 tys. okazów. Ma, jak słyszymy, „chronić przyszłość roślin, ludzi i planety”. Jeden ogród nie ocali Ziemi. Ale miliony ogrodników mogą jednak coś zmienić.

© PATRYCJA BUKALSKA

STANISŁAW

Mancewicz: Główka pracuje



JEST WCIĄŻ, JAK SIĘ OKAZUJE, WIELKA I NIEWYGASZA magia w cudnej czynności, jaką jest studiowanie. Widzimy oto pragnienie, głód i pęd do nauki, także wśród celebrytów. Cieszy nas niczym niehamowane dążenie do zdobywania kwalifikacji, świadectw i dyplomów. Jest w ludziach – popatrzymy – żywa potrzeba badawcza, chyba chęć nieskrępowanej debaty, mus intelektualnej kreacji, refleksji i zadumy. Czujemy też ducha akademickiego klimatu, oto gdy przychodzi czas po zajęciach, po konwersatoriach i kolokwiałach, po ślęczeniu w czytelnich, po móżolach na egzaminach, dostajemy to, co najmielsze, czyli życie studenckie. Skromne, ale przecież wesołe, a to piwo z kolegami, a to tańce – dajmy na to – z koleżankami z roku. Te wrażenia i wspomnienia pozostają na zawsze, podobnie jak przyjaźnie, a czasem związki. Tak, łąza się w oku kręci, że to wszystko, co wydawało się nam przebrzmiałym sensem, jest wciąż aktualne i jest nam światłem w gasnącej galaktyce, na rozlatującej się planecie, przy powszechnie obserwowanym oddzielaniu się *homo* od określenia *sapiens*. Cieszy więc – trzeba teraz przejść do konkretności i szczegółu – że umiłowani nasi reprezentanci, obecni i byli członkowie szerokiej kadry narodowej w piłce nożnej, występujący z orzełkiem na piersiach, dają chwalebny przykład naszej złotej młodzieży w parciu po tzw. papier. Pokazują, jak oto się najlepiej kształcić, jak podnosić kwalifikacje i jak w sposób kompletny zabezpieczać przyszłość i podwyższać status intelektualny.

Kanwą dla tych radosnych myśli i opisów są oczywiście elementy dochodzenia, które – a jakże – jak zawsze w Polsce,

wyciekają od prokuratora i posterunkowych. Oto – popatrzymy – dowiedzieliśmy się w zeszłym tygodniu, że jeden utalentowany piłkarz ma świadectwo dojrzałości, choć tego egzaminu nie zdawał, drugi jest, zdaje się, dyplomowanym pedagogiem, a inny znowuż teologiem. Z braku czasu osiągnęli to w czasie gdy podawali, dośrodkowywali, rekuperowali, dryblowali i strzelali – w tym, oczywiście, główką. Główka pracuje, chciałoby się rezolutnie dodać.

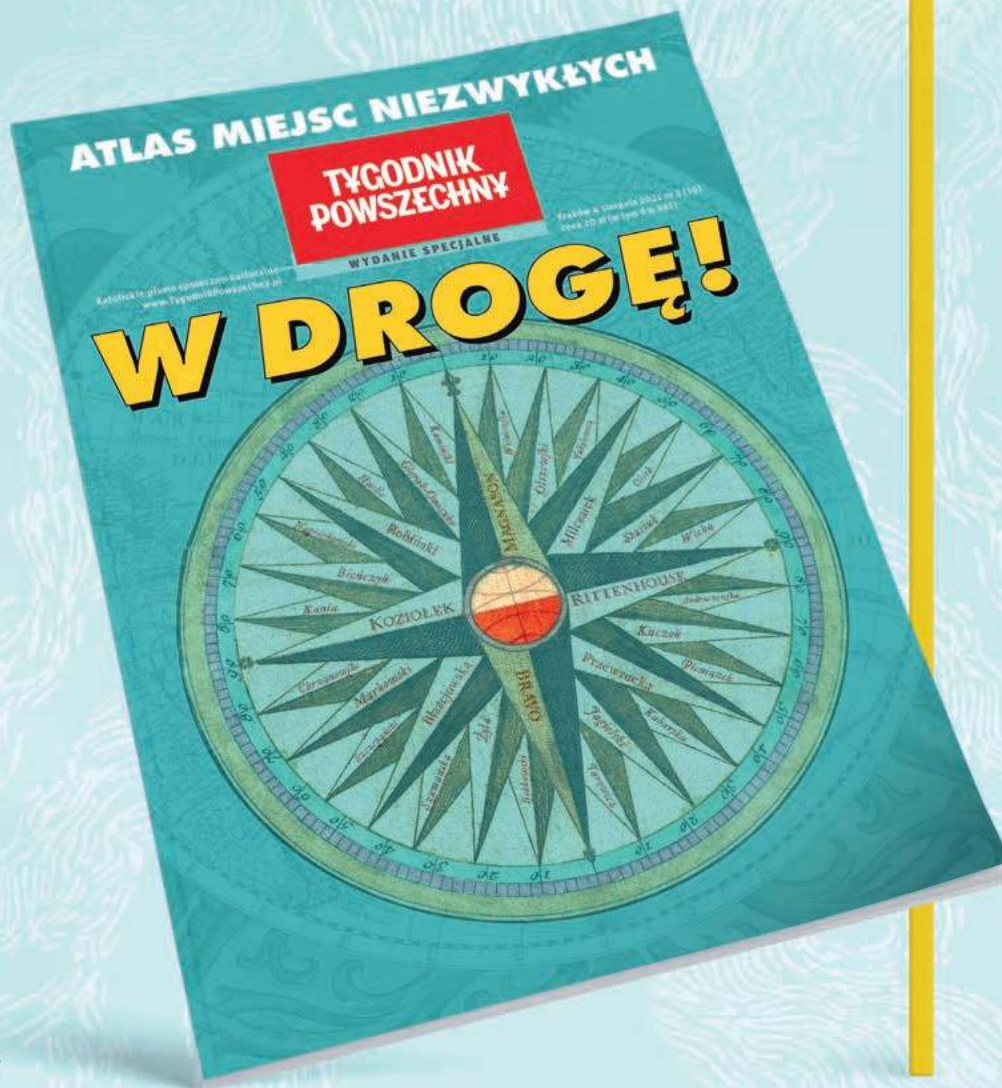
Rzecz jasna, lewe papiery, ich produkcja i nimi handel, to doprawdy nic nowego ani dziwnego. Jest jednak coś, nad czym można by się – gdybyśmy mieli więcej czasu – zastanowić. Otóż – abstrahując od uczciwości, której nikt nie oczekuje – ciekawy jest gruntowny brak lęku u kupujących fałszywe dokumenty, że mianowicie ktoś kiedyś sprawdzi w praktyce ich kompetencje. Że – dajmy na to – piłkarz teolog będzie musiał z jakiejś okazji dać krótki i spójny zarys tego, co jest napisane w Liście do Koryntian. W którymkolwiek. Albo powiedzieć – dajmy na to – ile tych maili w ogóle wysłano. Dwa? Osiem? Albo – to ciekawe – czy do populacji Koryntian wlicza się córy Koryntu. Do znalezienia odpowiedzi na tak podchwytliwie postawione pytania Wikipedia, nawet jej wersja napisana dla futbolistów, niestety nie wystarczy. Każda rozmowa kwalifikacyjna piłkarza – licencjata teologii, z dowolnym biskupem, nawet fałszywym, już po zakończeniu świetnej kariery piłkarskiej, gdy przyjdzie czas na aplikowanie o probostwo czy o stanowisko katechety, skazana jest na porażkę. Żałosne tłumaczenie, że studiowanie teologii odbyło się w ramach specjalności „Promocja zdrowia z elementami zdrowia publicznego” na pewno pogorszy sytuację. Tzn. pogorszyłoby chyba w jakimś świecie znormalizowanej pod dawnemu edukacji.

Inna sprawa, inaczej przejmująca, to piłkarz z fałszywą, kupioną maturą. Jest w tym czynie coś wzruszającego i anachronicznego. Od dawna uważamy, że poziom tego egzaminu jest dziś taki, iż zaiste dziwimy się niepomrotnie, że jest on rytualnie co roku urządzany. Państwo polskie matury powinno chętnym rozdawać. Ustalić można by cennik dotyczący wysokości ocen, ale taka średnia, zwykła matura bez fajerwerków, dawana byłaby za friko. Nikt by na tym nie stracił. ©P

BARTOSZ MINKIEWICZ



Co nam każe wyjść za próg?



ANDRUSZEWSKA
BIEŃCZYK
BŁAŻEJOWSKA
BOBKOWSKI
BRAVO
CHRZANOWSKI
GIERAK-ONOSZKO
HUELLE
JAGIELSKI
KAMIŃSKI
KANIA
KOZIOŁEK
KUBARSKA
KUCZOK
MAGNASON
MARKOWSKI
MILCZAREK
NAPIÓRKOWSKI
OLECH
OLSZEWSKI
PIENIĄŻEK
PRZEWROCKA-ADERET
RITTENHOUSE
ROBIŃSKI
STASIUK
SZCZEPAŃSKI
SZUMAŃSKA
TUBYLEWICZ
TUROWICZ
WICHA
WIŚNIEWSKA
ŻYŁA

„Tygodnik Powszechny. Wydanie Specjalne” W DROGĘ!
już 4 sierpnia w kioskach i salonach prasowych.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

**LITERACKI
SOPOT**

Valeria Parrella,
Domenico Starnone,
Antonio Talia,
Helena Janeczek,
Donato Carrisi,
Nicola Lagioia,
Antonio Scurati,
Bernardine Evaristo,
Patrick Radden Keefe,
Zyta Rudzka,
Jakub Małecki,
Joanna Ostrowska,
Jarosław Mikołajewski
i wiele innych
autorek i autorów.

EDYCJA WŁOSKA

10

**19–22
sierpnia
2021**

offline w Sopocie,
online na
www.literackisopot.pl



Goyki3
Art Inkubator



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego
i Sportu

Dotfinansowane ze środków Miasta Sopotu
oraz Ministerstwa Kultury, Dziedzictwa
Narodowego i Sportu pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury

